



SZABLON

AGNIESZKA SUDOMIR

AGNIESZKA SUDOMIR
SZABLON



Mojej córce, Marii

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Apokalipsa

Epilog

Podziękowania

*I czymże jest wierność,
Miłość i cnota, jeżeli ich mocy
Osamotnionej nikt nie wypróbuje?*
John Milton „Raj utracony”

Cóż... pokonaliśmy setki groźnych chorób, które niegdyś krzywdziły ludzkość. Nie znaleźliśmy jednak sposobu na ten szczególny rodzaj melancholii, że tak użyję nieco archaicznego określenia, nękający ludzi zaraz po Przybyciu.
dr Zukin

Już mówiłam: jako jeden z nielicznych jesteś całkiem zdrowy.
Marion Forcier

Jesteś błędem Celestis. Pięknym błędem.
June Thorndike

1

– Amy... – mruknął półprzytomny.

Cholerne wiadomości. Miała wyłączyć komórkę. Kolejny raz spróbował wydobyć się z otchłani męczącego, niezdrowego snu. Z marnym skutkiem. Powieki ciążyły, a głowa odmawiała współpracy. Od tygodni nie udało mu się wypocząć. Amy chce być w kontakcie z pacjentami? W porządku, ale czy – u diabła – nie może zrobić sobie przerwy?

– Amy, kotku... – jęknął błagalnie z nadzieją, że żona uwolni go od irytującego pikania.

Nigdy nie schodziła z linii frontu, nigdy nie odpoczywała. Dopiero kiedy urodziła się Ella, Amy zrobiła wyjątek dla niedziel. Dziś telefon powinien być wyciszony. Woli zaryzykować awanturę – pomyślał ze złością. Nigdy by się nie przyznał, ale kochał ją za ten upór. Za to też. Teraz jednak chciał się wyspać, a wokół rozległy się denerwujące, krótkie sygnały. Przez chwilę usiłował je ignorować, w końcu dał za wygraną. Z trudem uniósł powieki i boleśnie zaatakowany jaskrawym blaskiem natychmiast je zamknął. Zmęczony wzrok nie podołał fali światła. Pikanie nie ustawało. Właśnie miał nakryć głowę poduszką, kiedy dotarło do niego, że coś jest nie tak – napływające bez ustanku wiadomości, ostra biel zamiast zwykle panującego w ich sypialni przyjaznego półmroku. Poczł silne pulsowanie w skroniach, znak, że kapryśne ciśnienie przekroczyło granice normy. Wziął głęboki oddech i gwałtownie otworzył oczy.

Chciał usiąść, lecz mięśnie nie odpowiedziały na polecenie mózgu. Co jest, do cholery?! Nieprzytomnym wzrokiem omiół fragment pomieszczenia, jedyny, który udało mu się dostrzec. Biel sufitu, biel ścian, sączące się nie wiadomo skąd zimne światło... Nie miał pojęcia, co to za miejsce. Wciąż słyszał esemesy. Nie, to nie esemesy – uświadomił sobie. Skądś znał ten dźwięk. Ponownie spróbował wstać i znów ciało odmówiło współpracy. Z całych sił starał się zebrać myśli. Wsłuchał się w organizm: nie czuł bólu, w ogóle nic nie czuł. Strach zaczynał brać górę nad rozsądkiem. Nagle pojawiła się ulga – przecież to sen! Tylko zły sen. Wytężył całą wolę, by się obudzić. Przed oczami Adriana wciąż malowała się biel obcego mu pomieszczenia, a w tle słychać było wyraźny, choć coraz mniej regularny sygnał. Pik,

pik, pik, pik. Już wiedział, skąd go zna. Słusznie kojarzył dźwięk z Amy, ale to nie był jej telefon. Jedno piknięcie – jedno uderzenie serca. Odgłosy szpitala. Sygnał niebezpiecznie przyspieszył, myśli zaczęły się plątać. Tylko spokojnie... – nakazał sobie.

Bezskutecznie.

– Dzień dobry, panie Lawson. Jak się pan czuje? – Gdzieś z lewej strony dobiegł go ciepły, damski głos.

Nie odpowiedział. Nie był nawet pewny, czy jest w stanie mówić. Kobieta kontynuowała monotonnym, terapeutycznym tonem. Najwyraźniej nie pierwszy raz wypowiadała podobne słowa:

– Widzę, że powoli się pan budzi. Wszystko jest pod kontrolą. Jeszcze przez jakiś czas będzie pan odczuwał lekki dyskomfort. To minie.

– Dyskomfort? – wyszeptał nie bez trudu, choć całkiem wyraźnie.

– Tak, ale wkrótce nauczy się pan od nowa funkcjonować.

– Od nowa funkcjonować? – bezwiednie powtarzał słowa kobiety, której postaci nadal nie mógł dostrzec.

– To nie takie trudne. Czasem sprawia trochę kłopotów. Przejściowych – dodała szybko. – U pana powinno obyć się bez większych komplikacji. Odczyty wskazują, że wszystko jest w porządku.

– Nie mogę się ruszać... Nie czuję swojego ciała... – Najchętniej by wrzeszczał, ale brakowało mu siły.

– Panie Lawson... – Nachyliła się nad nim. Wyglądała na jakieś dwadzieścia parę lat. Wzrok przykuwały jej czarne, bystre oczy i mleczna, idealnie gładka cera. Włosy zakrywał biały czepek. – To minie. Proszę teraz odpoczywać.

– Co mi jest? Miałem jakąś operację? – Bał się, że dziewczyna wyjdzie, zanim zdoła od niej wyciągnąć informacje.

– Coś w tym rodzaju. – Nie zamierzała więcej wyjaśniać.

– Coś w tym rodzaju? To jakiś żart? – Pikanie znów ryzykownie zwiększyło tempo. – Gdzie moja żona? Jest tutaj? A Ella? – Uczucie suchości w gardle zniknęło, mógł mówić nieco głośniej.

– Panie Lawson... proszę się uspokoić. Nerwy nie są wskazane. Z pana rodziną wszystko w porządku.

– Są tutaj? – powtórzył pytanie.

– Nie. – Znow się nad nim pochyliła. Zauważył, że jest ubrana w biały, dopasowany uniform, który nie przypominał medycznego fartucha.

– Chcę natychmiast rozmawiać z lekarzem. – Miał nadzieję, że jego głos, choć wciąż słaby, zabrzmiał wystarczająco stanowczo.

– Właśnie pan rozmawia. – W ciemnych oczach zamigotał blask rozbawienia. – Proszę się nie ruszać. Oderwie pan sobie czujniki i wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. June Thorndike, pana lekarz prowadzący – przedstawiła się.

Jeśli ta dziewczyna nie przestanie się wygłupiać, jego mózg lada chwila eksploduje ze złości!

– Z całym szacunkiem, nie mam ochoty na żarty – warknął.

– Jestem jednym z najstarszych stopniem oraz stażem pracowników kliniki. Proszę się nie martwić o moje kwalifikacje. – Poprawiła delikatną, srebrną nitkę, przyczepioną do jego ramienia, a biegnącą gdzieś poza zasięg wzroku. – Podałam panu środek nasenny. Pomoże zregenerować siły. Nie ma powodu do obaw, choć może się pan czuć wyczerpany. Za kilka godzin...

Próbował zaprotestować, jednak głos uwiązał mu w gardle. Słowa lekarki rozplynęły się w sennej mgle. Poczł lekkie kołysanie. Zamknął oczy i poddał się błogiemu uczuciu. Co za dziwny sen... – pomyślał jeszcze, zanim całkowicie pochłonięta go miękka ciemność.

Eeny, meeny, miny, moe. Dziecięcy szczebiot dobiegał z ogrodu za domem. Uwielbiał niedziele – spokojny punkt w kołowrotku codziennych zajęć. Od sześciu lat, od urodzenia Elli, niedziele traktowali jak świętość. Tego dnia ograniczali pracę do paru rozmów i wiadomości. Trzeba dbać o reguły. Pacjenci, klienci, szefowie pożarliby każdą sekundę życia – jeśli im na to pozwolić. Ustalili z Amy, że nie pozwolą. Nie chcieli, by ich córka stała się jednym z tych samotnych, smutnych dzieci z bogatej dzielnicy, dla których rodziną jest niania. Szanowali więc niedziele, choć trochę trwało, zanim żona nauczyła się wyłączać telefon. Mimo skłonności do kompromisów, w tej sprawie nie odpuścił i przeforsował żelazne zasady. Zbyt wiele było wokół rozwodów, martwych związków, chłodu, nienawiści – nie miał najmniejszego zamiaru tego wszystkiego sprowadzać do swojego życia.

Dobrze wiedział, co się dzieje za oknem. Amy z Ellą zawsze wstawały wcześniej. Zaczynały dzień od śniadania, oglądały ulubioną bajkę małej, a potem wychodziły do ogrodu albo bawiły się w salonie, czekając, aż zbudzi go ich śmiech. Właśnie ten śmiech sprawiał, że wstawał szczęśliwy.

Jeszcze chwileczkę – zdecydował i leniwie przewrócił się na drugi bok.

Znów te wiadomości? Regularny sygnał nie pozwalał mu zasnąć. Przecież dziś niedziela. Poczuł irytację, a zaraz potem rozczarowanie. Oczywiście, jest poniedziałek. Po omacku zaczął szukać komórki, by przestawić budzik na funkcję drzemki. Zawsze tak robił i zawsze wstawał o te dziesięć minut za późno. Ręka trafiła w pustkę. Gdzie ten cholerny telefon? Nie miał siły podnieść powiek. Czas na urlop – pomyślał i aż się rozmarzył. Może wybraliby się na jakąś odludną plażę? Tam, gdzie pojechali w podróż poślubną? Jak się nazywał ten pensjonat? Nie mógł sobie przypomnieć. Za daleko... – uświadomił sobie. Był w środku rozgrzebanego filmu, megaprodukcji o dziewczynie ratującej foki, z tą denerwująco chichoczącą gwiazdką z dużymi piersiami i końskimi zębami. Paul nie wypuści go z fabryki na dłużej, więc dzika plaża odpada. Jednak potrzebował odpoczynku, oboje potrzebowali. Niech to będzie chociaż weekend, dobre i tyle. Wieczorem coś zaplanują – postanowił i z pełnym rezygnacji westchnieniem otworzył oczy.

Rozejrzał się zdezorientowany: jasne ściany, monitory, młodziutka lekarka... Powoli zaczęło do niego docierać. Spróbował poruszyć ręką, a potem nogą. Poczuł ulgę – nie był bezwładny. Ostrożnie odwrócił głowę. Tym razem w sali panował półmrok. Bładozielone ekrany odbijały się w gładkich frontach szafek. Ktoś nad jego głową machnął dłonią i jeden z monitorów zmienił się w chmurę połyskujących kropelek. Po chwili znów ujrzał czyjąś rękę. Mgła na nowo utworzyła obraz, którego szczegółów nie potrafił dostrzec. Z sufitu zwisała plątanina kolorowych rurek i srebrnych kabli. Już miał się podnieść, kiedy zauważył, że niektóre są z nim połączone.

– Jeszcze powinien spać. Jakies dwie, trzy godziny. Potem możemy zaczynać. – Dobiegł go znajomy terapeutyczny ton.

Powieki mu ciążyły. Znów odpływał w aksamitną ciemność. Wytężył umysł, by powstrzymać sen i usłyszeć dalszy ciąg rozmowy.

– Doktor Shaw sugerował, żeby kilka dni poczekać – odpowiedział inny damski głos.

– Ci psychiatrzy... – prychnęła młodziutka lekarka. – Dmuchają na zimne. Nie ma najmniejszych medycznych przeciwwskazań.

– Taka ich rola... – westchnęła druga z kobiet.

– Jasne. Procedury... zasady... wymagania... A my już mamy kolejny transport. Gdybyśmy każdego trzymali tygodniami, nie wystarczyłoby łóżek. Zresztą, to ja

odpowiadam za pacjenta i ja decyduję. – Terapeutyczny ton niespodziewanie nabrał władczego brzmienia.

– Oczywiście, pani doktor. Zatem wybudzamy pacjenta i uruchamiamy Procedurę Zero. Jest tylko mały problem...

Reszta rozmowy rozplynęła się w oddali, aż wreszcie została całkiem zastąpiona odgłosami z przydomowego ogrodu. Niedziela... – pomyślał z radością i zapadł w głęboki sen.

Ciężko dysząc, biegł między drzewami. Raz po raz potykał się o wystające z ziemi korzenie. Serce waliło mu jak młot. Ella kurczowo obejmowała jego szyję. Mocniej przycisnął do piersi drobne ciało córki. Nie zabiorą cię, nie pozwolę im na to – powtarzał w myślach niczym mantrę. Obejrzał się przez lewe ramię, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Wielki facet w pomarańczowym uniformie zbliżał się niebezpiecznie szybko. Nie uciekną bydlakowi. Są bez szans! Z trudem pokonywał kolejne metry. Miał wrażenie, że każdy następny krok będzie ostatnim. Znów spojrzął za siebie. Teraz już dokładnie widział białka, połyskujące w ciemnej, spoconej twarzy. Skrył się za grubym pniem i próbował odzyskać oddech. Pogłaskał córkę po złotych włosach. Oczy miała mocno zaciśnięte, a policzki mokre od łez. To koniec. Zawiódł Ellę. Zawiódł swoje jedyne dziecko. Rozejrzał się bezradnie. Nie powinien był jej nigdy sprowadzać do kliniki. Ani Amy.

Nagle, pośród gęstego lasu, dostrzegł drewnianą szopę. Ostatkiem sił puścił się pędem w tamtym kierunku. Brakowało mu tchu, ręce mdlały, nogi odmawiały posłuszeństwa. Pot spływał po czole i zalewał oczy. Krew pulsowała w skroniach. Był tak blisko. Nie może się teraz zatrzymać. Zabiją go. Nie... nie zabiją... – przypomniał sobie. Zaprowadzą do białej sali i naszpikują lekami. Zabiorą Ellę. Na zawsze. Tak jak zabrali jej matkę. Spróbował wezwać pomoc, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Gdzie jesteś... Amy?

Obudził go łomot serca. W nocnych majakach często tak bywało: chciał biec – nogi miał z ołowiu, chciał krzyczeć – nie potrafił.

Kilka chwil zajęło, zanim doszedł do siebie. Nie przeżyłby, gdyby naprawdę coś się stało jego Elli. Po prostu by tego nie przeżył. Ze zdumieniem zauważył, że jak na

noc pełną koszmarów jest całkiem wypoczęty. Potarł oczy i uniósł powieki. Przez moment nie mógł zrozumieć tego, co widzi. Przy łóżku stali mężczyzna oraz kobieta. Przyglądali mu się z góry, kręcili głowami, jak gdyby zamierzali przekroczyć wyjątkowo ruchliwą ulicę. Słyszał ich podniesione głosy. Procedura Zero... Przejdźcie... na swoją odpowiedzialność... jest bezpiecznie... mamy gwarancję... Celestis... zalecenia... nowy transport... – do skołowanego umysłu docierały pojedyncze słowa. Nie potrafił połączyć ich w całość. Miał wypadek? Jest chory? Ci ludzie... na pewno zaraz wszystko wyjaśnią.

– Witamy z powrotem. – Poznał ją, choć tym razem nie nosiła czepka. Długie, splecione w ciasny warkocz włosy ciemną linią odcinały się od białego uniformu.

– Pani doktor... – zaczął drżącym z emocji głosem. – Ja... nie wiem, co się dzieje... Chyba niczego nie pamiętam... – Miał wrażenie, że zaraz się rozplacze: z wyczerpania, z lęku, z bezradności.

– June, proszę mi mówić June. – Lekko przysiadła na brzegu łóżka. – Nie dzieje się nic złego. Wręcz przeciwnie.

– Amy i Ella? Gdzie one są? Są tutaj?

– Już mówiłam, nic im nie dolega. Nie ma powodu do zmartwień.

– Moja żona jest lekarzem. Sprowadźcie ją tu. Wie, gdzie mnie szukać? Przyjedzie?

June lekko skinęła głową. Nie był pewien, czy to potwierdzenie, ale uznał, że tak. Znał Amy, na pewno już była w drodze do szpitala. Tylko żeby nie przywoziła tu Elli – pomyślał z paniką, a w jego głowie pojawiły się obrazy z koszmarnego snu. Ogarnęło go złe przeczucie. Jezu... o czym ja w ogóle... – przywołał się do porządku. Zaczynał łapać paranoję.

– Co mi jest? – zapytał, zdecydowany uzyskać odpowiedź.

– Wszystko pod kontrolą. Musimy jeszcze tylko wykonać kilka testów. – Lekarka drobną dłonią wygładziła niewidoczne fałdki na kocu. – Nie, nic strasznego – uspokoiła go. – Zwykle testy psychologiczne. Na pewno kiedyś takie przechodziłeś. Takie albo podobne – dodała po chwili.

– Kiedy po studiach przyjmowali mnie do firmy. Chyba ze sto stron do wypełnienia. Były jakieś... czy ja wiem... dziecinne? Wie pani... wiesz, June... – poprawił się – można było je robić jak wyliczankę. Eeny, meeny, miny, moe. A i tak by się zgadzało. Ale ja robiłem jak należy, nie kombinowałem – wytłumaczył się, choć sam nie wiedział po co.

– O właśnie – potwierdziła. – Psychiatrzy je lubią, a my tolerujemy. – Mrugnęła do niego.

– Coś nie w porządku z moją głową? Stąd testy? – Zaniepokoił się. – Dlatego mnie izolujecie od rodziny? Oddział zamknięty i te sprawy? Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Chcę tylko wiedzieć, co mi jest. Więc... June?

Nie odpowiedziała. Podniosła się z łóżka i wskazała na swojego towarzysza:

– Doktor Shaw – przedstawiła wysokiego mężczyznę, również ubranego w biały uniform. – Psychiatra. Zada ci kilka pytań. A potem tu wrócę i rozpoczniemy przygotowania do Procedury Zero. Jesteś pod dobrą opieką. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Procedury? – Nie zrozumiał.

Znów posłała mu terapeutyczny uśmiech, po czym otworzyła drzwi, za którymi ukazał się fragment kolejnej białej ściany.

Nie znał June, jak i pozostałych, ale jej miły głos działał kojąco.

– Co z moją żoną? Jedzie tu? – zapytał ponownie, tym razem wymuskanego lekarza.

Na planie coś takiego by nie przeszło – pomyślał, przyglądając się nienagannej fryzurze doktora. Opalona cera, śnieżnobiały uśmiech, błękitne oczy, podkreślone niemal platynowymi, lśniącymi falami włosów? Serio? Istny Ken od Barbie. Co było dobre w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, to nie teraz. Facet wyglądał jak żywcem wyciągnięty z archaicznej reklamy pasty do zębów.

– To nie takie proste... Żona nie może panu w tej chwili towarzyszyć – odparł Shaw, z namysłem pocierając idealnie kwadratowy podbródek.

Gdzie ona, do cholery, jest?! Adriana ogarnęła złość, pomieszana z rozżaleniem. Zaraz jednak sobie uświadomił, że to bez sensu. Znał Amy. Nie opuściłaby go w takiej sytuacji. Pewnie załatwia jakieś formalności. Za chwilę tu dotrze i nad wszystkim zapanuje – ta myśl go uspokoiła.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na resztę personelu. Po pokoju kręcili się jeszcze dwaj mężczyźni i kobieta. W skupieniu przeglądali dane z monitorów, od czasu do czasu przerzucając wprawnym ruchem dłoni kolejne strony. Wszyscy nosili podobne białe uniformy, które bardziej przypominały pianki do surfingu niż lekarskie fartuchy. Wszyscy też byli bardzo młodzi. Zbyt młodzi. Jeśli June jest tu najstarsza stażem, muszą chyba zatrudniać absolwentów przedszkola. I to z castingu na modeli. Raz jeszcze przyjrzał się pięknym, zdrowym cerom oraz idealnym rysom pracowników kliniki. Co to ma być?! Ośrodek treningowy dla studentów? O nie! Jeśli jest poważnie chory, nigdy nie pozwoli, żeby zajmowały się nim te żółtodzioby. Wiadomo, gdzieś muszą się uczyć... ale niech leczą go pod nadzorem kogoś bardziej doświadczonego. W końcu, u licha, tu chodzi o jego zdrowie!

– Chcę natychmiast wiedzieć, co się stało! Co przede mną ukrywacie?! Gdzie jest moja rodzina?! – Miał dosyć zabawy w kotka i myszkę. Nie podobał mu się ten szczeniak, udający wielkiego fachowca.

Shaw chrząknął, po czym spojrzał wymownie na pozostałych, którzy na jego znak posłusznie opuścili salę.

– Pana żona z córką nie uczestniczyły w wypadku – odpowiedział.

A więc jednak... wypadek. Przez sekundę zobaczył nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę.

– Chcę zadzwonić. Proszę mi podać telefon!

– Niestety, nie w tej chwili. Przede wszystkim trzeba zadbać o pana zdrowie. Zaczniemy od kilku prostych pytań. Jak się pan nazywa, ile ma lat, gdzie pracuje?

Zacisnął mocniej szczęki. Nie miał wielkiego wyboru, był zbyt słaby – mimo złości musiał przystać na warunki młodego doktora. Już mój prawnik z tobą potańcuje! Niech no tylko stąd wyjdę! – pogroził Shawowi w myślach.

– Więc? – ponaglił go psychiatra.

– Przecież wiecie – odparł rozdrażniony.

– Tak, ale muszę sprawdzić, czy również pan to wie – cierpliwie wyjaśnił lekarz.

– Nazywam się Adrian Lawson, mam czterdzieści lat, mieszkam w L.A., skończyłem UCLA, pracuję w wytwórni filmowej... w Torico Productions. Mam żonę Amy i sześciolletnią córkę Ellę. Coś jeszcze? – wypalił jednym tchem, wciąż oburzony zachowaniem personelu. Jakim prawem traktują go jak więźnia?!

– UCLA to dobra uczelnia, prawda?

– Będziemy teraz omawiać poziom uczelni? Serio? – Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Panie Lawson, to ja zadaję pytania. Pan na nie odpowiada.

– Żarty sobie, studenciaku, ze mnie robisz?! Przyslijcie tu jakiegoś prawdziwego lekarza! Nie będę rozmawiał z niedouczonego gówniarzem! – Adrian aż poczerwieniał na twarzy.

Psychiatra odsunął się od łóżka i wyrecytował bezbarwnym głosem:

– Odmowa współpracy. Pacjent pobudzony. Agresja na poziomie sześć i osiem stopnia w skali Goldinga. Zalecenia: dodatkowa dawka leków nasennych. Do doktor Thorndike: pacjent do dalszej konsultacji.

– Zaraz! Chwileczkę! Nie zgadzam się na żadne leki! I natychmiast przynieś mi tu komórkę! Chcę zadzwonić do żony. Ona jest lekarzem! – Gdyby nie osłabienie, najchętniej dałby temu nadętemu gnojnikowi w zęby. Nie miał jednak siły nawet ruszyć ręką. Spojrzał na rurki transportujące jakąś niebieskawą substancję wprost do

jego żył. – Co to jest? Co mi podajecie? Chcę natychmiast stąd wyjść! Na własne żądanie!

– Lawson... – Oczy psychiatry zrobiły się zimne i nieruchome. – Nie przewidujemy tutaj takiej procedury. Nie służy dobru pacjenta. A zdrowie pacjenta jest dla nas priorytetem.

– To jakiś absurd... – Znów poczuł się kompletnie bezradny i skołowany.

Doktor zmarszczył brwi – wpatrywał się ze skupieniem w monitor, ignorując ostatnią uwagę.

– Macie w domu zwierzęta? – zapytał niespodziewanie.

– Zwierzęta?

– Tak. Zwierzęta. Wie pan: kot, pies, papuga...

– Nie... – odpowiedział, nie rozumiejąc, do czego Shaw zmierza.

– Na pewno?

– Nie mogliśmy trzymać zwierząt. Ella jest alergiczką. Chociaż... zaraz... mieliśmy kiedyś legwana, ale uciekł. – Przypomniał sobie.

– Jak wyglądał?

– Co? – Znów nie zrozumiał.

– Legwan. Był duży?

– Nie, niezbyt... normalny. Zielony, cztery łapy, ogon. No... jak legwan.

Shaw ponownie potarł podbródek i bez słowa opuścił pokój. Adrian patrzył na zamknięte drzwi, a potem na unoszące się w powietrzu mgiełki ekranów. Może jest w wariatkowie?

Nagle poczuł ostry ból pod czaszką. W pomarańczowym blasku ujrzał spękaną samochodową szybę, a na niej krew. Dużo krwi.

– Fantastyczna scena... znakomita... – mruczał pod nosem. Lśniaca w zachodzącym słońcu gigantyczna cysterna zbliżała się do zakrętu. Kazał asystentowi jeszcze raz sprawdzić gotowość wszystkich dwunastu kamer. Peter, któremu dał ten film ze względu na starą przyjaźń, nie panował nad planem. Na szczęście *first aid*, Harley, którego niedawno wyszukał „w przepastnym brzuchu Lewiatana”, jak mawiało się u nich o studiu, zapowiadał się na prawdziwą gwiazdę. Chłopak wiedział, co robić! Trzeba będzie pomyśleć, jak go dobrze wykorzystać.

Na podglądzie z helikoptera widział czerwone maserati alfieri drugiej generacji. Z oszalałymi prędkością wchodziło w ostatni zakręt. Spod kół wydobyły się kłęby

dymu i kurzu. Pięknie... pięknie... o to właśnie chodziło! Mimo trudności z Peterem był zadowolony z efektu. Harley ogarnął temat na dwieście procent! Co za dzieciak!

Z szumu walky-talky wyławiał kolejne potwierdzenia. Ella będzie wniebowzięta! Uśmiechnął się do siebie. Uwielbiała katastrofy filmowe. Amy urwałaby mu głowę, gdyby wiedziała, jakie rzeczy ogląda razem z kilkuletnią córką. Ale od czego były małe tajemnice? Przełączył podgląd na kamerę za kołem cysterny. Żółta, przerywana linia na szorstkim asfalcie zmieniała się właśnie w podwójną ciągłą. Wybrał obraz z wnętrza ciężarówki. Łagodny łuk zakrętu coraz bardziej odsłaniał zachodzące słońce. Kadr zamazały pomarańczowe bliki. Przełączył się na maserati. Czerwonawe światło wypełniło lusterko. Tak! Tu będzie cięcie. Potem kamera na aktora. Przełączył. Blask wydobył z cienia twarz kierowcy. To niemożliwe! To jakaś pomyłka! – chciał krzyknąć, kiedy oślepił go ostry błysk. Wcisnął hamulec w podłogę. Masywny, srebrny kształt z rykiem wbił się w przednią szybę.

– Panie Lawson?

Wodził wokół nieprzytomnym wzrokiem. W uszach wciąż dźwięczał mu chrzęst gniecionej blachy, a na twarzy czuł uderzenie poduszki powietrznej i kłujące drobinki szkła.

– Przykro mi, że to trwa tak długo. Zwykle idzie szybciej, ale... jak to ująć... jest pan dość szczególnym przypadkiem. Proszę być dobrej myśli. – Monotonny głos Shawa był niewyraźny, jakby dobiegał z za szyby.

Szpital. Wypadek. Powoli składał fakty. Nagle serce ścisnął mu lęk. Coś tu jest nie tak... Coś nie tak...

Znów pochłonięta go ciemność.

– Ma koszmary. – Młody lekarz z zaciekawieniem patrzył, jak pacjent rzuca się na łóżku.

– Włącz podgląd – poleciła ostrym tonem. Była zła, że Shaw obserwuje Adriana jak rzadki egzemplarz Maszyny do Sprzątania. – I podaj mu coś na uspokojenie. Nie widzisz, że się męczy?

– June... moja droga... dawno włączyłem. Nie ma zaskoczenia. Zawsze śni im się koniec. Tak już jest. Spodziewałaś się czegoś innego? – Mrugnął do niej rozbawiony.

– Trzeba go jak najszybciej wykasować. – Zignorowała oczywistą zaczepkę.

– A ja bym jeszcze dzień, dwa zostawił – zaproponował psychiatra. – Większość transportu przechodzi gładko, w ciągu jednej doby. Nie kusi cię, żeby go trochę poobserwować?

– Nie mówisz chyba serio?

– Z punktu widzenia medycyny mogłoby to być bardzo przydatne.

– Ale nieludzkie! Naszą misją jest ograniczyć ból związany z Przybyciem do koniecznego minimum. Pierwsza medyczna zasada Thomasa Wolfa.

Shaw nie odpowiedział. Stał tuż przy szybie i ponownie zaczął się przyglądać Adrianowi, który teraz leżał bez ruchu, jednak oddech miał płytki, nerwowy.

– Niech zmienią mu pościel. Jest mokra od potu – zauważył. – W sumie bez znaczenia... Ale kiepsko wygląda.

– Czy ty naprawdę nie masz serca? – W czarnych oczach lekarki błysnęła wściekłość.

– Dla nich? – Shaw wskazał skuloną, drżącą postać. – June... przecież to tylko materiał. Czy litujesz się nad niesprawnym procesorem? Póki ich nie wyczyścimy, są skażeni. Są niczym. N i c z y m.

Spojrzała na niego bez słowa. Czy przekonałaby go argumentem, że ten materiał, jak go nazywał, to także żywa istota, która czuje ból i lęk? Oczywiście, że nie. Shaw jako psychiatra uczestniczył w selekcji, musiał być twardy i prawomyślny. Za nic nie odstąpiłby od reguł, nie złamał instrukcji, nie podważył wiedzy zdobytej w Akademii Medycznej im. Thomasa Wolfa. Była na siebie zła. Po co w ogóle kolejny raz wdała się w dyskusję z tym twardogłowym produktem Korporacji?

Ze złością sięgnęła po fiolkę leku na uspokojenie, odmierzyła odpowiednią dawkę i wezwała Obsługę Pacjenta.

Obudził go szum morza. Otworzył oczy. Wciąż był w klinice. Pod sufitem obracała się niezbyt duża, czerwona, połyskująca kula. To ona wydawała mylący odgłos. Zniknęła otaczająca go aparatura. Pozostały jedynie, zawieszony w przestrzeni, bladezielone monitory. Ostrożnie podniósł się z pośłania – nie dokuczał mu najmniejszy ból. Prawdę mówiąc, czuł się wyśmienicie, wypoczęty jak nie zdarzyło mu się od lat. Przy łóżku stał niewielki stolik, a na nim taca z różnej wielkości niebieskimi pojemnikami. Wziął do ręki jeden z nich, miał ochotę go otworzyć, ale się zawahał. Odłożył pudełko na miejsce.

– Śmiało, to dla ciebie. Smacznego. – Usłyszał płynący zewsząd, a jednocześnie znikąd głos June.

Poczuł się jak owad zamknięty w słoiku. Nie miał komórki, Amy wciąż nie było, a oni najwyraźniej go obserwowali. Nie był pewien, czy ta stuknięta banda smarkaczy nie zechce go otruć, jednak głód okazał się silniejszy. Ostrożnie otworzył pierwsze pudełko. W pomieszczeniu rozszedł się aromat pieczeni. Łapczywie zaczął pochłaniać cieniutkie plastry znakomitej, delikatnej wołowiny. Kolejne naczynie kryło fantastyczną zupę, której składu nie rozpoznał, ale smakowała tak dobrze, że mógłby ją jeść bez końca. Znalazł jeszcze słodkiego arbuza o nieprawdopodobnie intensywnym aromacie i doskonały kawior. W życiu nie jadł nic lepszego! Nieźle tu karmią – przeszło mu przez myśl. Na koniec chwycił do ręki wysoki, lekko spłaszczony pojemnik i wyciągnął z niego pięknie zdobioną butelkę koniaku. Henri IV Dudognon Heritage – przeczytał napis. Dobrze wiedział, ile kosztuje flaszka tego trunku. Raz w życiu miał okazję go spróbować, malutki kieliszek, łyk dosłownie, na który wydał majątek. Jednak okazja była naprawdę wyjątkowa! Tego dnia zabrał Amy do Santa Barbara na kolację w eleganckiej restauracji. Tam się oświadczył. Potem przez pół roku musiał zaciskać pasa, ale było warto! Przypomniawszy sobie zaskoczony wzrok Amy i jej cudowny uśmiech i... tę noc – z księżycem w pełni, szumem fal i zapachem róż, unoszącym się w ciepłym powietrzu. Zadbawszy o każdy szczegół. Choć jego żona twierdziła inaczej, był przekonany, że właśnie wtedy, na skąpanej w magicznym srebrnym blasku plaży, poczęli Ellę. Nawet jeśli tak nie było, lubił w ten sposób myśleć. Zateęsknił za swoimi dziewczynami.

Jeszcze raz spojrzawszy na ozdobną butelkę. Henri IV Dudognon Heritage wyglądał w tym miejscu kompletnie nierealnie. To musiała być naprawdę ekskluzywna klinika. Może umieścili go w jakimś pokoju dla VIP-ów? Pozwolił sobie na odrobinę próżności, zanim skarcił się w duchu. Zbyt dobrze znał naczelną zasadę działania show-biznesu: jesteś wartością, dopóki przynosisz dolary. Dziś klinika dla VIP-ów, jutro miejscówka pod mostem. Sam utrzymał się na powierzchni przez tyle lat z dwóch powodów: był naprawdę dobry oraz nigdy nie wyrolował szefa. Zwłaszcza uczciwość i lojalność były tak rzadkie w jego środowisku, że czasem ceniono je bardziej niż pieniądze.

Przeanalizował ostatnie wydarzenia. Już nie był taki pewny, co mu się śniło, a co było prawdą. Może faktycznie ma jakieś kłopoty z pamięcią?

Otworzył kolejne niebieskie pudełko. To, co ujrzał, podobnie jak wykwinny koniak, wydawało się absolutnie niemożliwe. Jakby nagle znalazł się w jednej z disneyowskich bajek. Nie zdziwiłby się, gdyby ze ściany wyskoczył dżin w turbanie. Deser za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w szpitalu? Absurd! A jednak na tacy spoczywał pojemnik, a w nim pucharek z dziełem sztuki kulinarnej, ozdobionym

delikatnymi płatkami dwudziestoczekaratowego złota. Obok, w specjalnej przegródce, leżała złota, wysadzana diamentami łyżeczka z charakterystycznym diabełkiem – dzieło Euphoria New York, jednego z najbardziej eleganckich domów jubilerskich. Zamrugnął, nie miał halucynacji – słynny Ferrerozen Haute Chocolate z nowojorskiej Serendipity 3 nadal tam był. Ostrożnie spróbował truflowej śmietany. Poczłł rozkosz na podniebieniu, jakiej chyba dotychczas jeszcze nigdy nie doświadczył. Co to za miejsce? Jak tego dokonali? Dręczyły go pytania, choć nie miał nic przeciwko, żeby jego terapia, skoro już była konieczna, przebiegała w podobnych warunkach. Musiał się znajdować w jednym z tych owianych tajemnicą miejsc, w których leczą się najbogatsi! Nie było innego wytłumaczenia.

– Niesamowite... – Pokręcił głową i włożył do ust małą łyżeczkę.

Drzwi się rozsunęły, do pomieszczenia weszła June. Bez słowa zaczęła przeglądać dane na jednym z ekranów.

Jej widok przywrócił go do rzeczywistości. Czas wreszcie coś ustalić. Zdecydowanym ruchem odsunął tacę z frykasami. Klinika dla VIP-ów czy nie – nie mają prawa go tak, bez słowa wyjaśnienia, przetrzymywać.

– June... czy możesz mi powiedzieć, co się stało? – zaczął dość ostrożnie, w obawie, żeby nie wyszła. – Nie będę się złościł. Tylko mi wyjaśnij – uspokoił ją, widząc wahanie odmalowane na gładkiej, nieco dziecinnej twarzy.

– No dobrze – podjęła decyzję. – Chociaż za chwilę to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia.

– Mam nadzieję, jednak wolałbym wiedzieć.

– Wracalesz z pracy i wpadlesz pod ciężarówkę. Ot, cała historia. – Wzruszyła ramionami.

– Jechałem sam?

– Sam.

– W jakim byłem stanie po wypadku?

– Kiepskim.

– Ale mnie połataliscie?

– Można tak powiedzieć.

– Czy to znaczy, że mogę się spodziewać jakichś komplikacji w przyszłości?

– Żadnych.

– Przecież coś może jeszcze wyjść za miesiąc, a nawet za rok. Moja żona jest lekarką, trochę wiem na ten temat. Powikłania zdarzają się nawet po długim czasie. – Był zaniepokojony jej lekkim podejściem.

– Adrianie, jesteś całkowicie zdrowy – powtórzyła dobitnie.

– I możesz mi zagwarantować, że taki pozostanę do końca życia? Że nigdy nie odczuję żadnych dolegliwości z powodu odniesionych urazów?

– Ludzie lubią nadużywać słowa koniec... – Westchnęła i zaczęła zbierać się do wyjścia. – Tak, gwarantuję, że nigdy nic nie będzie ci dolegało.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Jestem lekarzem. – Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.

– June! – zatrzymał ją.

Stała w progu i skierowała na niego, pozbawiony najmniejszych oznak zniecierpliwienia, wzrok.

– Gdzie jest moja komórka? Znaleziono ją?

– Niestety... zdaje się, że nie...

– Mógłbym dostać inną? Muszę zadzwonić.

– Przykro mi, to niemożliwe – odparła spokojnie, lecz stanowczo.

– June?

– Tak?

– Ja nie proszę. Mam prawo skontaktować się z bliskimi. Nie możecie mi tego zabraniać. – Nadał swojemu głosowi nieco twardsze brzmienie. Z niepokojem usłyszał w nim także nutkę hysterii.

– Naturalnie. Przede wszystkim jednak mamy obowiązek robić wszystko, co będzie najlepsze dla twojego zdrowia. – Lekko przymknęła wciąż otwarte drzwi i spojrzała na niego badawczo. A może tylko tak mu się wydawało?

– To śmieszne. Czy możesz mi wyjaśnić, w jaki sposób skorzystanie z telefonu pogorszy mój stan? Nawet jeśli, przecież mówiłaś, że jestem zdrow jak ryba.

Ktoś tu robił z niego idiotę. Jasne, należała się im wdzięczność za ocalenie życia, za doskonałą opiekę, za wspaniałą robotę chirurga, ale nie był przecież, do cholery, niewolnikiem. Nie mogli, ot tak, łamać jego podstawowych praw!

– Może pogorszyć. I to bardzo.

Zauważył, że znów włączyła terapeutyczny ton.

– To absurd... – Nie dawał za wygraną. – O co chodzi? Komórka zakłóci pracę jakichś urządzeń? Fale zaszkodzą mojemu organizmowi? Po prostu powiedz, w czym rzecz, i będzie po sprawie. – Postanowił zażegnać wiszący w powietrzu konflikt. June, jak na razie, była jedyną osobą, od której mógł się czegokolwiek dowiedzieć. Nie chciał tego zmarnować.

– Jedno i drugie – odpowiedziała w końcu. – Wybacz, trochę się spieszę. Po prostu mi zaufaj, w porządku?

– Przydałaby się garść informacji, żebym mógł to sobie jakoś poukładać.

- Samo się poukłada. W swoim czasie.
- Jak długo tu jeszcze zostanę?
- Adrianie, rozumiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz spokojnie czekać. Za dzień, dwa będzie po wszystkim.
- Możesz mi chociaż powiedzieć, od jak dawna tu jestem?
- To trzecia doba – odparła i zamknęła za sobą drzwi.

Trzecia doba?! Jakim cudem poskładali go po tak okropnym wypadku w ciągu trzech dni? Musiała się chyba pomylić. W panice odrzucił okrywający nogi miękki pled. Opadł bezwładnie na poduszki, a serce waliło mu jak szalone. Zamknął oczy – modlił się, żeby cokolwiek wreszcie zrozumieć. Opanował atak paniki i ponownie przyjrzał się swojemu ciału. Niewątpliwie należało do niego, ale miał wrażenie, jakby patrzył na własne nogi, ręce, brzuch... o dwadzieścia lat młodsze. Ostatni raz wyglądał tak chyba na studiach. Miotaly nim skrajne emocje. Nie był przecież niezadowolony. Nikt by nie był! Jednak nie wierzył w cuda – a tak to właśnie wyglądało. Jego umysł znów zaczął się buntować. Chirurgia plastyczna? Szybko wykluczył tę możliwość. Po pierwsze: nikt nie wykonałby podobnych zabiegów bez jego zgody – to groziło kryminałem, a w najlepszym wypadku horrendalnym odszkodowaniem. Po drugie, znacznie ważniejsze: rany goją się długo. Nierealne, żeby na jego ciele nie pozostały żadne blizny.

Zaczął gorączkowo oglądać skórę centymetr po centymetrze. Ani śladu uszkodzeń. Nie było nawet brzydkiej szramy na prawej łydce – pamiątki z dzieciństwa. Wiedział, że akurat taki ślad można z łatwością usunąć za pomocą lasera. Ale czym przywrócili mu młody wygląd? I gdzie, u diabła, są rany po wypadku? Z trudem powstrzymał kolejną falę lęku. Przecież od razu widać, że nie znajduje się w zwyczajnym szpitalu. To raczej coś w rodzaju eksperymentalnego ośrodka naukowego albo bardzo ekskluzywnej kliniki. Muszą być daleko przed resztą świata. Nowy wygląd zapewne zawdzięczał jakiemuś superskutecznemu serum lub czemuś w tym rodzaju. Czytał kiedyś o badaniach nad podobnym specyfikiem. A może zrobili mu transfuzję? Niektóre gwiazdy poddawały się takim zabiegom. Nagle zrozumiał – jak mógł wcześniej o tym nie pomyśleć?! To miało, zdaje się, jakiś związek z cząstkami elementarnymi, bozonami czy jak im tam było. Pożałował, że w szkole przysypiał na fizyce. Choć w tej dziedzinie był zupełnym ignorantem, boska cząstka utkwiała mu w pamięci z powodu poetyckiej nazwy, jaką jej potocznie nadano. A o przełomie, o pierwszym udanym kompletnym przeszczepie ciała, po prostu nie dało się nie słyszeć. Nowe możliwości rozpały wyobraźnię ludzi do czerwoności. Potem bardzo szybko, tuż po pionierskiej operacji, zaczęło się zamieszanie. Świat ogarnął

histeryczny strach przed zabawą w Boga. Nie był pewny, czy to z powodu protestów, czy przyczyna była inna, ale dalsze badania wstrzymano.

Słyszał jednak plotki o tajnych ośrodkach dla najbogatszych. Czy dokonywano tam także kompletnych przeszczepów? Jak niemal wszystko na świecie, i to pewnie było wyłącznie kwestią ceny. Żyjąc w środowisku, które umierało ze strachu na widok pierwszej zmarszczki, wśród ludzi, którzy sprzedaliby własną matkę za kolejny rok bez cellulitu, a siebie za mniej centymetrów w talii, nie miał wątpliwości, że za nowe ciało byłiby w stanie nawet zabić, a już na pewno złamać prawo.

Z jakiego powodu otrzymał tak cenny dar? Właśnie on? Nie był życiowym nieudacznikiem, nieźle sobie radził, ale przecież nie należał do elit. Dotychczas nic w życiu nie spadło mu z nieba, na wszystko musiał ciężko zapracować. Nie wierzył w takie prezenty. Ciekawe, kiedy oraz ile przyjdzie mu zapłacić. Znów pojawił się niepokój pomieszany z oburzeniem, że zdecydowano za niego. Jednak radość z niespodziewanego odmłodzenia była silniejsza niż obawy.

Nie mógł się doczekać, kiedy o wszystkim opowie Amy. Jak jego żona zareaguje na młodszego o dwadzieścia lat męża? Nieważne, ile to kosztuje, uzbierają wystarczająco dużo, żeby mogła się poczuć jak on teraz. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał tyle energii! Zaczął się rozglądać za jakimś lusterkiem, lecz nic takiego nie znalazł. Przez chwilę próbował wykręcić głowę i zobaczyć swoje odbicie w gładkiej powierzchni szafki. Obraz był niewyraźny. Wtem przyszła mu do głowy inna myśl, o wiele bardziej prawdopodobna niż cudowne odmładzanie i najdroższe desery świata. Pewnie go czymś naćpali, lada moment czar pryśnie, a on się obudzi: w starym ciele, z objawami ponarkotykowego zjazdu.

Znów zaczęła dopadać go senność.

Wiedział, gdzie jest. Wszystko pamiętał. W zalewie wrażeń niewiele było konkretnych i pewnych informacji. Jego umysł starał się jakkolwiek to wszystko uporządkować. Miał wypadek, ciężki. Zderzenie z ciężarówką. Jechał sam. Wylądował w nowatorskim ośrodku, gdzie poskładali go do kupy, a nawet spowodowali, że poczuł się jak młody bóg. To jeszcze brzmiało w miarę sensownie, choć i tak był oszołomiony możliwościami współczesnej medycyny. Gorzej, że odkąd się tu znalazł, nie miał kontaktu z rodziną. Gdyby cokolwiek złego przydarzyło się Amy czy Elli, chyba by mu o tym powiedziano? Przynajmniej taką miał nadzieję. Dlaczego go izolują? To rodzaj kwarantanny? Może ciężarówka wiozła jakieś niebezpieczne substancje? Odpady medyczne, toksyczne, radioaktywne? Nie – uznał

tę wersję za bezsensowną. Lekarze przecież wtedy nie wchodziliby do niego bez strojów ochronnych.

Przeanalizował całą sytuację od początku. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Jedyne, co mu przychodziło na myśl, to problemy neurologiczne. Pewnie podczas wypadku doznał urazu głowy. Popatrzył na płataninę rurek i kabli – nie odważył się ich odpiąć. Zachować spokój, nie poddać się panice, to teraz najważniejsze. Procedura Zero... – przypomniał sobie. Nie miał bladego pojęcia, co oznacza. June powiedziała, że niedługo będzie po wszystkim i wypiszą go do domu. A jeśli wcale tego nie mówiła? Jeśli tylko tę rozmowę wymyślił? Niczego już nie był pewny. Procedura Zero może oznaczać wyłącznie jedno – uspokoił się – niebawem wróci do domu.

Kolejny raz uważnie się obejrzał. Ramiona, nogi, brzuch – wszystko było jak nowe. Miał czterdzieści lat i ciało dwudziestolatka! Znowu poczuł dezorientację, a jednocześnie euforię. Przyszło mu do głowy, że warto sprawdzić, czy da radę stanąć na własnych nogach, kiedy otworzyły się drzwi. Do pokoju zamaszystym krokiem wszedł Shaw w towarzystwie wysokiego, śniadego mężczyzny.

– Witam! – zawołał wesoło od progu. – Widzę, że się obudziliśmy? Jak się spało?

– Dobrze.

– A samopoczucie? – Doktor tryskał energią.

– Zaskakująco świetne jak na moje obrażenia.

Liczył, że sprowokuje lekarza do wyjaśnień. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Shaw dał znak swojemu koledze, po czym obaj zbliżyli się do łóżka.

– I o to chodziło, właśnie o to... – Z zadowoleniem przyjrzał się Adrianowi. – Tusambe, mój asystent – przedstawił mężczyznę, który lekko skinął głową. – No, dosyć lenistwa! – Psychiatry klasnął w dłonie. – Trzeba się rozruszać!

– Mogę już wstać?

– Najwyższy czas! Jest pan zdrowy, teraz popracujemy nad siłą. Ale na początek musimy pana podnieść. Tus!

Chwycili Adriana pod ramiona i dźwignęli. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że pokój nie ma podłogi. Po kilku sekundach stopy znalazły oparcie, choć nogi wciąż były jak z waty, a kolana aż drżały z wysiłku. Pytająco spojrzął na doktora.

– To normalne – uspokoił go Shaw. – Trochę pan leżał. Tus wpadnie tu dziś jeszcze parę razy. Jutro nie będzie śladu niemocy.

– Niesamowite... – podsumował Adrian, kiedy z powrotem znalazł się na łóżku.

– Co takiego? – z niekłamanym zainteresowaniem zapytał psychiatra.

– Jak to możliwe, że w ciągu trzech dni wróciłem do zdrowia? Nie tylko wróciłem, ale też odmłodziłem o dobre kilkanaście lat?

– Zauważył pan? – Doktor wyglądał na szczerze ucieszonego.
– Przecież nie da się nie zauważyć!
– Uwielbiamy ten moment, kiedy pacjenci dostrzegają swoje nowe ciało. – Aż zatarł ręce z zadowolenia. – Prawda, Tus? – Asystent milcząco potwierdził.

– Ale jak...
– Żadna magia, czysta nauka, panie Lawson! – przerwał mu w pół zdania. – Na tym etapie nie jest istotne jak, najważniejsze, że jest pan zadowolony. Bo jest pan, prawda?

– Jestem... naturalnie, że jestem... tylko...
– Będzie czas na pytania. Najpierw jednak musi pan przejść do prawdziwego życia. To nasz cel. – Młody psychiatra ponownie nie pozwolił mu dokończyć.

– To wszystko... cała wasza klinika jest... dość niezwykła...
– A... dziękuję, panie Lawson, dziękuję. Robimy, co możemy. – Shaw wziął te słowa za komplement, choć w istocie były wyrazem niepokoju.

Nagle Adrian pojawił – lekarze również korzystali z zabiegu odmładzania, stąd ich wygląd! Jeden element układanki wskoczył na swoje miejsce, ale nadal było więcej pytań niż odpowiedzi. Bardzo martwił się o Ellę i Amy. Nie rozumiał, czemu wciąż się z nim nie skontaktowały.

– Kiedy stąd wyjdę? – zapytał bez ogródek.
– Jutro. Nie ma powodu dłużej pana zatrzymywać.
– Tak szybko?
– Prawdę powiedziawszy, zwykle mamy lepsze tempo. Jak już wspominałem, stanowił pan dość trudny przypadek.

– Ach tak... – Nie miał pojęcia jak skomentować kolejną rewelację.
– Bardzo nie chciał się pan rozstać ze swoim życiem, panie Lawson. To się czasem zdarza. Niezwykle rzadko, ale jednak – dodał spokojnie Shaw.

– Nic dziwnego, mam dobre życie. Kto by się chciał takiego pozbywać? – zązartował. Wiadomość, że jutro opuści szpital, znacznie poprawiła mu humor.

– Ten, kto nie wie, że może być jeszcze lepsze?
– Ma pan na myśli nagrodę w niebie i te rzeczy? – Pokręcił głową, zaskoczony filozoficzną refleksją psychiatry.

– Może... – enigmatycznie odparł lekarz.
– Wolę jeszcze przyjemnie pożyć tu i teraz, na Ziemi. Jak to mówią, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Nie jestem wierzący – wytłumaczył się. – Mam dość racjonalny umysł...

– To tak jak ja. Doskonale pana rozumiem. Absolutnie się zgadzam, że należy zadbać, by właśnie nasze realne życie było jak najlepsze. No, czas na nas. A pan niech odpoczywa – wydał zalecenie, ponownie skinął na asystenta i obaj mężczyźni skierowali się ku wyjściu.

– Dziękuję! – wykrzyknął Adrian, rozradowany dobrymi wiadomościami.

Opadł na poduszki uspokojony. Wizja bliskiego powrotu do domu spowodowała, że po raz pierwszy pozwolił sobie na chwilę prawdziwego odprężenia. Pomyślał o płycie „December” George’a Winstona. Słuchał jej zawsze, kiedy czuł się potwornie zmęczony. Tak jak teraz. Dźwięki fortepianu cudownie koły skołatane nerwy. Nagle zdał sobie sprawę, że nie odtwarza muzyki w myślach, lecz ją słyszy. Płynęła gdzieś z ukrytych w suficie głośników. Ciekawy zbieg okoliczności. Gdyby nie był realistą, mógłby podejrzewać, że czytają mu w myślach. Opanowało go znużenie, a spokojne nuty wprawiły w błogi nastrój. Z klimatyzatora falami napływało leśne powietrze. Poczul, jak miękkie, wygodne łóżko go kołysze, a powieki coraz mocniej ciążą.

Nie miał pojęcia, czy jest noc, czy dzień. Nie wiedział, która godzina. Mógł tu być od kilku dni, ale równie dobrze od tygodni czy miesięcy. Właściwie jaki miał powód, by wierzyć tym ludziom? Nie znał ich, nawet nie widział ich papierów. Może wcale nie są lekarzami? Może chcą przeprowadzić na nim jakiś eksperyment? Czemu nie założył innej wersji wydarzeń niż ta, którą mu przedstawiono? Teraz, kiedy spędzał kolejną samotną godzinę na rozmyślaniach, nachodziły go coraz poważniejsze wątpliwości. June, doktor Shaw, asystent... wszyscy młodzi i piękni. Zabieg był z pewnością bardzo drogi. Czy naprawdę każdego szeregowego pracownika szpitala stać na takie fanaberie?

Uległ panującej wokół atmosferze spokoju i profesjonalizmu. Życzliwa lekarka, pewny siebie doktor, cierpliwy rehabilitant kompletnie uspili jego czujność. Nie mógł wprost uwierzyć, że zgodził się na utrudnianie mu kontaktu ze światem, na dziwne zabiegi, na brak pełnej informacji. Czy parę gadżetów, eleganckie wnętrza i ciepłe gesty personelu kompletnie pozbawiły go rozsądku?! Za nowe ciało zapłacił rozumem? Nie ma mowy, żeby na odchodne nie uzyskał choćby podstawowych wyjaśnień.

Nie mógł zasnąć, ale wolał nie prosić o leki. Podczas rozmowy z personelem kliniki chciał mieć świeżą głowę. Wiele wskazywało, że czeka go niełatwa przeprawa.

Zmienił szum lasu na odgłosy ogrodu. Otoczył go świergot ptaków i cudowny zapach świeżo skoszonej trawy. Przypomnił mu dzieciństwo. Wolne dni często

spędzał u babci. Najbardziej lubił leżeć w hamaku i obserwować chmury - próbował dopasować ich kształty do ludzi, zwierząt, przedmiotów. Potem, jako nastolatek, w tym samym hamaku marzył o wspaniałych przygodach, najpiękniejszych dziewczynach, ciekawym życiu. Poczł cynamonowy aromat szarlotki. Wszystko się zgadzało. Popołudnia u babci pachniały świeżo ściętą trawą i właśnie... szarlotką. Z oddali dobiegło go szczekanie Candy, niesfornej, ukochanej goldenki dziadka, a zaraz potem odgłosy teleturnieju, stukanie naczyń oraz szum płynącej z kranu wody. Na końcu usłyszał śpiew Emily. Jako dzieciak kochał się do nieprzytomności w prześlicznej córce sąsiadów.

Jakim cudem słyszy te dźwięki i czuje zapachy z babcinego ogrodu?! Nie było mowy o pomyłce – wyraźnie rozróżniał doskonale sobie znane odgłosy domowego życia dziadków. Dosyć tego! Kolana lekko się pod nim ugięły, jednak po chwili pewnie stanął na niespodziewanie ciepłej podłodze. Czł się silny i zdrowy. Zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom. Przez moment przeszukiwał wzrokiem gładką taflę mlecznego szkła. Nie znalazł klamki. Ani niczego, co mogłoby służyć do otwierania.

– Jasna cholera! – zaklął w głos.

Chwilę mocował się z szybą, ale ta nie ustąpiła nawet o milimetr. Jego oddech przyspieszył, a wyobraźnia podsuwała coraz bardziej przerażające możliwości. Zdecydowanie zmieniło się w bezsilność, by w końcu przekształcić się w strach. Co, jeśli znalazł się w rękach szalonych naukowców, którzy będą podglądać przez kamery, jak zmienia się w muchę? Zdał sobie sprawę, że to brzmi niczym scenariusz jednego z hollywoodzkich filmów. Najpewniej zwyczajnie nie założyli, że nie będzie umiał otworzyć drzwi – spróbował uspokoić rozszalałą wyobraźnię. Raz jeszcze obrzucił spojrzeniem matowe szkło. Głos rozsądku ani trochę go nie przekonał. Tu naprawdę coś nie grało. Jakim prawem w ogóle go zamykają? Znow poczuł lęk, a sekundę później złość. Co, u diabła?! To, że uratowali mu życie, nie upoważnia ich do łamania podstawowych obywatelskich praw. Może takie rzeczy przechodzą w Chinach, ale nie tutaj!

Zaczł się kręcić bezradnie po sali, poszukując interkomu lub chociaż przycisku alarmowego. W pomieszczeniu znajdowało się kilka przejrzystych ekranów – nie miał pojęcia, czy któryś z nich służy do komunikacji. Na chybił trafił zaczął dotykać monitorów. Zareagowały, zmieniając wyświetlaną treść w zielonkawą mgłę. Po chwili z mgły wyłoniły się nowe wykresy, krzywe... cała masa danych, których nie potrafił rozszyfrować. Nagle jeden z ekranów pokazał twarz. Jego twarz. Czterdziestoletnią, czyli z pewnością sprzed wypadku. Na trójwymiarowej fotografii ubrany był w smoking. Dobrze pamiętał, kiedy zrobiono to zdjęcie – podczas

ostatniej premiery. Choć w takim samym stroju, na podobnym tle uwieczniano go już parę razy, tylko wtedy nosił brodę; zaraz potem ją zgolił, bo nie podobała się Amy. Delikatnie wsunął dłoń w obrazek. Ekran rozprysnął się w milion kropelek, które stworzyły nowy wzór, coś w rodzaju karty szpitalnej. Formularz zawierał dane Adriana, jakieś liczby i kolejne barwne wykresy. Część informacji zrozumiał, czego dotyczyły pozostałe, mógł się jedynie domyślać. Wreszcie trafił wzrokiem na rubrykę: diagnoza. Zanim zdążył spojrzeć na wpis, usłyszał cichy trzask otwierających się drzwi. Kątem oka dostrzegł zaznaczoną na czerwono adnotację: podejrzenie FS.

W progu stanął doktor Shaw.

– Panie Lawson, czy nie uprzedzałem, że nie wolno panu samodzielnie wstawać? – powiedział, nie podnosząc głosu, za to wystarczająco dobitnie, by Adrian natychmiast odsunął się do monitora.

– Chciałem tylko poprosić o wodę... – wytłumaczył, w głębi duszy czując wściekłość z powodu własnej uległości. Obawiał się jednak, że agresja niczego tu nie przyspieszy.

– Wystarczyło zawołać. Mógł pan zrobić sobie krzywdę. Bardzo, ale to bardzo nieodpowiedzialne zachowanie. Zwłaszcza w przeddzień rozpoczęcia Procedury Zero. – Shaw mocno akcentował każde słowo.

Albo Adrian był już przewrażliwiony, albo w głosie psychiatry naprawdę pobrzmiwała groźba.

– Przepraszam. – Nie na żarty się przestraszył, że doktor może cofnąć jutrzejszy wypis.

– Widzę, że zerknął pan na swoją kartę... – Shaw podszedł do ekranu.

– Dopiero otworzyłem.

– Te dane i tak nie będą dla pana zrozumiałe.

Lekarz zaczął sprawdzać pliki. Adrian postanowił wykorzystać nadarzającą się okazję.

– Doktorze... – zaczął.

– Tak? – odpowiedział, wciąż odwrócony do niego plecami, Shaw.

– Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić mi...

– Panie Lawson, odłóżmy to. Mam teraz sporo do zrobienia. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na rozmowy.

Najwyraźniej przyjął tę samą taktykę co June.

– Tylko jedno pytanie. Co to jest FS?

Shaw obejrzał się gwałtownie. Na jego twarzy odmalował się niepokój, chwilę później zastąpiony uprzejmą gotowością.

– To termin medyczny – wyjaśnił, nie rozwijając tematu.
– Domyślam się. Chciałbym wiedzieć, co znaczy. Co znaczy, że zachodzi u mnie podejrzenie FS?

– Nic groźnego. Zresztą, wykluczaliśmy FS, więc nie powinno to pana niepokoić.
– Ale co u mnie podejrzewaliście? Chyba mam prawo wiedzieć? – Z coraz większym trudem ukrywał ogarniającą go wściekłość.

Lekarz się zawahał.

– Najprościej mówiąc, to pewne kłopoty z pamięcią – wytłumaczył w końcu.
– Amnezja? Zaniki?
– Wręcz przeciwnie. Nadmiar.
– Nadmiar pamięci?
– Uprzedzałem, że to nie będzie dla pana jasne. Proszę wybaczyć, w tej chwili naprawdę nie mam czasu na wielogodzinne wykłady. Może innym razem. Najważniejsze, że FS pana nie dotyczy.

Ich psim obowiązkiem było rozwiać jego wątpliwości! Adrian dobrze znał zasady. Amy wiele razy opowiadała, jak cierpliwie tłumaczy zawiłości medyczne pacjentom. Miał prawo wiedzieć, co się z nim dzieje! Żaden lekarz nie powinien odmawiać mu podania informacji. Nawet ten ugrzeczniony smarkaty psychiatra.

– Doktorze Shaw, bardzo się cieszę, że uratowaliście mi życie, ale stanowczo domagam się wyjaśnień! – Zrezygnował z uprzejmego tonu. – Chcę natychmiast dostać swoją dokumentację!

– To niemożliwe. – Lekarz podniósł się ostrożnie z krzesła.

– Możliwe, całkiem możliwe! Zapewniam pana. Chyba że chcecie mieć kontakt z moimi prawnikami. Spotkanie z nimi nie będzie należało do przyjemności! – Całkiem puściły mu nerwy, teraz już krzyczał. Nie pozwoli się dłużej zwodzić. Otrzyma odpowiedzi tu i teraz albo natychmiast mają go stąd wypuścić!

– Przykro mi, panie Lawson, takie mamy procedury...

– W nosie mam wasze procedury! Jestem wolnym obywatelem niepodległego kraju. Zamierzacie mnie więzić?

– Nikt nie będzie cię przetrzymywał wbrew twojej woli. Nie ma takiej potrzeby. – Shaw obniżył głos.

– Chcę rozmawiać z June, znaczy z doktor Thorndike. – Przyszedł mu do głowy ratunek. Tylko ona mogła przerwać tę farsę.

– Doktor Thorndike zakończyła swój udział w procesie przygotowawczym.

– Nie może tu na chwilę przyjść? – drążył.

– Przez Procedurę Zero przeprowadzę cię wyłącznie ja. Takie są zasady.

– Powiedzcie mi chociaż, co to jest ta cholerna Procedura Zero! I jaki znowu proces przygotowawczy? Do czego? Czemu robicie takie wielkie halo ze zwykłego wypisu ze szpitala?!

– Adrianie... – Psychiatry westchnął i dotknął lekko małego, czerwonego okienka. – Prawdę mówiąc, ta wiedza jest ci całkowicie zbędna. Za kilka godzin nic z tego, co przeżyłeś, nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

– Słuchaj no, doktorku... – Już nawet się nie starał pohamować złości. – Albo natychmiast mi wszystko wytłumaczysz, albo stąd znikam! W tej sekundzie! Jasne?!

– Wszystko jest w porządku. Uwierz mi...

– W porządku! W porządku! W porządku! – rozwścieczony przedrzeźniał lekarza. – Metoda zdartej płyty? Wkręćcie mi coś? Wbij sobie do głowy, człowieku, że to nie zadziała. Nie macie prawa mnie tu zatrzymywać i pozbawiać podstawowych informacji!

– Otrzymałeś podstawowe informacje. Wszystkie, które były ci potrzebne.

Dopiero teraz zauważył, że Shaw zaczął mówić mu po imieniu. Nie z nim takie numery! Dobrze znał te prostackie, socjotechniczne chwytły! Spokojny, uprzejmy ton doktora działał mu na nerwy. Złość sięgała zenitu. Czuł, że lada moment wybuchnie i walnie tego gnojka prosto w jego przystojną, odmłodzoną gębę. Resztkami sił się opanował, by wyartykułować kolejne żądanie:

– Natychmiast chcę rozmawiać z pańskim przełożonym!

– To niemożliwe – odpowiedział Shaw i wsunął rękę do kieszeni.

– Niemożliwe? To ja ci, koleś, pokażę, co jest niemożliwe! Będziecie mieli piękny proces. Szykujcie kasę na odszkodowanie. To nie do pomyślenia, żeby tak się obchodzić z pacjentami! – wykrzyczał i zdecydowanym krokiem ruszył ku wyjściu.

Drzwi były zamknięte.

– Otwieraj je! – ryknął w kierunku obserwującego go spokojnie doktora. – No, otwieraj! Ale już!

Jeżu... to jakiś świr... Jestem tu zamknięty z wariatem – przemknęło mu przez głowę.

– Otwieraj, do cholery! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem i ku jego zdumieniu drzwi się rozsunęły.

Zaraz potem policzek Adriana znalazł się blisko elastycznego, białego materiału, z jakiego wykonano podłogę. Rosły pielęgniarz wykręcał mu ręce w dość bolesny, ale profesjonalny sposób. Na pewno nie robił tego pierwszy raz. Adrian odwrócił głowę – kątem oka dostrzegł pomarańczowy kombinezon, spocone czoło i błysk białek w czarnej jak smoła twarzy. Dokładnie jak w jego koszmarnym śnie.

Sekundę później poczuł lekkie ukłucie w okolicy prawego ucha. Nastąpiła ciemność.

– June... jak mogłaś zostawić aktywne ekrany w pomieszczeniu pacjenta? Znasz przecież procedury... – Męski, wyniosły głos, dochodzący gdzieś z prawej strony łóżka, bez wątplenia należał do doktora Shawa.

– Wydawał się spokojny... – Adrian rozpoznał June.

– Wydawał się... – prychnął psychiatra. – Czy takiej oceny sytuacji uczono cię w akademii? Wiesz, do czego mogłaś doprowadzić?

– Co z tego, że coś tam wyczytał? I tak nic z tego nie zapamięta.

– A gdyby wpadł w szal, zanim przyszedłem? Gdyby zniszczył sprzęt? Jedno stanowisko mniej to przestój, którego Celestis na pewno by nie pochwaliło.

– Nie tak łatwo coś tu zniszczyć...

– Nie pasuje mi do ciebie taka lekkomyślność. Gdybym cię nie znał, mocno bym się zastanowił... – W słowach Shawa zabrzmiała nieprzyjemna, groźna nuta.

– Niby nad czym? – Jej głos pozostał obojętny.

– Nad twoją lojalnością?

– Nie posuwaj się za daleko – osadziła go ostro.

– Wciąż mam pewne obawy co do Lawsona...

– Niepotrzebnie. Z medycznego punktu widzenia nie ma przeszkód, żeby zaczynać.

– Jego zachowanie nie jest zwyczajne.

– Bo nie jest zwyczajnym przypadkiem. Spędził w klinice o wiele więcej czasu niż przeciętny pacjent. Dłużej od niego byli tu tylko Soto i Forcier. Jak widzisz, u nich wszystko dobrze się skończyło.

Psychiatra milczał dłuższą chwilę.

– Wystąpię o zgodę zarządu – powiedział po namyśle. – Lepiej dmuchać na zimne.

– Trochę przesadzasz. Dajmy mu szansę.

– Widzę, że za nic się nie poddasz. Walczysz o niego, jakby był naszym jedynym pacjentem.

– Doktorze Shaw... – odpowiedziała poważnie – walczę o każdego swojego pacjenta. Tak nakazują mi uczciwość i etyka zawodowa.

Otworzył oczy. Szklana kopuła rozszczepiała światło niczym pryzmat. Tańczące wokół tęczowe odbłaski tworzyły baśniowe widowisko. Poczucił się jak we wnętrzu

szklanej kuli, ulubionej zabawki z dzieciństwa. Nie był pewny, czy rozmowa, którą przed chwilą usłyszał, odbyła się w rzeczywistości, czy tylko mu się przyśniła. Dostrzegł zarysy ubranych na biało postaci, lekko zdeformowane przez zakrzywioną płaszczyznę szkła. Wyostrzył wzrok i przyjrzał się dokładniej. Żadna z tych osób nie wydawała mu się znajoma. Jego ciało oplatała pajęczyna srebrzystych nici. Znów, jak pierwszego dnia w szpitalu, nie mógł się poruszać. Ludzie po drugiej stronie intensywnie się krzatali, podłączając do szklanej kopuły kolorowe rurki oraz przewody. Co oni wyprawiają?! Nagle oślepiło go jaskrawe światło. Sala, pracownicy w białych uniformach, wszystko zaczęło wirować, jakby świat wokół porwało tornado. Karuzela przyspieszała. Poczł mdłości. Coś gwałtownie szarpnęło jego ciałem. Zaczł spadać. A może się unosić? Nie potrafił określić kierunku ruchu. Walczył z wciągającą go siłą, aż w końcu się poddał. Dziwny lot zaczął mu sprawiać niespodziewaną przyjemność. Ze zdumieniem zauważył, że dokładnie wie, jak się ułożyć, by swobodnie, bezpiecznie płynąć w ciepłym, ciemnym tunelu. Jakby robił to od zawsze. Nie ciekawił go już ani cel, ani sens tego doświadczenia. Nie musiał szukać drogi. Lęk ustąpił miejsca euforii.

Wreszcie znów ujrzał jasną poświatę. Tym razem miękka i przyjazna. Wpadł w rój skrzących się gwiazd, łagodne, pulsujące światło zapraszało go do środka. A może na zewnątrz? Mała byłaby zachwycona! Nie mógł sobie przypomnieć imienia córki, ale nawet to wydało mu się naturalne. Nic nie budziło niepokoju. Zbliżał się do blasku z nadzieją. Jak dziecko, które czeka na gwiazdkowy prezent. Niczego się nie bał. Niczym nie martwił. To cud – pomyślał. Prawdziwy.

2

Nad rozległą, malowniczą doliną wolno sunęły ogromne, pierzaste obłoki. Na ich tle raz po raz pojawiały się odblaski słońca, pochwycone w pastelową sieć ledwie widocznych ciągów komunikacyjnych. Czasem jakiś zaplątany promień rozbłyskiwał jaśniejszym światłem, odbijając się w trójkątnych szybach staroświeckich, wycieczkowych gondoli. Między mniejszymi, równie dostojnie i bezszelestnie jak obłoki, płynęły wielkie powietrzne statki. Wszystko skąpane było w tęczowych kropelkach wody, wyrzucanych lekką mgiełką przez domowe zraszacze oraz klimatyzatory. Z jasnego, marmurowego tarasu roztaczał się przepiękny widok – aż po horyzont. Nad domem Neumannów niebo przybrało bladawy kolor pistacji. Mieszkali tam tylko we dwójkę. Brat z siostrą. Nie znał ich zbyt dobrze, ale o ile wiedział, nosili to samo nazwisko. Neumanowie lubili otaczać się zielenią. Ze swojego miejsca mógł swobodnie obserwować, jak zmieniają dekoracje. Dziś rezydencja tonęła w delikatnym seledynie oraz subtelnej mięcie, gdzieniegdzie ożywiona intensywnymi refleksami barwy wiosennej trawy. Wokół niewielkiego, szmaragdowego stawu umieszczono spore bryły turmalinu i malachitu. Na jadeitowym rzeźbionym stoliku spoczywała misa z zielonego złota, bogato zdobiona diamentami, które teraz, w świetle zbliżającego się wieczoru, lśniły pomarańczowym blaskiem. Sam nie chciałby przebywać w tak monochromatycznym otoczeniu, ale z pewnej odległości dom Neumannów stanowił ciekawy kontrpunkt dla standardowych, zazwyczaj przeładowanych przepychem kolorów i form, okolicznych posesji. Plama zieleni pozwalała uspokoić wzrok, z czego chętnie korzystał.

Sięgnął po zimny sok, wyciśnięty ze świeżo zerwanych pomarańczy. Poczul się znudzony słodkim aromatem orchidei. Odstawił szklanę, zmienił program klimatyzatora na morską bryzę i wygodniej ułożył ciało na miękkim leżaku: przeciągnął się, oparł głowę o puchatą poduszkę, rozluźnił mięśnie. Wziął do ręki anachroniczną, papierową książkę; lubił niemodne rozrywki. Po chwili zaczęła go ogarniać senność. Już miał przymknąć oczy, kiedy usłyszał stukot obcasów, a zaraz potem powitanie Majordomusa. Widać Lamai wróciła wcześniej z lekcji tańca. Nie przeszkadzało mu to. Lubiał jej towarzystwo. Sądząc po odgłosach, właśnie ustalała

menu. Sam miał ochotę na coś prostego: naleśniki z owocami i syropem klonowym, a może zwyczajnego burgera?

Służący ciepłym, męskim głosem zaproponował krewetki w sosie imbirowym. Rozległ się przyjemny ptasi świergot, co oznaczało, że sugestia Majordomusa przypadła Lamai do gustu. Gdyby oczekiwała innych pomysłów, Adrian usłyszałby pojedynczy, metaliczny gong. Jego ulubionym dźwiękiem były dzwoneczki. Delikatne, nieśmiałe i tajemnicze. Carlos ustawił sygnał akceptacji na huczną owację. Przybył najdawniej z ich trójki. Teraz wędrował po górach Siódmej Planety. Zdobył już większość szczytów, ale na szczęście Celestis dbało o to, by wciąż tworzyły się kolejne. Poza niedostępnymi górami zostawały Carlosowi jeszcze morza, oceany, pustynie i loty w kosmos. Nawet gdyby zabrakło wyzwania, zawsze mógł zgłosić się do Korporacji, by wygenerować nowe pragnienie. Często wracał z wypraw posiniaczony, poraniony tak, że wymagał natychmiastowej regeneracji oraz dwu-, a nawet trzydniowego odpoczynku. Dbająca o swój wizerunek Lamai nie mogła zrozumieć zamiłowania Carlosa do niszczenia ciała. Jednak tolerowała dziwactwa brata.

Wyłączył klimatyzator i odłożył książkę na bok. Podniósł się z leżaka, rozprostował kości, zrobił kilka przysiadów, po czym ruszył w kierunku domu. Dziś Lamai miała złote, poprzetykane morelowymi pasmami loki. Wyczesane pukle przypominały mu holograficzne manekiny z centrów handlowych, ale starał się nie oceniać jej gustu. Reguły Dobrego Wychowania wyraźnie tego zabraniały. Zerknął w Lustro przy wejściu. Nie powinien narażać Lamai na widok rozchełstanego, ubrudzonego kolorowymi farbami szlafroka. Byłoby to bardzo niegrzeczne.

– Halo! – zawołała śpiewnie, głosem pożyczonym od swojego sygnału akceptacji. – Myślałam, że jesteś w Bibliotece...

Rzeczywiście, zazwyczaj o tej porze właśnie tam był. Kochał zapach starych woluminów oraz ciemne, wyciszone wnętrza Biblioteki Wszystkich Planet. Dzisiaj jednak niezwykle światło, wspaniale wydobywające z cienia szmaragdowy ogród Neumannów, skusiło go, by wyciągnąć farby i odwzorować pejzaż techniką akwareli. Nie był zadowolony z efektu, ale też nigdy wcześniej nie próbował malować. Zanim wróciła Lamai, zdążył przeczytać „Malarstwo akwarelowe dla początkujących” autorstwa Francisca Asensia Cervera, jedyną pozycję na ten temat, jaką znalazł w domowej kolekcji. Poradnik, choć przydatny, nie zaspokoił jego głodu wiedzy. Oczywiście, mógł zamówić potrzebne książki prosto do gabinetu, ale rady dawnych mistrzów lubił studiować w otoczeniu obitych bordową, zdobną tkaniną ścian Biblioteki. W porównaniu z Carlosem czy z Lamai był raczej staroświecki. Siostra – entuzjastka nowych technologii – żyła tu i teraz; brat bezustannie sięgał myślą w

przód. Żadne z nich nie zagłębiało się w przeszłość. Tylko on, Adrian, najlepiej czuł się w otoczeniu starych płyt, starych mebli, starych albumów. W swoim pokoju ustawił nawet ciężką, tradycyjną, skórzaną kanapę, a nie – typowe aerofotele. Korzystał też z wielkiego łoża, wyposażonego w archaiczny sprężynowy materac, zamiast z najnowszego krzyku mody: magnetycznej koi. Wolał wstawać ze zdrewniałym ramieniem czy nogą, niż spać zawieszony w powietrzu.

– Wychodzisz? – zapytał, widząc, że Lamai stanęła przed wielkim Lustrem.

– Aha! Tylko coś przekąszę, bo po tych tańcach burczy mi w brzuchu. Umówiłam się w Mieście z przyjaciółmi. Nie masz nic przeciwko? – upewniła się i zaczęła stroić miny do swojego odbicia. Ruchem dłoni zmieniała stroje, kolor oczu i włosów, a następnie wykrzywiała twarz z niezadowoleniem. Żadna ze stylizacji nie spełniała jej oczekiwań.

– Skądże – uspokoił siostrę. – I tak miałem zamiar jeszcze trochę poczytać. Zainteresowało mnie malarstwo.

– Malarstwo? Jak cię znam, pewnie spędzisz kolejne tygodnie, smarując pędzlem po płótnie?

– Nie inaczej – odpowiedział. Spodziewał się, co zaraz usłyszy.

– Adrianie, wyjdź trochę z tych swoich zakurzonych szuflad na świat. – Rzuciła mu błagalne spojrzenie. – Teraźniejszość stwarza tyle możliwości, a ty siedzisz zakopany po uszy w starociach.

– Lubię to.

– Wiem... – Wzruszyła ramionami, poprawiła jaskrawoczerwoną sukienkę, przeczesała ręką loki, które teraz przybrały bardziej rudawy odcień, i podeszła do niego, stukając obcasami. – Za to też cię kochamy. – Przyłożyła do karminowych ust wypielegnowaną dłoń, po czym starannie wyćwiczonym gestem przesłała mu buziaka. Jednocześnie drugą ręką chwyciła talerz z posiłkiem. – Tylko nie zapomnij jeść. – Wskazała na Majordomusa, który zamarł w pozie usłużnego wyczekiwania. – Jedzenie to największa przyjemność w życiu. Za nic nie porzuciłabym tego dla malarstwa.

– Za moment coś zamówię – zapewnił ją, a na dowód ruchem głowy przywołał służącego.

Nie potrafił zdecydować, na co ma chęć. Usiadł naprzeciwko siostry i zażądał menu. Nad stołem wyświetliła się plansza z napisem: przekąski. Nie chciało mu się studiować całej karty, więc włączył sortowanie. Pokazały się smakowicie wyglądające hologramy potraw. Przeglądał propozycje, od czasu do czasu wydając polecenie uwalniania zapachu.

– Adrianie... – zagaiła Lamai znad krewetek.
– Tak?
– Może wyprawimy przyjęcie?
– Jakaś okazja?
– Wraca Carlos...
– A tak, faktycznie... – przypomniał sobie.
– Myślałam, żeby zaprosić kilkoro przyjaciół.
– Z powodu Carlosa? – zdziwił się. Wcześniej nie świętowali powrotów brata aż tak uroczyście.
– Z powodu twojej rocznicy, słoneczko. – Pokiwała z politowaniem głową. – Dokładnie za tydzień mija rok, pamiętasz?
– Za tydzień? Zupełnie wyleciało mi z głowy... – Był szczerze zaskoczony. Z jednej strony czuł, jakby mieszkał tu od stu lat, z drugiej – ostatnie miesiące upłynęły zadziwiająco szybko.
– Za to ja dokładnie pamiętam! – wykrzyknęła radośnie. – Jak wczoraj! To był taki wspaniały dzień! Nie spodziewaliśmy się Zwiastującego. Myśleliśmy, że będziemy czekać na swoją kolej jeszcze co najmniej dwa, trzy lata. A tu nagle się zjawił. Kompletne zaskoczenie! Nawet nie wiesz, jak się cieszyliśmy, że zostaliśmy wybrani, by cię przyjąć. Nie mogliśmy się doczekać, aż upłynie dziesięć przepisowych tygodni karencji. Chyba ci już o tym opowiadałam?
– Bez szczegółów.
– No tak... rok pełen atrakcji, nie było czasu na wspominki. Co sądzisz o przyjęciu?
– Nie przepadam za tłumem, ale z takiej okazji chyba mogę się przełamać. – Wiedział, jakie to ważne dla Lamai. Chciał jej sprawić przyjemność.
– Naturalnie, jeśli masz coś przeciwko... – Wsunęła do ust ostatnią krewetkę.
– Nie. Ani trochę. Czas się rozruszać. Przyjęcie to naprawdę świetny pomysł.
– Znakomicie! A teraz leczę, bo Miasto nie śpi! – zaćwierkała i spowita szelestem tafty, odplynęła znów głośno stukając obcasami. Po chwili w pomieszczeniu pozostał jedynie aromat luksusowych perfum.
Spojrzał na tkwiącego w grzecznym ukłonie Majordomusa.
– Naleśniki z truskawkami i bitą śmietaną. Trzy razy – wydał polecenie. – Nie – poprawił się – jeden bez śmietany, z czekoladą – wyjaśnił i choć nie musiał tego zrobić, przepraszająco uśmiechnął się do Maszyny.

Po posiłku wrócił na taras. Z rezygnacją zerknął na rozrzucone farby, a potem uważniej przyjrzał się akwareli. Porównał ją z rzeczywistym pejzażem. Niby dokładnie odwzorowywała sielski widok, ale efekt psuła okropna czarna plama. Nie miał pojęcia, czemu ją namalował. Zniechęcony odstawił sztalugę na bok. Stracił zapał i nie był pewny, czy kiedykolwiek go odzyska. Coraz częściej odnosił wrażenie, że goni za czymś, co wciąż mu się wymyka. Zdarzały się momenty, kiedy całym sobą czuł, jak świat wokół nabiera niezwykłych barw. Sekundę później magia chwili pryskała jak mydlana bańka, by zostawić go bezradnego wśród białych, pustych kartek. Tworzenie nie sprawiało mu przyjemności. Wręcz przeciwnie – przygnębiało. Nie przepadał też za modą, podróżami, imprezami w Mieście. Nie ciekawiło go ogrodnictwo ani kolekcjonerstwo. Nie uprawiał sportów. Ciągłe coś rozpoczynał i porzucał w połowie – jak tę akwarelę. Tylko książki go nie nużyły. Jeszcze. Lamai twierdziła, że cierpi na zwyczajny, przejściowy brak pragnień i że powinien zgłosić się do najbliższego lekarza. Jej zdaniem Celestis na pewno zdoła wymyślić coś, co sprawi mu przyjemność.

– To żadne bohaterstwo – tłumaczyła mu kiedyś. – Zwyczajny brak rozsądku. Nie powinieneś tracić czasu na niepokoje. Nie są do niczego potrzebne, niczemu nie służą. No chyba że czujesz się poetą i przynosi ci to radość?

W rzeczywistości sam nie potrafił rozpoznać źródła niepokoju, wtedy jednak chętnie przystał na tę dość prawdopodobną diagnozę. Z jakiegoś nieokreślonego powodu nie było mu na rękę, by Lamai drażyła.

– Powinieneś wyjść do ludzi. To ci dobrze zrobi – dodała.

Znów się z nią zgodził. Tamta noc wszystko zmieniła. Po raz pierwszy zwątpił. Najpierw w innych, a potem w siebie.

Byli w klubie już drugą godzinę, czuł się znużony, ale postanowił wytrwać. Obiecał wieczór Lamai, więc – jak nakazywały Reguły Dobrego Wychowania – powinien dotrzymać słowa. Nie chciał też sprawić siostrze przykrości.

Siedział przy barze. Popijając kolorowe drinki, obserwował Lamai, która wraz z innymi szalała na ogromnym parkiecie. Właśnie wtedy dostrzegł tę dziewczynę. Stała w rogu sali i bujała się rytmicznie w przód oraz w tył. Z początku wziął to za jakąś formę tańca, jednak muzyka ucichła, a kobieta kontynuowała monotony ruch, opuszczając i podnosząc ręce w rytm swojego kołysania. Mamrotała coś pod nosem, co stwierdził po ruchu warg. Panował zbyt duży hałas, by zdołał cokolwiek usłyszeć, ale raz na jakiś czas, kiedy kończył się kolejny utwór, głośno i wyraźnie wykrzykiwała słowo „marionetki”, czym skupiała na sobie uwagę gapiów. Potem tłum wracał do zabawy i nikt się już tym nie zajmował. Z wyjątkiem Adriana. Choć nie miał pojęcia,

o co dziewczynie chodzi, nie potrafił oderwać wzroku od wijących się w hipnotycznych gestach, bladych, chudych ramion. Nagle gwałtownie odchyliła głowę. Jeszcze nigdy u nikogo nie widział takiego wzroku. Jej oczy raz po raz błyskały czerwienią w światłach dyskotekowych lamp, zaś wątłe ciało wpadło w dygot. Ktoś wrzasnął, przekrzykując hałas:

– Ona mnie dotknęła! Dotknęła mnie! Uważajcie!

Tłum się rozstał, muzyka ucichła. Kobieta stała teraz bez ruchu w środku utworzonego kręgu, a z jej ust, prosto na parkiet, spływała spieniona krew.

– Gdzie jest moja rodzina?! Co z nimi zrobiliście?! – wrzasnęła. – Pamiętam, dobrze pamiętam! Nie macie nade mną władzy! – Znow uniosła głowę w kierunku lustrzanego sufitu i wyszczerzyła pociemniałe od krwi zęby. Rozległo się nieludzkie wycie. Po chwili osunęła się bezwładnie na podłogę; jej ciałem wstrząsnęły konwulsje. W lokalu zapanowała przeraźliwa cisza. Nikt się nie poruszył. Milczący tłum wciąż tworzył zakłęty krąg wokół leżącej na podłodze postaci. Jak spod ziemi, przy drobnym ciele wyrosli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w jaskrawopomarańczowych kombinezonach. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej takie widział. Buchnęła muzyka, ludzie ruszyli do tańca i zasłonili barczyste sylwetki. Adrian był przekonany, że cokolwiek się tej dziewczynie przytrafiło, potrzebowała pomocy. Z jakiegoś nieznanego sobie powodu wątpił, czy otrzyma ją od dwóch osiłków w kombinezonach. Zerwał się zza baru i pognął w kierunku całego zamieszania. Na miejscu zastał jedynie rozbawione grupki imprezowiczów. Ani śladu rannej kobiety. Biegał tam i z powrotem, nerwowo się rozglądając.

– Gdzie ona jest? – pytał. – Gdzie się podziała?

Ale ludzie tylko kręcili głowami, zupełnie jakby nie wiedzieli, o czym mówi.

– Lamai! – ryknął na całe gardło. – Lamai!!!

Nikt z obecnych nawet nie przerwał zabawy, choć parę stojących bliżej osób posłało mu zdeglustowane spojrzenie i na wszelki wypadek zwiększyło dzielący ich dystans.

– Lamai! – Dopadł do siostry.

– O! Jednak potańczysz?! – Ucieszyła się na jego widok.

– Co... co to było? – Głos mu drżał, z emocji nie mógł złapać tchu.

Spojrzała na niego pytająco.

– Dlaczego jej nie pomogłaś?

– Komu? – Wyglądała na szczerze zdumioną. – Dobrze się czujesz? – Przyjrzała mu się podejrzliwie.

Stał pośrodku parkietu i nie potrafił zrozumieć, co tu się właściwe stało. Ktoś cierpiał, ktoś kogoś krzywdził, a oni tańczyli – jakby nigdy nic. Przeslizgnął raz jeszcze wzrokiem po rozbawionym tłumie. Czemu nikt więcej nie reagował?

Po tej nocy długo dochodził do siebie. Podpytywał Lamai, ale zarówno ona, jak i jej znajomi zarzekali się, że nic podobnego się nie wydarzyło. Nie widzieli kobiety, nie słyszeli wycia ani wołania o pomoc. Niemożliwe przecież, żeby wszyscy wokół się mylili. Może zasnął przy barze i coś mu się przyśniło? W końcu musiał uznać to za najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Choć niesamowicie realny – to był tylko sen. Tamtego wieczoru jednak zaszła jakaś zmiana.

Mijały dni, a on nadal odczuwał dyskomfort. Nic go nie cieszyło, nie przynosiło pełni zadowolenia. Wciąż dźwięczało mu w uszach potworne zawrozczenie dziewczyny. Nie miał pojęcia, czemu go to spotyka. Dlaczego nie potrafi żyć jak inni? Próbował szukać odpowiedzi w Bibliotece. Ani w dziale poradników, ani w dziale różnorodności żadnej nie znalazł. W jednej tylko książce pt. „Zdrowie i zadowolenie nowo przybyłego” trafił na wzmiankę o podobnych stanach, wywołanych trudnościami z aklimatyzacją po Przybyciu. Dawniej podobno nazywano tę przypadłość melancholią. Nowo przybyły miał, zdaniem autora opracowania, zbyt mało czasu i doświadczenia, by wygenerować właściwe pragnienie, stąd uczucie niepokoju. W takich przypadkach zalecano samoobserwację oraz poszukiwanie zadowolenia – w pojedynkę lub z pomocą bliskich. Jeżeli chwile obniżenia nastroju nie ustąpiły w pierwszym roku od Przybycia, należało zgłosić się do lekarza. Nic nowego. Opisane procedury były zgodne z tym, co sam wiedział, a także z radami Lamai.

Wsunął do ust truskawkę. Słodko-kwaskowaty smak rozpułynał się na języku. Coś mu to przypomniało. Przez moment szukał w pamięci właściwego wspomnienia. Ale podobnie jak ze skazą na obrazie, jak z pomarańczowymi kombinezonami mężczyzn z klubu – i tym razem mgliste skojarzenie nie przyniosło odpowiedzi. Wreszcie dał spokój. Jego stan nie był groźny, jednak z pewnością mógł się taki stać. Jak każdy mieszkaniec Planet, Adrian znał na pamięć przestrogi zawarte w ulotkach Korporacji. Postanowił poczekać jeszcze miesiąc – jeśli objawy nie miną, zgłosi się do najbliższego oddziału Celestis.

Uspokojony złożoną obietnicą, wyciągnął się wygodniej na leżaku i włączył sekwencję obrazów z katalogu „Relaks”. Przy subtelnych dźwiękach harfy przed jego oczami zaczęły się przesuwac morskie krajobrazy, szumiące lasy, perliscie wodospady oraz dywany z kwiatów. Wokół roztaczała się intensywna, orientalna woń paczuli i lotosu. W tej chwili czuł się całkiem zdrowy. Z przyjemnością obserwował skrzące

się w słońcu, dziewicze połacie śniegu oraz rysujący się majestatycznie na tle lazurowego nieba kontur lodowca. Właśnie przeniósł spojrzenie na idealnie gładką, otoczoną bujną roślinnością błękitną taflę jeziora, kiedy z wysokiej, soczystozielonej trawy wyłonił się kształt, który przypominał niewielki, zwieńczony kolcami pagórek. Adrian uniósł się na leżaku i zmrużył oczy, by dokładniej się przyjrzeć. Pagórek był zakończony czymś długim, zupełnie jakby ktoś przyczepił do niego kawał grubego sznura. Z drugiej strony wzniesienia znajdowało się natomiast coś, co wyglądało jak ludzkie oko, tyle że okolone grubszymi, pozbawionymi rzęs powiekami. Nagle koniec pagórka pękł, a ze szczeliny wysunął się fragment różowego materiału. Po chwili Adrian zdał sobie sprawę, że to nie tkanina, a gigantyczny język... Wzgórze uniosło się ponad łąką. W osłupieniu obserwował walcowaty, podłużny obiekt w kolorze wiosennej trawy, osadzony na czterech zielonych słupach, z których każdy wyposażono u podstawy w pięć długich wypustek. Nie wiedział, co to za Maszyna i do czego mogła służyć – patrzył jednocześnie zafascynowany i przerażony. Zielony stwór zaczął się do niego zbliżać. Wtedy Adrian uświadomił sobie, choć wydawało się to absurdalne, że ma do czynienia z żywą, w pewnym sensie podobną do człowieka istotą. Wyłaniające się spomiędzy kępek trawy kolczaste wzgórze wydało mu się dziwnie znajome - jak chwilę wcześniej smak truskawek. Poczul na twarzy szorstką, ciepłą wilgoć. Zerwał się gwałtownie i omiótł wzrokiem otoczenie. Znajdował się na tarasie, a po zielonym dziwadle nie było śladu. Co za zwariowany sen... – pomyślał i na wszelki wypadek jeszcze raz rozejrzał się uważnie dookoła. Wszystko było jak przedtem, z tą tylko różnicą, że niebo nad ich domem przybrało barwę ciemnego ołowiu, on sam stał w pokaźnej kałuży, a po włosach oraz ramionach spływały mu strugi wody.

Wpadł do domu, szybko zdjął koszulę i przywołał Majordomusa. Musiał zasnąć. Zupełnie zapomniał, że zaprogramował deszcz. Wcześniej miał zamiar spędzić popołudnie z książką, przy kominku. Ciężkie chmury, miarowe bębnienie kropel o dach, szum spływającej rynną wody wyciszały go i wprawiały w odpowiedni do czytania nastrój.

Nie miał pojęcia, co mu się przyśniło. Nie był zdziwiony – w końcu żył zbyt krótko, żeby świat nie skrywał przed nim tajemnic. Tylko to osobliwe wrażenie, że ma do czynienia z żywą istotą... Może faktycznie czas na lekarza? – rozmyślał, podczas gdy Majordomus cierpliwie przywracał jego wygląd do porządku.

Patrzył na brązowe, ozdobne drzwi z wypolerowanym, złotym numerem dwadzieścia pięć. Nie łamał zaleceń Celestis. Mimo to czuł, jakby robił coś wstydliviego. A przecież nie znał żadnej Reguły, która zabraniałaby chwil samotności. Kiedy siedem dni temu, spacerując plażą, zobaczył pełen esów-floresów szyld Pensjonatu pod Gwiazdami, od razu był pewny, że tam wejdzie. Jak gdyby nieznana siła popchnęła go w kierunku przeszklonych drzwi. Nie planował wynajmować pokoju. Kolejny impuls, chwila wahania... i już trzymał w dłoni plastikową kartę do anachronicznego zamka. Nie opowiedział o tym ani Lamai, ani Carlosowi. Pierwszy raz świadomie coś przed nimi zataił.

Regularnie wracał do Pensjonatu. Choćby na moment, lecz codziennie zaglądał do ciemnego pokoiku na poddaszu. Nie wiedział, czego tam szuka. Od kilku tygodni działo się coś dziwnego, wiele rzeczy odbiegało od normy. Z jakiegoś niejasnego dla siebie powodu wołał je od tego, co znał dotychczas. Być może tak właśnie, podstępnie, atakowała Choroba. Z każdym dniem jednak było mu to coraz bardziej obojętne. Zdecydował poddać się nieznanej sile i sprawdzić, dokąd go zaprowadzi.

Zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Adrian wszedł do przesiąkniętego słodkim zapachem pokoju. Podniósł rolety, otworzył niewielkie okienko i wyjrzał na zewnątrz. Znalazł ten sam, co zawsze krajobraz: niemal pustą, dziką plażę oraz wzburzone, grafitowe morze. Mieszkańcy Miasta rzadko zapuszczali się w te rejony, zazwyczaj kończyli spacer w okolicy Wiszącego Mostu lub Niebiańskich Ogrodów. Dalsza część wybrzeża była dzika. Zapewne pozostawiono ją w takim stanie na życzenie poetów, którzy w poszukiwaniu natchnienia samotnie przemierzali nieprzyjazne wydmy, by godzinami wpatrywać się w groźne fale i tańczący z wiatrem piasek. Wątpił, czy jego bliscy kiedykolwiek znaleźliby chęć na długi, monotony spacer, który mógł ich doprowadzić do niepozornego Pensjonatu pod Gwiazdami.

Adrian różnił się od rodzeństwa. Pragnął samotności, ciszy, tajemnicy. Spędzał godziny na pustkowiu, ukryty przed całym światem. Carlos i Lamai zrozumieliby także tę potrzebę; cieszyliby się – zaspokajali przecież swoje pragnienia, co stanowiło niezbity dowód zdrowia. A jednak ukrywał przed bliskimi wyprawę na opuszczoną plażę. Z powodu nieznanej siły, tej samej, która go tu przywiodła, łamał Reguły Dobrego Wychowania. Nie modyfikował prawdy. Nie byłby w stanie. Po prostu nie mówił wszystkiego. Skracał wizytę w Bibliotece – w ten sposób kradł chwile samotności w pokoju na poddaszu.

Rozejrzał się i ustawił wizualizację ekranu Obsługi – jedyne współczesnego przedmiotu w całym wnętrzu – na staroświecki tryb. Nie miał pojęcia, skąd mu przyszło do głowy, że w dawnych czasach, o których przecież niewiele pisano, tak

właśnie wyglądały monitory, ale dokładnie wiedział, czego chce. Mimo precyzyjnych wskazówek dotyczących grafiki Obsłudze nie udało się spełnić jego oczekiwań. Nie zaakceptował także kolejnych wizualizacji. W końcu, za szóstym razem, osiągnął w miarę zadowalający efekt. Duży monitor w czarnej, grubej na kilka centymetrów obudowie, powstał w wyobraźni Adriana, a teraz, zmaterjalizowany, zajmował sporą część komody. Nie był dziełem sztuki, nie był nawet ładny, za to idealnie pasował do tradycyjnego, pokrytego rudą, wzorzystą kapą łóżka, kilku niezbyt udanych, rozmieszczonych w dość przypadkowy sposób na brzoskwiniowych ścianach pejzaży oraz zajmujących niewielki, drewniany stolik prostych, szklanych karafek z wodą. A przede wszystkim – do nietypowego widoku za oknem.

Adrian zatwierdził pozbawione urody pudło, po czym usiadł przy biurku i wziął do ręki bordowe pióro. Znał ten przyrząd z poradnika kaligrafii. Miał zamiar zgłębiać sztukę pisania, ale nim zdążył się jej się nauczyć, stracił zainteresowanie kaligrafią na rzecz tradycyjnego parzenia herbaty. Niepewnie przesunął stalówką po papierze. Sporo pamiętał z poradnika, jednak pisanie wiecznym piórem okazało się trudniejsze, niż sądził. Na kartce widniał ogromny, bezkształtny kleks. Spróbował raz jeszcze, nieco delikatniej. Udało mu się postawić trzy koślawe litery. Przekrzywił głowę i przyjrzał się swojemu dziełu. AMY – odczytał. Choć nie przypominał sobie żadnej Amy, imię wydawało się znajome - jak smak truskawek, jak zielony stwór z doliny.

Odłożył przybory na miejsce i przesunął dłonią po blacie biurka. Pod palcami wyczuł drobne nierówności, co było przyjemne. Ponownie pogładził drewnianą powierzchnię. Miał wrażenie, jakby wrócił do domu z dalekiej podróży. Pensjonat pod Gwiazdami powstał z jego najskrytszych marzeń. Podejrzewał, że mogła to być część terapii. Ostrożnie usiadł w miękkim, jasnobieżowym fotelu, przymknął oczy, odgonił niepokój i pozwolił sobie na odprężenie – pierwszy raz, odkąd znalazł się w pokoju na poddaszu. I po raz pierwszy od Przybycia poczuł się naprawdę u siebie. Na swoim miejscu. Lamai miała rację: należał do garstki dziwaków, którzy wolą tkwić w przeszłości, wtedy, kiedy być może istniała jeszcze prawdziwa tajemnica. I prawdziwe niebezpieczeństwo.

Mieszkańców Planet niewiele dziwiło – każdy miał prawo żyć, jak chciał, jak lubił, po swojemu. Wyłącznie Reguły Dobrego Wychowania oraz profilaktyczne zalecenia Celestis ograniczały swobodę ludzkiej wyobraźni. Wszystkie działania zdrowego człowieka powinny służyć zaspokajaniu pragnień, przynosić szczęście, sprawiać przyjemność. Jednak z nim było inaczej – czasem działał wbrew rozsądkowi. Na przykład zawsze zamawiał trzy dania, a przecież nie potrzebował trzech posiłków naraz. Nie dostarczały mu ani przyjemności, ani szczęścia. Były po nic. Wręcz, odkąd

zaczął o tym rozmyślać, wytrącały go z równowagi. Ale nadal to robił, zupełnie jakby nie potrafił inaczej, co według zasad rządzących światem było kompletnie pozbawione sensu.

Już siódmy raz znalazł się w Pensjonacie pod Gwiazdami – wiedział, że na tym nie koniec. Podszedł do staromodnego Musboxa. Urządzenie było o wiele większe i mniej funkcjonalne niż używane obecnie. Trzy ustawione jeden na drugim, płaskie, srebrne klocki mrugały przyjaźnie szeregiem niebieskich diod. Z umieszczonych po bokach drewnianych pudeł dobiegał dźwięk fortepianu. Choć melodia nie była tak czysta i efektowna jak tworzone współcześnie, urzekła go. Wkradająca się gdzieś tam fałszywa nuta powodowała, że Adrian czuł się bezpieczny. Wyrafinowane tony, lekko zepsute dalekim od ideału wykonaniem – absolutne piękno i niedoskonałość w niezwykle sposób się uzupełniały, tworząc zapierającą dech w piersiach kompozycję. Ze zdumieniem zauważył, że od perfekcyjnych woli nieprecyzyjne nuty. To nie było normalne. Podobnie jak jego smutek. Zdrowy człowiek nie powinien odczuwać smutku. Nie powinien chcieć go odczuwać – poprawił się w myślach. On przecież także nie pragnął czuć się nieszczęśliwy, ale jednocześnie nie potrafił z tego stanu zrezygnować. Obawiał się, że jak doskonała nuta istniała w pełni tylko w obecności fałszywej, tak chwile euforii mogły się pojawić wyłącznie w towarzystwie dręczącej go melancholii. Dlatego właśnie zwlekał z wizytą u lekarza – w gruncie rzeczy było mu z niedoskonałością dobrze. Miał świadomość, że to, co robi, jest niestosowne, stanowi poważne odstępstwo od Reguł, zagrożenie dla niego samego. Nie potrafił się jednak powstrzymać – musiał, po prostu musiał sprawdzić, co jeszcze się wydarzy.

Równo z ostatnim dźwiękiem przepięknego, burzliwego pasażu rozległo się pukanie. W trakcie wcześniejszych wizyt nikt go nie niepokoił. Wstał i zaczął nasłuchiwać. Ktoś ponownie zastukał. Przez chwilę rozważał, czy powinien otworzyć, czy raczej udawać, że go nie ma. W końcu, z wahaniem, chwycił za mosiężną klamkę i uchylił drzwi, zaledwie na kilka centymetrów.

- Tak? – zapytał, nie pokazując się gościowi.
- Pokojówka! – Usłyszał piskliwy, damski głos.
- Mam już Obsługę. Dziękuję.
- Czyli nie sprzątać? – W dobiegających z korytarza słowach słychać było zakłopotanie.
- Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba – powtórzył dobitnie.
- To może chociaż weźmie pan świeże ręczniki? – Kobieta nie dawała za wygraną.

– Nie, nie potrzebuję. – Zamierzał zamknąć drzwi i wrócić do słuchania muzyki, lecz w ostatniej chwili coś go zaciekało. – Chwileczkę! – Zatrzymał dziewczynę.

– Tak? – Wciąż posłusznie czekała przed jego pokojem.

– Przecież mogłem zamówić te ręczniki przez ekran Obsługi? Prawda?

– Naturalnie – odparła grzecznie. – Gdyby pan sobie życzył dodatkowych, proszę skorzystać z Obsługi. Może też pan dać sygnał do recepcji, wtedy przyniosę je panu osobiście.

– Po co tyle zamieszania? – Nie rozumiał.

– Pan jest naszym gościem od niedawna, prawda?

– Od kilku dni – potwierdził.

– Pensjonat pod Gwiazdami to niezwykle miejsce i mamy przyjemność umilać czas niezwykłym ludziom. Nasi goście życzą sobie staromodnych realiów. Stąd moja obecność – wyjaśniła cierpliwie.

– Ach tak! Jasne! Proszę. – Otworzył drzwi na oścież, a następnie zaprosił gestem niewysoką, piegowatą dziewczynę w bordowym uniformie oraz białym czepku, nasuniętym na jasne, rudawe włosy.

Pokojówka nie skorzystała z zaproszenia. Wyciągnęła w jego kierunku miękkie, frotowe ręczniki w kolorze morelowego budyniu i uprzejmie dygnęła.

– Dziękuję. – Skinął głową, mimo woli podziwiając jej nietypową urodę.

– Nie ma za co. To dla mnie czysta przyjemność – odparła, a miodowe oczy rozświectliły iskierki radości.

Śliczna – pomyślał. Naprawdę śliczna. Chętnie by ją namalował, ale bał się, że i ten obraz, jak poprzedni, daleki będzie od ideału. Spojrzał na wyciągnięte drobne ręce. Dopiero teraz zauważył połyskujący na lewym nadgarstku pokojówki ledwie widoczny interfejs. Nie widział jeszcze podobnej wizualizacji Obsługi! Stanowiła tak wierne odwzorowanie człowieka, że dał się nabrać. Podobno kiedyś to było w modzie, jednak już od dawna nie upodabniano Maszyn do ludzi. Istniały oczywiście wyjątki: Reklamy czy Majordomusy, ale zgodnie z instrukcją Celestis, zostały oznakowane czerwoną literą „M”. Pokojówka, choć bez wątpienia antropomorficzna Maszyna, takiego symbolu nie nosiła. Odebrał ręczniki, po czym starannie zamknął drzwi. Coraz bardziej podobał mu się zagadkowy świat Pensjonatu pod Gwiazdami. Rzucił ręczniki na łóżko i wrócił do Musboxa.

Nagle poczuł się źle – pokój przed jego oczami zaczął wirować. Wydawało mu się, że z łazienki dochodzą jakieś odgłosy. Chciał tam zajrzeć, ale się zachwiał. Przez dłuższą chwilę, wsparty o krawędź stołu, walczył z zawrotami głowy. Serce waliło mu jak szalone. Wziął kilka głębokich oddechów i unioś powieki. Wszystko wróciło na

swoje miejsce, tylko z łazienki wciąż dobiegał szum wody. Był pewny, że nie korzystał dziś z prysznica. Może włączył się jakiś automat? Ostrożnie uchylił białe drzwi. Znów musiał wesprzeć się o framugę. Poprzez kłęby pary dostrzegł smukłą postać. Przy niewielkiej, staroświeckiej umywalce stała młoda kobieta. Kompletnie naga! I z pewnością nie była nią pokojówka. Kolejna antropomorficzna Maszyna? Wydało mu się mało prawdopodobne, by ktoś umieścił ją tutaj bez jego zgody. Kobieta, nie zważając na obecność Adriana, spokojnie czesała jasne, długie włosy. Nie powinien przyglądać się jej ciału, w ogóle nie powinien na nią patrzeć! Nigdy wcześniej nie widział innego nagiego człowieka. Czuł, jak zalewa go fala gorąca. To na pewno nie było zgodne z Regułami Dobrego Wychowania. Czemu więc obserwowanie kobiety sprawiało mu aż tyle przyjemności? Kiedy narzuciła na siebie kolorowy szlafrok, nieco oprzytomniał.

– Halo! – zawołał. – Co pani tu robi?

Nie odpowiedziała. Niewzruszona, przesuwając ozdobną szczotkę po jedwabistym, złotym paśmie.

– Musiała pani pomylić pokoje.

Nadal nie reagowała. Odłożyła szczotkę i wyciągnęła z szuflady zestaw kolorowych pudełeczek. Strojąc zabawne miny, niewielkim pędzelkiem, podobnym do tego, jakim malował akwarelę, nakładała zawartość pudełeczek na twarz. Nie miał pojęcia, co ona robi, ale podejrzewał, że to jakiś rytuał związany z upiększaniem. Lamai po prostu stawiała przed Lustrem i zmieniała wizualizacje. Czemu ta kobieta zadawała sobie aż tyle trudu, by uzyskać odpowiedni kolor ust? I dlaczego udawała, że go nie słyszy? Zachowywała się, jakby nie istniał!

– Halo! – powiedział nieco głośniej, po czym ruszył w jej kierunku.

Znów poczuł zawrót głowy, tak silny, że musiał przysiąść na podłodze. Skrył twarz w dłoniach – tkwił bez ruchu przez kilkanaście sekund. Wreszcie odzyskał panowanie nad ciałem i uniósł wzrok. Był sam. Podeszedł do umywalki, zwilżył policzki wodą. Nie potrafił wytłumaczyć, czemu ciągle przydarzają mu się takie rzeczy.

Kilka minut później, kiedy leżał na łóżku, próbując się uspokoić, opanowało go irracjonalne przekonanie, że gdzieś już tę jasnowłosą kobietę widział. Zamknął oczy i ujrzał pod powiekami pokój, bardzo podobny do tego, w którym się znajdował, jednak różniący się szczegółami. Ściany pomieszczenia były kremowe, a obrazy przedstawiały bukiety polnych kwiatów. W miejscu monitora stała niewielka szafka, na niej czarne pudło. Przypominało ekran, który wymyślił, ale było co najmniej dwukrotnie większe. Zamiast szklanych karafek na stoliku ustawiono smukłe butelki

z brunatnym płynem i czerwonymi etykietami. Coca-cola – odczytał umieszczony na nich napis. Pijał czasem colę, jednak pierwszy raz widział ją w takim opakowaniu. Na prawo od okna zauważył półki, na nich zaś kilka książek, których tytułów nie zdołał dostrzec. Na łóżku leżał plecak, a obok niego wielki, kolorowy kapelusz. Nagle otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia wpadła roześmiana para. Dziewczyna rzuciła na podłogę pomarańczową torbę w wielkie słoneczniki i ściągnęła ubranie. Teraz widział dokładniej. Miała gładką skórę, przez którą w okolicach piersi oraz na smukłej szyi delikatnie prześwitywały błękitne żyłki. Gdyby nie jaśniejszy ślad po kostiumie nie pomyślałby, że jest opalona. Jej proporcjonalne, szczupłe ciało przypominało mu alabastrowe rzeźby ze Światowego Muzeum Sztuki.

– Matko, co za upał! Strasznie chce mi się pić – stwierdziła i podreptała w kierunku stolika, po drodze nakładając na siebie powyciągany, żółty T-shirt.

Niewątpliwie była to ta sama kobieta, którą wcześniej widział w łazience. Jej towarzysz wciąż stał przy drzwiach, próbując umieścić pod ścianą dwa białoniebieskie leżaki.

– No! – Kiwnął głową z zadowoleniem. – Stoją. Otwórz mi też colę. Tylko z lodówki. – Zbliżył się do dziewczyny. – Może poszlibyśmy na kolację do tej małej tawerny przy molo? Wiesz, tej, gdzie dają najlepsze małże? – Zdjął przeciwsłoneczne okulary, chwycił butelkę i zaczął łapczywie pić.

Adrian wstrząśnięty przyglądał się mężczyźnie. Brązowe oczy, ciemne, teraz lekko rozjaśnione słońcem, przydługie włosy, prosty nos, wąskie usta – nie było mowy o pomyłce! To był on sam! Poderwał się gwałtownie i popatrzył wokół. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno wyglądać w wynajętym przez niego pokoju. Ogarnął go strach, ale też ciekawość. Miał wrażenie, że kiedyś już to przeżył – identyczną scenę, rozegraną w tych dokładnie dekoracjach. Nic nie wydawało się obce: ani kolorowy kapelusz, ani kiczowate, przesłodzone obrazki na ścianach. Poczł smutek, podobny do melancholii nadchodzącej po chwilach zachwyty, a jednak inny – głębszy, silniejszy, bardziej bolesny. Nie potrafił nazwać tego uczucia. Wiedział tylko, że jest związane z jasnowłosą kobietą. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, co mu dolega, ale podejrzewał, że dalsze eksperymentowanie nie przyniesie nic dobrego. Powinien jak najszybciej opuścić Pensjonat pod Gwiazdami i nigdy więcej tu nie wracać, a także, jak radziła Lamai, zgłosić się do lekarza. Znał zasady, umiał sobie wyobrazić konsekwencje igrania z Chorobą. Jednocześnie tak bardzo nie chciał rezygnować z tajemnic. Nieznana siła, która go tu przywiodła, nadal miała nad nim władzę. Był gotów brnąć w zagadkowy świat pustej plaży, choćby miał to przypłacić zdrowiem.

Najbardziej pragnął raz jeszcze spotkać jasnowłosą dziewczynę.

Kiedy wrócił do domu, Lamai wypoczywała w salonie.

– Hej, braciszku! – wyćwierkała. – Cały dzień poza domem?! Tylko mi nie mów, że znów ślęczałeś nad książkami w Bibliotece, bo chyba się rozchoruję! No, opowiadaj, opowiadaj... Gdzie byłeś?

Nie chciała go obrazić, tylko mu pomóc. Wiedział o tym, lecz i tak poczuł się dotknięty. Podjął nagłą decyzję.

– Byłem na koncercie Gattaki. Znasz? – wypalił bez wahania. – Ja też nie znałem. Znakomity głos. Powinnaś jej posłuchać. A potem polowałem na Limitowaną Serię Zegarków. Niestety, dziś się nie udało. Brak mi wprawy. – Rozłożył ręce i uśmiechnął się swobodnie. – Na koniec poszedłem na basen. Przepłynąłem czterysta metrów, za pierwszym razem, bo za drugim więcej. Zdaje się, że pobiłem jakiś rekord tego obiektu.

Co najlepszego zrobił?! Uległ głupiej pokusie, a teraz wszystko przepadnie! Ustaną sny, wizje. Koniec z Pensjonatem. Na pewno go zamkną w Klinice! Czekał w napięciu na konsekwencje swojego strasznego czynu i... nic. Kompletnie nic się nie stało. Nie rozstąpiła się ziemia, nie rozpętała burza. Nikt po niego nie przyszedł, nikt się nie zdziwił. Ba! Nikt niczego nie zauważył. Lamai wpatrywała się w niego jak zaklęta, czekając na dalszy ciąg opowieści. Kontynuował, z początku ostrożnie, nieśmiało, aż w końcu, zachęcony sukcesem, zaczął opowiadać niestworzone rzeczy. Kogo to nie spotkał! Czego nie widział! Słuchała z otwartymi ustami. Miło było znaleźć się w centrum jej zainteresowania, zrobić wrażenie. Zwłaszcza że nie wymagało to żadnego wysiłku. Tak prosto było stać się kimś interesującym. Modyfikowanie prawdy niebezpieczne? Niewykonalne? Jakie to było łatwe! I jakie przyjemne...

Kiedy nocą leżał w łóżku, wpatrując się przez szklany sufit w pięć księżyców Planety, nie pojmował, co go podkusiło. Przecież mógł postąpić jak zwykle i pewne sprawy po prostu przemilczeć. To już nie było łamanie Reguł Dobrego Wychowania, tylko coś znacznie gorszego! Tak złego, że nikt tego nie próbował. Był wstrząśnięty stopniem zaawansowania swojej Choroby.

Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy ustąpił szok, zdał sobie sprawę, jak wielkie nowa umiejętność stwarza możliwości.

Wracał do domu przez Miasto. Choć nie lubił tłoku, wieczorny rytm Wielkiego Bulwaru pozwalał mu oderwać myśli od problemów. Mijał drugi tydzień, odkąd wynajął pokój w Pensjonacie pod Gwiazdami. Nadal przychodził tam codziennie, ale nie miewał więcej przywidzeń. Teraz, po czasie, nawet nie był pewny, czy wszystkiego sobie nie wymyślił. Jednak w pokoiku na poddaszu ogarniał go zawsze ten sam dziwny smutek, pomieszany z jeszcze dziwniejszym, bo w pewnym sensie przyjemnym niepokojem. Choć ani w łazience, ani nigdzie indziej nie spotkał jasnowłosej kobiety, w jego myślach pozostał po niej wyraźny ślad. Zupełnie jakby z ulubionego obrazu Adriana, przedstawiającego świątynię Celestis na tle zawieszzonego między wzgórzami mostu, zniknęła Katedra. Mimo że zabrakłoby głównego elementu, pejzaż nadal wisiałby nad łóżkiem, nadal przedstawiał znajomą okolicę, a on sam wciąż miałby świadomość nieobecności startej z niego budowli.

Po wizji została mu jeszcze inna pamiątka: sny. Oczywiście, miewał je wcześniej, ale teraz były bardziej realistyczne, wyraźniejsze. Widywał w nich cudaczne stworzenia biegające na czterech nogach, całe porośnięte włosami. Czasem też śniła mu się kobieta z Pensjonatu. Zazwyczaj wyglądała dokładnie jak w jego wizji, niekiedy jednak przybierała śmiesznie miniaturową postać. Tak jakby ktoś ją zmniejszył co najmniej o połowę. W którymś z sennych rojeń przedstawiła się jako Ella. Innym znów razem – jako Amy.

Amy... Właśnie to słowo przecież bezwiednie zapisał piórem na hotelowej papeterii.

Mijały tygodnie, a objawy Choroby nie ustępowały. Choć starał się panować nad odruchem, nadal zamawiał trzy porcje jedzenia. Z każdym dniem coraz mniej go to niepokoiło. Zaczynał się przyzwyczajać. A nawet uzależnił się od swojego drugiego, tajnego życia. Z rozdawanych przez Celestis ulotek profilaktycznych wiedział, co to oznacza: Choroba atakowała. Stało się jasne, że będzie musiał zgłosić się do lekarza, ale wciąż odkładał decyzję na później; nie miał chęci rezygnować z zagadki, którą w sobie nosił. Coraz lepiej natomiast nauczył się tajemnicę ukrywać.

Jeszcze dwa razy posunął się do zmodyfikowania prawdy. Znów nie mógł się nadziwić, jak lekko mu przyszło. W żaden sposób nie zapłacił za swój straszny czyn. Mimo to coś go bezustannie uwierało, jak ziarnko piasku w bucie – niemal niewidoczne, lecz dokuczliwe. Lamai mówiła, że modyfikowanie prawdy jest zakazane. Zakazane – takiego dokładnie użyła słowa. Nikt nie wątpił, że Reguły

Celestis służą dobru ludzkości. Nikomu też nie przychodziło do głowy, by je łamać. Również Adrian nie był na tyle szalony. Aż do teraz.

Wędrował mieniącym się wszelkimi barwami tęczy Wielkim Bulwarem. Pod przejrzystą powierzchnią chodnika mógł obserwować bawiących się w modnych klubach ludzi. Choć sam wolał przebywać na wyższych poziomach, wielu mieszkańców uwielbiało hałaśliwe, ekscentryczne wnętrza Undergroundu. Miejsca na powierzchni były bardziej stonowane. Poziom pierwszy zajmowały restauracje, kafejki oraz ekskluzywne sklepy, drugi był niekończącym się Pasażem Handlowym, trzeci zaś zarezerwowano wyłącznie dla ludzi kochających spokój. Tam też znajdowały się: Biblioteka oraz Pensjonat. I tam najczęściej bywał. Czasem jednak schodził niżej, w bardziej zaludnioną okolicę, by wtopić się w kolorowy tłum, zagłuszyć nachalne myśli, a może nawet tę nieznaną siłę, która kazała mu wracać do hotelowego pokoju. Underground odwiedził dotychczas dwa razy, za namową Lamai. Podziemne życie biegło dla niego zbyt szybko i było zbyt krzykliwe. Nie podzielał miłości siostry do modnych klubów, wypełnionych barwnymi światłami, głośną muzyką i poruszającą się w jej rytm masą ciał. Poza tym od czasu dziwnego snu-nie-snu o rannej kobiecie takie miejsca źle mu się kojarzyły.

Zatrzymał go ciepły, damski głos.

– Czy byłeś już na Loa? – Maszyna odwróciła w jego kierunku nieprawdopodobnie piękną wizualizację twarzy.

Zazwyczaj unikał Reklam, lecz niezwykła uroda Maszyny na chwilę przykuła jego uwagę. Ta sekunda wystarczyła, by Reklama wyświetliła mu przed oczami lazuru morze, rajską plażę i pochylające się nad niemal białym, miłkim piaskiem soczyscie zielone palmy.

– Zarezerwować miejsce? – przymilała się. – A może wolisz Najstarsze Miasto Świata? Niezwykłe, pełne tajemnic miejsce? – Kuła żelazo, póki gorące, kładąc akcent na słowo „tajemnic”. – Mam też przyjemności dla ciała... – Zmrużyła cudownie błękitne oczy. – Zapraszam do Pałacu Szeptów na regenerację zmysłów. Najwyższej klasy specjaliści stworzą dla ciebie kompozycje dźwięków, smaków i barw, jakich jeszcze nie znasz. Spróbujesz unikatowych specyfików, które przeniosą cię do innego wymiaru. Po zabiegach w Pałacu Szeptów świat będzie wyglądał zupełnie inaczej. Satysfakcja gwarantowana. Kto raz zakosztował owej niewyobrażalnej przyjemności, będzie wracał po więcej. Ocena klientów dziewięć na dziesięć gwiazdek. Trudno o coś lepszego... – wyśpiewywała mu słodko wprost do ucha, w tle włączając przyjemną, relaksującą muzykę.

Chciał ruszyć dalej, jednak Reklama wciąż go hipnotyzowała. Wpadł w sidła, z których nie miała zamiaru prędko go wypuścić.

– Zarezerwować miejsce? Przecież ci się podobam. Zrób to dla mnie, proszę... – kusiała. – A może masz własne pragnienia? Powiedz mi jakie. Pomogę je zrealizować...

Poczuł zapach jaśminu.

Stał nieruchomo, nie nawiązując nawet najmniejszego kontaktu.

– Czy mam odejść? – zapytała po minucie czarowania. Reklamy miały na szczęście wbudowany limit czasu.

– Tak – powiedział głośno i dobitnie, jak uczyła go Lamai.

– Czy na pewno mam odejść? – Zgodnie z Wewnętrznym Regulaminem Działu Generacji Pragnień przepiękna wizualizacja powtórzyła pytanie.

– Tak – potwierdził.

– Czy jesteś pewny, że niczego ode mnie nie potrzebujesz?

– Tak, jestem pewny.

Trzecia odpowiedź definitywnie kończyła przekaz. Maszyna zniknęła tak błyskawicznie, jak się pojawiła. Kątem oka dostrzegł, że jej idealna twarz zbliża się do ucha kolejnej ofiary.

Większość ludzi lubiła rozmawiać z Reklamami. Były urocze, pachnące, uprzejme, zabawne. Znajomi Lamai potrafili czyhać na swoją ulubioną Maszynę godzinami. Inni spędzali czas, po prostu przeglądając przedstawiane im propozycje. Jeszcze inni natomiast lubili słuchać towarzyszącej projekcom uwodzicielskiej muzyki. Adrian uważał, że Reklamy są nudne, ale zdaje się, że był jednym z nielicznych, którzy nie mogli się doczekać końca oferty. Lamai poradziła mu, jak się pozbyć uroczej Maszyny. Za nic nie wolno było dać się wciągnąć w rozmowę – to Reklamę tylko zachęcało i wydłużało czas emisji. Wystarczyło odczekać do końca pierwszego, obowiązkowego bloku spotów, a następnie trzykrotnie potwierdzić rezygnację z dalszego kontaktu. Wtedy Reklama oddalała się z grzecznym ukłonem, biorąc na celownik kogoś nowego. Adrian zdobył już pewną wprawę w relacjach z Maszynami i bez większych problemów udawało mu się ograniczyć czas spotkania do koniecznego minimum. Znacznie trudniej było w ogóle kontaktu uniknąć. Podobno niektórzy spośród dawniej przybyłych mieli swoje sposoby, on jednak wciąż łapał się na haczyk czarującego głosu oraz anielskiej twarzy.

Pochylił głowę i ruszył dalej. Po drodze mimowolnie słyszał odbywające się wokół wielkie kuszenie.

– Tego jeszcze nie widziałeś... tego jeszcze nie masz... tam jeszcze nie byłaś... – szeptały Reklamy, rozsiewając apetyczne lub słodko odurzające aromaty.

Taktycznie nie podnosił wzroku. Nie musiał tego robić, by wiedzieć, że każda z nich jest dziełem sztuki, ideałem piękna. Jedno spojrzenie w ich czekoladowe, lazururowe czy fiołkowe oczy, a znów zostałby schwytyany w sieć. Tego nie chciał. Zwłaszcza dzisiaj.

Za kolejną przecznicą dostrzegł wolną ławkę. Haftowane złotą nicią, karmazynowe i ciemnoszafirowe poduszki obiecywały wygodę. Postanowił chwilę odpocząć. Naprzeciwko wielki ekran informacyjny wyrzucał w przestrzeń czerwone litery: Czujesz się zagubiony? Nie wiesz, co zrobić z jutrzejszym dniem? Odczuwasz w życiu zbyt mało przyjemności? Być może dopadła cię Choroba... Nie lekceważ tego! Zgłoś się do najbliższego specjalisty Celestis! Nagle ekran zrobił się śnieżnobiały. Spośród mlecznej mgły wyłonił się bladobłękitny napis: CELESTIS. DBAMY O CIEBIE. Dalej rząd starannie wykaligrafowanych słów informował: NAJBLIŻSZE PUNKTY GENERACJI PRAGNIENI, po czym ekran zaczął wypływać szeregi współrzędnych, określających położenie specjalistycznych gabinetów. Wiedział, co powinien zrobić. Zamiast tego przymknął oczy i wtulił się w miękkie poduszki. Nie udało mu się jednak zasnąć ani nawet oddać rozmyślaniami. Szum ulicy ciągle przywoływał go do rzeczywistości. Nie miał pojęcia, jak można żyć w takim zgiełku. Niektórzy wybierali to miejsce i pozostawali w nim całkiem długo. Szklane apartamentowce wciąż zachęcały potencjalnych najemców. DOM PRZYSZŁOŚCI: najbardziej ekskluzywny inteligentny dom na świecie! Zamieszkać z nami! Lubisz przygody i nocne życie? APARTAMENTY CARPE DIEM są twoim miejscem na Planetach! Magiczny blask otuli cię każdej nocy... OSIEDLE KSIEŻYCOWYCH PIEŚNI zaprasza! – głośiły umieszczone nad nowoczesnymi wejściami czy wyświetlane na chodnikach napisy. Adrian, żeby uniknąć spotów reklamowych, zazwyczaj spacerował ze wzrokiem wbitym w ziemię, więc znał chodnikowe slogany na pamięć. Szczęśliwie, na poziomie trzecim prawie w ogóle nie było Reklam. Jeśli się pojawiały, to na krótko i w dość archaicznej wizualizacji obrazkowej. W tamtej okolicy dużo łatwiej dało się uciec od uwodzicielskiego teatru kuszenia. Ale tutaj musiał uważać.

Rozejrzał się. Barwny, roześmiany tłum mijał go niczym egzotyczna rzeka. Ludzka masa napływała bez przerwy. Tutaj, w samym centrum Miasta, wszystko generowało pragnienia. Nawet nie trzeba było zgłaszać się do specjalisty. Wielu ludzi przenosiło się na niższy poziom w poszukiwaniu terapii, która zazwyczaj okazywała się bardzo skuteczna. Wracali stąd zadowoleni, z nowymi planami. Być może właśnie dlatego

Lamai bywała w centrum dzień w dzień. Lubiła mieszkać na Wzgórzu Marzeń, lecz nie umiała żyć bez Miasta. Podziwiał jej systematyczność w dbaniu o zdrowie. „Jesteśmy różni. I bardzo dobrze. Planety byłyby nie do zniesienia, gdybyśmy wszyscy byli jednakowi. Tobie wystarczą letnie temperatury. A ja lubię czuć się bardzo szczęśliwa. Nie - zwyczajnie szczęśliwa, ale - bardzo, wyjątkowo, niesamowicie. Dlatego nie mogę wciąż siedzieć w Undergroundzie. To grozi znudzeniem” – tłumaczyła. Była zdania, że i on czasem powinien zmienić otoczenie, choćby po to, żeby czerpać więcej przyjemności z ulubionych rzeczy. Musiał się z nią zgodzić. Faktycznie, nigdy nie było mu tak miło jak wtedy, kiedy wracał z innych poziomów do swojej Biblioteki. Wycieczka do Undergroundu czy na Wielki Bulwar samoistnie generowała pragnienia. Po takiej wyprawie doskonale wiedział, co będzie robił nazajutrz. W ulicznym zgiełku tworzył plan i z przyjemnością rozmyślał o nim przez kilka godzin. Teraz również zaczął sobie wyobrazać, jak za chwilę zanurzy się w ciepłej wodzie, puści ulubioną muzykę, weźmie do ręki książkę. Może poczyta o malarstwie? A może tym razem sięgnie po jakąś ciekawą pozycję z działu poradników? Odczuł niezwykłą radość na myśl o rozkoszy, jakiej doznają jego zmęczone tłumem oraz hałasem zmysły.

Dla wzmocnienia efektu postanowił przejść jeszcze kawałek Wielkim Bulwarem. Wszystko wokół tętniło życiem. Rozbawione grupki oblegały restauracyjne stoliki oraz pełne cudownie pachnących kwiatów kawiarniane ogródki. Miłośnicy tradycyjnych zakupów pędzili w poszukiwaniu wymarzonej rzeczy, a za nimi posłusznie dreptały niewielkie transportery. Raz po raz w przepastnych paszczach urządzeń ginęły kolejne paczki, by chwilę potem odnaleźć się w domach właścicieli. Kupujący wyruszali na polowanie o świcie, a opuszczali eleganckie butikie Wielkiego Bulwaru lub położony wyżej Pasaż Handlowy dobrze po zapadnięciu zmroku.

W dziale poradników Adrian znalazł kiedyś instrukcję obsługi niemodnej już gry. Świat był w niej podzielony na sektory zwane Państwami. Każde z Państw miało Władcę. Tak właśnie pod koniec dnia wyglądali kupujący. Późnym wieczorem, gdy przystrojeni w swoje najlepsze zdobycze, otoczeni uzbieranym po drodze rojem Reklam, wędrowali do Undergroundu, przypominali komputerowych Władców w orszaku dworzan. Miłośnicy zakupów dzielili się na tych metodycznie przeszukujących salon po salonie, regał po regale oraz innych – rozbieganych, rozemocjonowanych, miotających się od sklepu do sklepu. Zarówno w oczach jednych, jak i drugich widać było silne pragnienie. Prawdziwe okazy zdrowia! Czasem zazdrościł tym ludziom. Jak łatwo osiągnęli przyjemność! Szczęście mieli dosłownie na wyciągnięcie ręki. Mimo Luster wizualizujących każdy rodzaj ubrania,

mimo kuchni oferujących każdą znaną człowiekowi potrawę, mimo Majordomusów spełniających w lot najdziwniejsze życzenia, tradycyjne zakupy wciąż były bardzo modne. W łatwy sposób zaspokajały pragnienia i natychmiast w miejsce spełnionych generowały nowe. Kupujący nigdy nie mieli dość.

Nie chciał zbyt prędko wracać do domu. Zajął miejsce na klasycznej taśmie transportowej i oddał się podziwianiu krajobrazu. Przed oczami migały mu wbijające się w niebo, lśniące apartamentowce, ażurowe Domy Duchowej Odnowy, skrzące się tysiącem neonów centra handlowe, jaskrawo oświetlone sportowe obiekty, aż wreszcie rozległe, pełne egzotycznych, barwnych roślin miejsca wypoczynku. W końcu ujrzał jedną z najbardziej niezwykłych konstrukcji: Katedrę Przyjaźni. Odczuwał wielki podziw dla twórcy tej wizualizacji. Umieszczona na kilkunastu wolno obracających się, szklanych dyskach budowla sprawiała wrażenie zawieszonyj w przestrzeni. Każdy z dysków podświetlono innym odcieniem niebieskiego blasku: od jasnego błękitu, poprzez czysty lazur, pogodny turkus, głęboki szafir, aż po mocny kobalt i niemal czarny granat. Zwieńczenie świątyni stanowiła strzelista wieża, spowita delikatną mgłą barwy indygo. Ozdobiona kryształową iglicą Katedra Przyjaźni była symbolem Celestis. To właśnie ona została uwieczniona na wiszącym nad łóżkiem Adriana obrazie. Nieznany mu artysta wtopił majestatyczną, a zarazem lekką konstrukcję między dwa wzgórze, połączone staroświeckim mostem. Adrianowi spodobało się takie otoczenie. Bardziej pasowało do wybitnego dzieła wyobraźni, które właśnie miał przed oczami, niż te wszystkie wieżowce i stadiony. Oprócz codziennych Zgromadzeń o stałych porach, Katedrę odwiedzały tłumy turystów. Było tam tak samo tłoczno jak na Wielkim Bulwarze. W każdy pierwszy dzień miesiąca w świątyni odbywały się organizowane z ogromnym rozmachem i cieszące się niesłabnącą popularnością Konferencje. Tradycyjnie rozpoczynała je transmisja z Wielkiej Motywacji, celebrowanej w siedzibie Celestis przez samego Thomasa Wolfa. W czasie karnawału Katedrę przerabiano na gigantyczne centrum rozrywki. Ostatniego dnia roku natomiast odbywał się tu Świąteczny Bal, na który część ludzi czekała z utęsknieniem, resztę miesiący spędzając wyłącznie na przygotowaniach.

Adrian jeszcze nie był na Świątecznym Balu, choć miał okazję – zwyczajowo zapraszano każdego w roku Przybycia. Wtedy jednak zrezygnował, nie był gotowy na tłok i hałas. Przyglądając się teraz imponującej budowli, pomyślał, że może powinien wystąpić o ponowne zaproszenie. Jak twierdziła Lamai, cokolwiek myślał o podobnych imprezach – to, co ujrzy, przekroczy możliwości jego wyobraźni.

Wyjechał ze ścisłego centrum. Wielkomiński krajobraz zastąpiły rezydencje otoczone rozległymi trawnikami. Kiedy patrzył na pełne wymyślnych ogrodów przedmieścia, znów ogarnął go smutek pomieszany z niepokojem, ale też – z ekscytacją. Wszystko wyglądało tak obco. I tak znajomo zarazem.

3

Sala klubowa, którą wymyśliła, była wspaniała. Zbyt wspaniała jak na jego potrzeby, ale widział, ile przyjemności daje siostrze planowanie przyjęcia. Kiedy patrzył w – dziś czekoladowe – oczy Lamai, tak przecież życzliwej i ufnej wobec świata, natychmiast przypominał sobie o ziarnku piasku, które nieznośnie uwierało, odkąd pierwszy raz odważył się zmodyfikować prawdę. Również z tej przyczyny nie chciał niszczyć jej radości. Pierwszą rocznicę zwykle obchodzono bardzo hucznie. Właściwie, co go samego zdziwiło, miał ochotę na przyjęcie.

Od czasu spaceru po Wielkim Bulwarze Adriana nie nękały: ani smutek, ani zbyt duża ekscytacja, ani nawet ciekawość. W zasadzie nie miałby nic przeciwko, gdyby udało mu się zupełnie zapomnieć o Pensjonacie pod Gwiazdami, a także o wszystkim, co tam przeżył. To, niestety, nie było proste. Starał się jednak, na ile możliwe, panować nad własnym umysłem. Po kilkunastu dniach odsuwania na bok niewygodnych wspomnień zauważył, że nie rozmyśla o jasnowłosej kobiecie tak obsesyjnie jak na początku. Po paru kolejnych – zdarzenia z Pensjonatu zaczęły stopniowo blaknąć, a wraz z zacieraniem się konturów nie budziły już pierwotnych emocji. Uznał to za dobry znak. Najwyraźniej zdrowiał, wszelkie zaś aberracje były zwyczajnym objawem adaptacji. Jego podejrzenia potwierdzały wszystkie naukowe prace oraz mniej lub bardziej specjalistyczne poradniki, które w tym czasie przeczytał. Uspokojony i w miarę zadowolony, poddał się woli Lamai.

Czekał na gości w miękkim, czerwonym fotelu, umieszczonym w rogu, naprzeciwko wejścia. Przyglądał się napływającej fali eleganckich osób. Większość kobiet miała na sobie kolorowe, wymyślne suknie. Stroje mężczyzn przedstawiały za to całą galerię stylów: od niezobowiązujących, luźnych koszul, po wystawne, dekorowane lśniąco ozdobami smokingi. W barwnym tłumie można było spotkać tradycyjne stylizacje, ale i bardzo oryginalne. Koleżanka Lamai, którą znał jedynie z widzenia, nosiła coś na kształt płaszcza utkanego z ruchomych, mieniących się wszelkimi odcieniami złota sznurów. Przy każdym ruchu strój wydawał dźwięki podobne do brzmienia harfy. Kiedy dziewczyna zbliżyła się, by złożyć Adrianowi życzenia, metaliczna tkanina zagrała fragment rocznicowej piosenki. Sprytnie – pomyślał i uśmiechnął się szeroko do właścicielki muzycznej kreacji. Goście

prześcigali się w sprawianiu mu przyjemności. Dostał w prezencie mnóstwo książek i kilka zestawów farb akwarelowych. Zawdzięczał to zapewne siostrze, która nie omieszkała poinformować zaproszonych o jego zainteresowaniach. Zaczęli się schodzić sąsiedzi. Rodzeństwo Neumannów wręczyło mu z dumą przepiękny, zdobiony szmaragdami pas. Nie miał pojęcia, gdzie coś takiego miałby nosić, ale rzecz była imponująca, wykonana z niebywałym kunsztem.

Damy zajęły kanapy, trzymając w dłoniach różowe, zielone i niebieskie drinki. Z perspektywy Adriana zlewały się w wielką płataninę tkanin oraz misternych fryzur – przypominały mu wspaniały, letni ogród. Panowie oblegali długi bar, raz po raz wybuchając głośnym śmiechem. Nagle wszyscy zamilkli. Usłyszeli huk, a następnie w błyskach ognia i przy dźwięku fanfar na samym środku parkietu pojawił się Carlos. Zawsze lubił spektakularne wejścia. Adrian porzucił wygodny kąć.

– No, stary... – zaczął jego brat – ...chyba mogę już tak do ciebie mówić, co? Gratulacje, gratulacje, szczerze gratulacje! Okres adaptacji za tobą. Teraz żyj zdrowo! Bierz ze świata pełnymi garściami! Niech nie opuszczają cię pragnienia. Te prawdziwe. – Popatrzył Adrianowi prosto w oczy, jak na siebie, trochę zbyt długo i zbyt poważnie. – Bądź szczęśliwy! – Zaśmiał się tubalnie, po czym nonszalancko opadł na pobliską kanapę. – Majordomus! – ryknął na całe gardło. – Pan wraca, a ty gdzie się podziewasz?!

Adriana zastanowiło zachowanie Carlosa, jednak nie był pewny, czy mu się nie przywidziało.

– Służę, proszę pana. – Majordomus wyrósł jak spod ziemi i zastygł w grzecznym ukłonie.

– Wina! – rozkazał Carlos.

– Jakies konkretne wino, proszę pana? Białe, czerwone, wytrawne, słodkie? Jaki rocznik? Może podpowiem... – Służący zaczął gromadzić dane.

– Wytrawne, czerwone, Majo! Najlepsze! Takie mi właśnie przynieś.

– Służę... Może życzy pan sobie coś specjalnego do jedzenia? Czy skorzysta pan z tego, co przygotowała pani Lamai?

– Nie zwracaj głowy, Maszyno! Coś dobrego. Daj mi coś dobrego. I dużo, bo mam wielki apetyt!

– Jak zawsze! Twoja zachłanność, braciszku, nie zna granic. – Lamai podbiegła uradowana i zgrabnie przysiadła na poręczu kanapy.

– A do tego, moja droga, mam apetyt na wszystko! Dokładnie na wszystko! – Klepnął się z zadowoleniem w udo.

Adrian stał w centrum rozgadanego, barwnego tłumku, niezdecydowany, czy wypada mu wrócić do swojego kąta. Najchętniej tak właśnie by postąpił, ale nie chciał nikogo obrazić.

– Widzę, że niektórym nie grozi znudzenie. Zawsze będą zdrowi i szczęśliwi! – podsumowała dziewczyna w złotej pelerynie, czym wywołała salwę śmiechu.

– Znudzenie jest dla mięczaków! Trzeba szukać nowych podniet, a nie siedzieć na kanapie! – Carlos dopadł do znakomitej pieczeni, popijając każdy kęs wspaniałym Château Pétrus. – Nie ma jak odrobina ryzyka! Prawda, bracie?

Znieruchomiał. Znow coś kazało mu usłyszeć w tych słowach więcej, niż powinien.

– A! Byłbym zapomniał! – Kiedy wreszcie Carlos nasycił pierwszy głód, złapał się teatralnym gestem za głowę. – Adrianie! Przecież mam dla ciebie prezent! – Wybiegł z sali, by za chwilę wrócić z ozdobną, ociekającą bogactwem złota i srebra, butelką. – Proszę. Nie znajdziesz nic lepszego!

Adrian obracał w rękach efektowny przedmiot. W milczeniu przyglądał się etykietce. Henri IV Dudognon Heritage – odczytał umieszczony półkuliście napis. Nagle bez najmniejszego ostrzeżenia poczuł, że traci siły. Poszukał wzrokiem najbliższego fotela, jednocześnie starając się opanować zawroty głowy.

– Wszystko w porządku, bracie? – dopytywał Carlos. – Nie sądziłem, że zwykły koniak aż tak zwali cię z nóg. Nawet go nie spróbowałaś, a już zaszumiał w głowie? – Wybuchnął gromkim śmiechem, a reszta gości ochoczo mu zawtórowała.

– Majo, przynieś trochę wody! – zarządziła Lamai. – Adrianie... dobrze się czujesz?

– Tak... tak – odparł. – Muszę chwilę odpocząć. Za dużo emocji. – Spróbował przybrać swobodny wyraz twarzy. Chyba mu się nie udało, bo siostra wciąż spoglądała na niego z niepokojem. – Naprawdę, wszystko w porządku. Wzruszenie...

– Zrozumiałe. To twoja pierwsza rocznica. Następne nie będą tak wyjątkowe. – Odebrała od Majordomusa szklankę z wodą, a następnie podała ją Adrianowi, który drugą ręką nadal kurczowo ścisnął bogato zdobioną butelkę koniaku.

– Już dobrze – Lamai uspokoiła otaczających ich ludzi. – Bawcie się! Nasz brat troszkę odpocznie i do was dołączy.

Goście powoli zaczęli się rozpraszać po sali.

Znow miał wizję. Tym razem zobaczył biały pokój, a w nim kobietę. Siedziała na krześle, jej długi, ciemny warkocz spływał na jasny uniform. Ujrzał butelkę z napisem „Henri IV Dudognon Heritage”, identyczną jak ta, którą właśnie trzymał w dłoni. I dwoje ludzi nad swoją głową. Procedura Zero... Przejście... mamy gwarancję... Celestis... zalecenia... – docierały do niego pojedyncze słowa. Z całych sił próbował

zrozumieć, czego dotyczą, ale znów doznał silnego zawrotu głowy. Biały pokój rozmył się w gęstej mgłę, z której wydobył Adriana dopiero rubaszny śmiech brata.

Jak wcześniej, i tym razem miał nieodparte wrażenie, że kiedyś już tę scenę widział. Że ją przeżył. A przecież nie znał nikogo podobnego do kobiety w uniformie. Déjà vu – czytał kiedyś o tym w niezbyt mądrym poradniku. Nie potraktował wówczas sensacyjnych doniesień poważnie. Niektórzy zajmowali się podobnymi sprawami. Zamiast – jak Carlos – szukać tajemnic po świecie, sami je kreowali. Sekrety stanowiły dla ludzi atrakcję, jak wesołe miasteczko czy Pałac Szeptów. A jeszcze większą atrakcją stawała się złudna świadomość bycia wtajemniczonym. Na tej zasadzie tworzyły się całe kluby zwolenników najbardziej fantastycznych teorii. Adrianowi te wszystkie szeptane na ucho rewelacje wydawały się dość nudne, nie budziły w nim żadnych emocji. Jednocześnie – czy to nie pragnienie prawdziwej tajemnicy kazało mu wracać do Pensjonatu pod Gwiazdami? Wątpił, by déjà vu faktycznie się zdarzało, ale jak inaczej miał to wszystko wytłumaczyć?

Odstawił szklankę i zaczął wolno obracać w rękach pełną przepychu butelkę, przyglądając się własnemu zniekształconemu odbiciu. Poprosił Majordomusa o kieliszek. Już pierwszy łyk koniaku spowodował, że ponownie nadciągnęła mgła. Nie był w stanie zapanować nad mrokiem, w którym błyskawicznie pograżał się jego umysł, nie potrafił tego kontrolować. Zobaczył przepiękną plażę, a potem elegancką restaurację. I jasnowłosą kobietę – śmiała się, wznosząc toast ozdobnym, kryształowym kieliszkiem, na którego dnie połyskiwał bursztynowy płyn. Skulił się gwałtownie. Zabrakło mu tchu, jakby ktoś z całej siły uderzył go prosto w żołądek. Restauracja utonęła w mroku. Z ciemności wyłoniło się ostre światło. Znów był w białym pokoju, a przed jego oczami migotał bladozielony ekran. Widniały na nim jakieś zagmatwane wykresy. Nie miał pojęcia, czego dotyczą. Poniżej znajdowała się tabela. Rozmazany obraz z każdą chwilą się wyostrzał. W końcu Adrian zobaczył zdjęcie. Przystawiało jego twarz. Z tą tylko różnicą, że na fotografii miał zarost, a przecież nigdy nie nosił brody. Jednak bez wątpienia to był on, ubrany w elegancki smoking oraz śnieżnobiałą koszulę. Nie potrafił odczytać umieszczonych pod zdjęciem informacji. Skupił się i raz jeszcze przyjrzał formularzowi. Na samym dole, dostrzegł szereg wyraźnych liter. Diagnoza: podejrzenie FS – głosił czerwony napis.

Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Zerwał się gwałtownie z fotela i wypadł na zewnątrz. Był jak wulkan wypełniony bulgoczącą lawą – tylko sekundy dzieliły go od wybuchu. Baśniowy ogród falował delikatnie w ciepłym, słodko pachnącym powietrzu. Perfekcyjna uroda świata była nie do zniesienia. Sprawiała Adrianowi fizyczny ból. Chwycił pierwszą z brzegu orchideę i wyszarpnął ją brutalnie z ziemi.

Poczuł ulgę. Zabrał się za kolejne. Jedną po drugiej chwycił rośliny w dłonie, wrywał je z korzeniami, deptał, aż zostały z nich tylko smętne szczątki tego, co kiedyś było tak idealne. Podszedł do drzewa wiśni. Nie potrafił wypowiedzieć radości, jaką mu sprawił suchy trzask gałązek. Rwał na strzępy bugenwille, tulipany i róże, był niemal szczęśliwy. Nie pozostał nawet ślad po wcześniejszej słabości. Czuł się mocny. Czuł się wolny. Kolejne drzewa traciły gałęzie, różnobarwne płatki kwiatów wirowały na tle nieba, a on wpadał w coraz większą euforię. Chwycił kamień i rzucił nim prosto w okno salonu. Szyba roztrzaskała się z brzękiem na tysiące połyskujących w płomieniach świec okruchów.

Oprzytomniał. Goście oddalili się na bezpieczną odległość i w milczeniu obserwowali widowisko, którego był autorem.

– Adrianie... – Usłyszał zaszokowany głos Lamai. – Zniszczyłeś ogród...

Kompletnie wyczerpany usiadł na zasłanej szczątkami roślin ziemi. Niech go zamkną. Niech wyślą do Kliniki. Było mu wszystko jedno.

– Dlaczego? – wyszeptała, a jej twarz pobladła.

– Chyba... – Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. – Chyba... mnie to jakoś... bawiło.

– Ach... bawiło... – powtórzyła wolno. – Doskonale! Świetny pomysł! Cieszymy się, że jesteś szczęśliwy.

Patrzył na swoją siostrę i niczego nie rozumiał. O czym ona mówi? Dlaczego wszyscy ślą mu pełne podziwu spojrzenia?

– Nie znałam tej zabawy, a wy? – Lamai odwróciła się w stronę gości. W jej głosie było słycać najprawdziwszy entuzjazm. – Adrian jest niesamowity! Co za impreza!

Wśród zebranych zaczęły się rozlegać chichoty, najpierw pojedyncze, nieśmiałe, z czasem coraz odważniejsze, by wreszcie przerodzić się w gromki, pełen ulgi śmiech. Goście na wyścigi wykrzykiwali słowa uznania. Swoim wyczynem najwyraźniej wprowadził ich w zachwyty.

– Mogę? – Niespodziewanie z tłumu wyskoczyła koleżanka Lamai, ta od grającego płaszczka. – Fantastyczne! – zapiszczała podekscytowana i wpadła do ogrodu, po drodze wrywając to, co z niego jeszcze zostało. – Carlos! Lamai! Chodźcie!

Adrian spojrzał na brata. Ten stał oparty o ścianę domu, z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Nie wyglądał na kogoś, kto się dobrze bawi. Nagle ich wzrok się spotkał. Trwało to sekundę, może dwie, zanim Carlos pokręcił głową i zniknął w salonie.

Za kobietą w grającym płaszczku ruszyli inni. Zewsząd dobiegały oklaski. Adrian ze zdumieniem stwierdził, że brawa są przeznaczone dla niego. Rozejrzał się bezradnie.

Eleganccy goście, teraz umazani ziemią, raz po raz parskali śmiechem, na wyścigi rozszarpując kwiaty, krzewy, łamiąc ostatnie ocalałe gałęzie drzew. Szczątki ogrodu szybowwały w powietrze w towarzystwie podnieconych okrzyków: „Jakie wspaniałe przyjęcie! Najlepsze od lat!”.

Czuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Wyminął rozszalały tłum i ruszył pędem przed siebie.

Zachodzące słońce oświetlało jego zaczerwienioną od biegu twarz. Odchylił głowę, zmrużył oczy i wyrównał oddech. Dotknął ust. Na ubrudzonej ziemią dłoni dostrzegł ślad krwi. Wyciągnął chusteczkę i starannie wytarł ręce. Było z nim coraz gorzej. Powinien to przerwać. Natychmiast. Prędzej czy później się doigra. Któregoś dnia padnie na środku ulicy i zabiorą go do... właściwie nie wiedział dokąd. Złamał ważne Reguły. Czy tajemnica, która tak bardzo go pociągała, była tego warta? A może wizje z Pensjonatu stanowiły jedynie wytwór chorego, skażonego znudzeniem umysłu? Czemu więc miał nieodparte wrażenie, że to nie on potrzebuje pomocy?

Usiadł na ławce, wciągnął głęboko do płuc czyste, rześkie powietrze; wyczuł bez, konwalię i wiosenny deszcz. Zapach początku, jakby dziś narodził się świat – pełen nadziei, oczekiwania. Zdał sobie sprawę, że dawno nie czekał na nic z radością. Kiedyś, zaraz po Przybyciu, bywało, że nie mógł zasnąć, tak bardzo ekscytowała go wizja kolejnego dnia. Teraz czekanie przybrało mroczny charakter. Nie przynosiło woni porannej bryzy, lecz duszny, słodkawy zapach malutkiego pokoju w Pensjonacie. Zamiast upajać się lazurowym niebem, zamiast podziwiać cuda świata, sycić wzrok bogactwem ludzkiej urody, kierował spojrzenie w głąb siebie. To, co widział, było czasem dziwaczne, znacznie częściej – przerażające, ale nie potrafił odwrócić oczu. Fascynująca moc niezrozumiałych obrazów kazała mu zanurzać się w mętną otchłań umysłu głębiej i głębiej.

Czego tam szukał?

Serce powoli zaczęło wracać do normalnego rytmu. Zamierzał ruszyć w drogę powrotną, kiedy zatrzymały go dźwięki rozmowy. Zaczął się przysłuchiwać.

– Nie wiem, Rob, czy FS to fakt medyczny, czy tylko fantazja niektórych naszych kolegów.

– Zauważ jednak, że pewne symptomy zostały opisane. Powtarzają się w co najmniej kilkunastu pracach. Są identyczne. Myślisz, że ci wszyscy ludzie się mylą? – Z sąsiedniej ławki dobiegał rzeczowy, męski głos.

– Nadal nie mamy naukowego potwierdzenia, niepodważalnego dowodu na istnienie FS... – nieco ciszej odpowiadał rozmówca.

Adrian musiał wyteńczyć słuch, by nie zgubić żadnego ze słów.

– Syndrom został szczegółowo opisany przez poważnych badaczy.

– Pojedynczych pracowników, dodaj. Kierownictwo Instytutu nie potwierdza tych rewelacji. Prace, o których mówisz, niczego nie dowodzą.

– A co ze spójnością obserwacji?

– Może to wytwór generatora pragnień dla takich jak my, dla naukowców. Musimy przecież mieć co badać – zaśmiał się drugi z mężczyzn.

– Nie chciałbym, żeby tak było.

– Ani ja, ale obawiam się, że w przypadku FS marne szanse, żebyś dokonał jakiegoś sensacyjnego odkrycia.

– Moim zdaniem, już dokonałem.

– Masz na myśli te kilka artykułików? Wybacz, Rob, jestem naukowcem, nie bajkopisarzem. Potrzebuję twardych dowodów. Pacjenta obciążonego FS. Z pełną gamą opisanych objawów. Najlepiej swoistych. To jedyne, co by mnie przekonało.

– Przecież wiesz, że to niemożliwe. Obciążeni FS podlegają terminacji.

– Teraz mnie do reszty rozbawiłeś. Terminacja? Kolejna historyjka o złych mocach grasujących w ukryciu po świecie? Zdziwiasz mnie, Robercie. Jak na pracownika Instytutu zbyt dużą wagę przykładasz do fantastycznych teorii, a za małą do faktów.

– Postęp wymaga wiary w teorię. Inaczej, kto i po co szukałby jej potwierdzenia?

– Marzyciel z ciebie, drogi kolego.

– Mów, co chcesz, ale musisz przyznać, że sama możliwość istnienia FS jest fascynująca i warto jej poświęcić trochę uwagi.

– Nie przeczę. Daj znać, kiedy już znajdziesz pierwszego pacjenta. Chętnie go przebadam.

Adrian usłyszał, jak mężczyźni wstają i zaczynają się żegnać. Zerwał się na równe nogi. Musiał porozmawiać z tym Robertem, kimkolwiek był. Podejrzanie FS. Zobaczył przed oczami czerwony napis z ostatniej wizji. Od przyjaciół Lamai słyszał opowieści o recyklingu; podobno poważnie chorzy byli kierowani do odnowy. Ale terminacja? Nie miał pojęcia, co to, jednak czuł, że powinien się dowiedzieć.

Odczekał kilka chwil, aż rozmówca Roberta oddali się na bezpieczną odległość, i podszedł do ubranego w prostą, beżową marynarkę jasnowłosego mężczyzny.

– Przepraszam. Czy możemy chwilę porozmawiać? – zaczął nieznanego.

Ten najwyraźniej bezskutecznie próbował Adriana zidentyfikować, aż wreszcie zapytał uprzejmym tonem:

– Czy my się znamy? Nie przypominam sobie...

– Nie. Przepraszam, że niepokoję, ale to bardzo ważne.

W oczach mężczyzny ujrzał lekkie wahanie, które po chwili zostało zastąpione ciekawością.

– Robert. Robert Underhill – przedstawił się.

Adrian nie zrewanżował się tym samym. Nie miał pewności, czy może sobie pozwolić na taką otwartość.

– Usiądziemy? – Wskazał opuszczoną przed chwilą ławkę. – Może to wyda się panu trochę... dziwne... – zaczął niepewnie, kiedy zajęli miejsca. Jak miał o tym wszystkim opowiedzieć? Od czego zacząć?

– Nie szkodzi. Lubię dziwne rzeczy – przerwał mu Underhill. – Można powiedzieć, że jestem wręcz pasjonatem zagadek. – Uśmiechnął się szeroko.

– To się dobrze składa, bo obawiam się, że sam jestem jedną, wielką zagadką.

– Intrygujące...

– Przysłuchiwałem się rozmowie panów. Przepraszam, wiem, to niegrzeczne, ale siedziałem tuż obok i... po prostu słyszałem – wytłumaczył się, zawstydzony własnym brakiem dobrych manier.

– Powiedzmy, że w imię ciekawej nowej znajomości możemy na chwilę zapomnieć o Regułach Dobrego Wychowania. Zresztą, jak widzę po naszym powitaniu, nie jest pan nadmiernie przywiązany do zasad. – O dziwo, w głosie Underhilla nie słychać było uszczypliwości. – Zatem w czym mogę pomóc?

– Coś mi nie daje spokoju...

– Mianowicie? – Na twarzy naukowca odmalowało się skupienie.

– Czy może mi pan wyjaśnić, czym jest FS?

– Dlaczego to pana interesuje? Jest pan naukowcem?

– Nie. Nie jestem. Zaraz wytłumaczę, ale proszę mi najpierw opowiedzieć o FS.

– No dobrze... – zgodził się Underhill. – Niektórzy z moich kolegów... bo pracuję w Instytucie Badawczym... Otóż... niektórzy podejrzewają istnienie błędu w ludzkiej konstrukcji.

– Błędu?

– FS to skrót od *Flashback Syndrome*. Pewne środowiska naukowe opisują FS jako zespół chorobowy polegający na doświadczaniu czegoś w rodzaju... przebłysków.

Adrian poczuł, że robi mu się gorąco. Poluzował kołnierzyk i starał się opanować drżenie rąk. Zastanawiał się, czy Underhill dostrzegł jego reakcję.

– Geneza przebłysków jest nieznana – kontynuował naukowiec – ale wiadomo, że pojawiają się w nich pewne sytuacje... jak to ująć, żeby pan zrozumiał... –

Zastanowił się. – Najprościej mówiąc, obarczeni syndromem pamiętają rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły. Wizje są tak realistyczne, że wyglądają na rzeczywiste. Pacjenci wierzą, że to ich wspomnienia.

– Mózg wytwarza coś, co nie ma związku z prawdą? To błąd, o którym pan wspominał? Błąd umysłu?

– Taka jest oficjalna wersja.

– A nieoficjalna?

– Lepiej dać spokój plotkom.

– Wspominał pan swojemu przyjacielowi, że to nie są jedynie plotki.

– Och, to tylko niezobowiązująca pogawędka dwóch naukowców. Proszę nie przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi.

– Ale pan je zna, tak? Pan wie, jakie są teorie?

– Drogi panie... kimkolwiek pan jest... znam, ale wątpię, by miały jakiś sens. Dlatego nie należy ich rozgłaszać.

– Panie Underhill. – Błagalnie spojrzał na naukowca. – Proszę... proszę mi powiedzieć. To ważne.

Ponownie udało mu się zaintrygować rozmówcę.

– W porządku, powiem panu. – Underhill podjął decyzję. – Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że zachowa pan to dla siebie. Nie powinniśmy, a zwłaszcza ja nie powinienem wprowadzać do obiegu niesprawdzonych historii.

– Rozumiem. Obiecuję. Nie pożałuje pan.

– Istnieje teoria, że wizje cierpiących na FS, o ile naturalnie tacy w ogóle istnieją... – zastrzegł – No więc, teoria mówi, że ich wizje są autentycznymi wspomnieniami.

– Wspomnieniami? Czego?

– Innego życia.

– Jakiego innego życia?

– Trudno powiedzieć. Jedni twierdzą, że chodzi o życie równoległe, inni, że to pamięć związana z wydarzeniami sprzed naszego Przybycia.

– Przecież Przybycie jest początkiem wszystkiego.

– Mówiłem, że to brednie. Czego się pan spodziewał?

– Nie wiem... Może jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia?

– Racjonalnego wyjaśnienia... czego?

– Moich wizji – wypalił jednym tchem. Zaufał obcemu człowiekowi. A jeśli niesłusznie? Czeka go recykling? Czy może coś znacznie gorszego... Zamarł w

pełnym oczekiwania napięciu.

– Ma pan wizje? – Naukowiec przyjrzał mu się z powagą.

– Tak. Obawiam się, że tak. Z początku myślałem, że to kłopoty pierwszego roku, ale przebłyski są coraz silniejsze.

– Co pan widzi?

– Jakieś dziwne rzeczy. Istoty bez rąk, poruszające się na czterech nogach...

– To zapewne halucynacje. Na początku mogą się zdarzać. Radziłbym wizytę u lekarza. – Underhill podniósł się z ławki, dając tym samym wyraźny sygnał, że rozmowę uważa za skończoną.

– Proszę poczekać... – Adrian również wstał.

– Tak? – W tonie mężczyzny pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Musiał zaryzykować, powiedzieć wszystko. Robert Underhill był szansą na znalezienie jakiegokolwiek tropu, na ustalenie, kim są ludzie z wyobrażeń.

– Czasem w wizjach spotykam dwie kobiety. Bardzo do siebie podobne. Jedna jest jakby miniaturą drugiej. Mniejszej na imię Ella, wysokiej – Amy. Może to nawet ta sama osoba w dwóch postaciach? Nie wiem... Nie znam nikogo takiego. Miałem też wizję w pokoju hotelowym.

– W pokoju hotelowym?

– Tak, na poziomie trzecim trafiłem na pensjonat. Pensjonat pod Gwiazdami. Może jest panu znany?

Przez twarz Underhilla przemknął ledwie widoczny cień.

– Pierwsze słyszę. To daleko od Miasta?

– Nie. Pół godziny drogi od przedmieść.

– Dziwne... – zastanowił się badacz. – Myślałem, że okolice trzeciego poziomu znam jak własną kieszeń... Co się wydarzyło w tajemniczym pensjonacie?

– Kiedy zobaczyłem ten budynek, czułem, że muszę wejść i wynająć pokój. Nie wiem po co... Niedaleko stamtąd mamy bardzo ładny dom. Zupełnie jakby do tej decyzji popchnęła mnie jakaś irracjonalna siła. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Być może... Proszę mówić dalej.

– Przychodzę tam codziennie na kilka godzin, ukrywając to przed rodziną. Brat i siostra myślą, że spędzam ten czas w Bibliotece.

– Modyfikuje pan prawdę? – Na ustach naukowca pojawił się sceptyczny grymas.

– Zazwyczaj po prostu przemilczam. Ale modyfikowanie prawdy jest możliwe.

– To jakiś żart, tak?

– Nie. Zrobiłem to.

– Zmodyfikował pan prawdę?

- Nie uwierzy pan, jakie to łatwe.
- Hmm... interesujące... – Underhill zmarszczył brwi, najwyraźniej głęboko się nad czymś zastanawiając.
- W hotelu też miewałem przebłąski. Widziałem jedną z tych kobiet. Tę większą. Po prostu weszła do pokoju. W ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Jakby mnie tam nie było. Za nią pojawił się mężczyzna. Wyglądał jak ja. Niemal identycznie.
- To niemożliwe. – Badacz pokręcił przecząco głową. – Druga Zasada Indywidualizacji wyklucza istnienie dwóch osób o identycznym wyglądzie.
- Wiem. Ale myślę, że to nie był ktoś po prostu do mnie podobny. To naprawdę byłem ja.
- Rozdwojenie jednostki? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. A co robili ci ludzie w pana pokoju?
- Nic specjalnego. Rozmawiali, śmiali się. – Adrian postanowił przemilczeć wcześniejsze spotkanie z nagą dziewczyną. Nadal wydawało mu się tak niepojęte, że nie wiedział, jakimi słowami miałby o tym opowiedzieć.
- Rozumiem...
- Jeszcze jedno. Pokój wyglądał niby podobnie, ale różnił się szczegółami, drobnymi elementami... Kolorem tapety, obrazami na ścianie i tak dalej.
- Wizja zniekształciła rzeczywistość?
- Widzi pan. To jest właśnie najgorsze... Miałem wrażenie, że tamten pokój jest... jak to nazwać... bardziej prawdziwy? Że tamten dobrze znam. A ten tutaj, ten, w którym faktycznie byłem, jest jedynie czymś w rodzaju kopii.
- Zdziwiający figle płata panu umysł...
- Nie chodzi tylko o przebłąski. Robię też dziwne rzeczy.
- Na przykład?
- Zawsze, ale to zawsze zamawiam trzy dania.
- Może ma pan ogromny apetyt? – Naukowiec westchnął i lekko unióś brwi na znak, że ten akurat dowód wydaje mu się bzdurny.
- Nie, to nie to... Zjadam tylko jedno danie. Ale zamawiam trzy. Jak bardzo bym się nie starał pamiętać, żeby tego nie robić, i tak zamówię za dużo. I zawsze trzy. To stały schemat. Najczęściej dwa są podobne, a ostatnie się od nich różni... potrawami albo wielkością porcji. Czy to nie dziwne?
- Przyznaję, dość niezwykłe. Chyba naprawdę powinien się pan zwrócić do specjalisty. To mi wygląda na początki Choroby. A wie pan, jak kończy się Choroba, kiedy nie jest odpowiednio leczona...
- Właściwie... nie wiem. A pan wie?

– No cóż... W każdym razie nie jest to nic przyjemnego. – Underhill wzruszył ramionami. – Czytał pan przecież ulotki Celestis...

– Czytałem. W nich też nie ma ani słowa na ten temat. Czy to pana nie dziwi?

– Raczej nie. Po co martwić ludzi? Nawet Pierwsi Przybyli nie pamiętają nieuleczalnego przypadku Choroby.

– Ale taki może się zdarzyć, prawda? Przecież przed tym właśnie ciągle nas ostrzegają.

– Teoretycznie... Jednak odpowiednia profilaktyka zminimalizowała ryzyko do zera.

– A gdyby ktoś się nie leczył? Co by się z nim stało? Nigdy się pan nie zastanawiał?

– Drogi panie, zaczynam rozumieć, do czego pan zmierza. Nie mam zamiaru uczestniczyć w podobnych dyskusjach. Nie widzę powodu, dla którego ludzie mieliby się nie leczyć. To niedorzeczne i zwyczajnie nielogiczne. Rozumiem potrzebę silnych wrażeń, jednak nie będę podsycał pana wyobraźni rojeniami o recyklingu. Proszę poszukać sobie rozmówcy wśród miłośników przygód, a nie poważnych badaczy.

– Nie zrozumiał mnie pan. Panie Underhill... ja znam te kobiety z wizji. Znam, choć nigdy ich nie spotkałem. Jakkolwiek irracjonalnie to nie brzmi, tęsknię za nimi. Są mi bliskie jak brat czy siostra. A nawet bardziej. Prawdziwe uczucie, rozumie pan? Czy to możliwe? Czy pan, jako naukowiec, dopuszcza myśl, że nie wiemy wszystkiego o sobie i świecie, w którym żyjemy?

– Ponownie radzę udać się do najbliższego Centrum Pomocy. – Tym razem głos Underhilla zabrzmiał twardo i nieprzyjemnie. – Ja, niestety, nic nie mogę dla pana zrobić. Żegnaj. I niech będzie pan szczęśliwy.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Słyszał pan o Procedurze Zero? – Adrian chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Skąd pan o niej wie? – Badacz odwrócił się gwałtownie.

– Z wizji. Widziałem pewne miejsce. Przypominało salę Domu Duchowej Odnowy, też białe, skromnie urządzone... z tą różnicą, że nie było tam dzwonek, kadzidełek, tylko mnóstwo monitorów.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. A i panu radzę nie dociekać.

– Tam właśnie słyszałem rozmowę. Ktoś mówił o Procedurze Zero. To może mieć jakiś związek z moimi przebłyskami.

– Drogi panie, chyba wyraziłem się jasno? Takie halucynacje są zapewne skutkiem ubocznym niedawnego Przybycia. Instrukcje postępowania w przypadku podobnych zaburzeń znajdzie pan w każdej ulotce Korporacji. Powtarzam, proszę niezwłocznie skierować się do najbliższego Centrum Pomocy. Mimo że wygląda pan na miłego

człowieka, nie powiadomię Celestis, choć być może dla pana dobra, powinienem. Odnoszę jednak wrażenie, że sam pan sobie poradzi. Nie ma co robić zamieszania. Ale proszę mi obiecać, że poszuka pan wsparcia. Tymczasem żegnam i jeszcze raz życzę szczęścia. A! I radzę więcej nie chodzić do pensjonatu... Wizyty w tym podejrzanym miejscu wyraźnie panu szkodzą.

Mężczyzna skinął lekko głową i oddalił się energicznym krokiem.

– Będę tu czekał za tydzień o tej samej porze! – krzyknął Adrian w kierunku znikającego między drzewami naukowca. – Proszę... niech mnie pan z tym nie zostawia... – dodał szeptem, wiedząc, że Underhill i tak już go nie usłyszy.

Nie miał ochoty ruszać się z domu. Po co odwiedzać Bibliotekę, skoro w całym, gigantycznym księgozborze nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania? W jakim celu miałyby wracać do Pensjonatu pod Gwiazdami? Wizyty w hotelowym pokoju faktycznie kosztowały go sporo sił. Niczego nie wyjaśniały, tylko rodziły kolejne wątpliwości. Musiał zrobić sobie przerwę.

Dziś znów śnił o Elli, o jej delikatnej twarzyczce, błękitnych jak ocean oczach i jaśniutkich włosach. Zaszła jednak jakaś zmiana – kiedy się obudził, nie był ani zdumiony, ani przerażony. Nawet gdy kazał Majordomusowi przygotować trzy śniadania. Po prostu: otwierając oczy wiedział, że tak będzie. Jedyne uczucie, jakie nim targało, to potworna tęsknota za małą ze snu. Zdarzało mu się czekać z niecierpliwością na powrót Carlosa czy Lamai, kiedy znikali na dłużej, ale tęsknota, jakiej doświadczał teraz, nie dawała się z niczym porównać. Była tak dojmująca, że przez kilka sekund po przebudzeniu nie potrafił złapać tchu. Jakby ktoś nagle zabrał powietrze. Jakby na mgnienie oka zgasło słońce, a świat opanowała ciemność, która nie była zwyczajną nocą, lecz pustką: potworną i lodowatą. Jakby zniknął, a wraz z nim wszystko, co znał, zapadło się w przerażającą smolistą czeluść. Kiedy był pewny, że lada chwila czarna, zimna materia wedrze się do jego płuc, by pozostać tam na zawsze, tęsknota nagle słabła. Pozwalała mu odzyskać wzrok, oddech, równy rytm serca. Jednak nigdy, przenigdy, od momentu kiedy poczuł ją po raz pierwszy, nie ustępowała. Nauczył się z nią żyć jak z nieproszonym, choć spodziewanym gościem.

Sny, wizje, dziwne przypadki nie wywoływały w nim już paniki. Przeciwnie – ogarniał go lęk na myśl, że nigdy więcej miałyby ich nie doświadczyć. O ile jeszcze kilka dni temu rozważał wizytę w Centrum Pomocy, teraz był absolutnie pewny: nie podda się żadnej terapii, nie pozwoli się pozbawić ukrytego życia, które nadało jego egzystencji nowy sens, cel – odmienny od generowanych przez Celestis. Wszyscy

wiedzieli, że brak przyjemności w konsekwencji oznacza brak szczęścia. W jego przypadku było na opak. Uwierzył jednak, że jest zdrowy, że jego przeżycia są związane z czymś głębszym, ważniejszym niż zwyczajne znudzenie. Tego ranka postanowił zrobić wszystko, by ochronić tajemnicę, choćby codziennie musiał modyfikować prawdę, patrząc prosto w oczy najbliższym. Jakiś fragment umysłu, resztki rozsądku podpowiadały, że niebezpiecznie balansuje na krawędzi. Nauczył się skutecznie ten głos ignorować. Nic nie mogło zniszczyć rzeczywistości, którą tworzył w głowie – nawet racjonalna część jego samego.

– Hej, braciszku! – zaświergotała Lamai, wkraczając do kuchni z rakieta do tenisa pod pachą. – Co dziś porabiasz? Nadal będziesz malował akwarele? Ta z widokiem na dolinę była naprawdę udana. Powinieneś podarować ją Neumannom. Ich dom wygląda precudownie.

– Też chcę zobaczyć! – Usłyszeli głos Carlosa, który sądząc po upstrzonym kolorowymi napisami kombinezonie, wybierał się na tor wyścigowy. – No? Gdzie to dzieło?

Lamai podreptała do oranżerii i przyniosła niewielkich rozmiarów obrazek.

– No sam zobacz! Czy nie jest wspaniały? Wszystko odwzorowane dokładnie jak na fotografii!

Carlos wziął od niej malunek i wyciągnął go na odległość ręki, by lepiej się przyjrzeć. Nagle jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a twarz poczerwieniała. Zerknął na Adriana, potem na pejzaż i znów na Adriana.

– Ha! A nie mówiłam! – wykrzyknęła Lamai, widząc reakcję brata. – Robi wrażenie, prawda?

– Tak... oczywiście... piękny... – Mimo starań Carlos nie potrafił ukryć emocji.

– Nie ma się czym zachwycać, nie jest idealny... – Adrian postanowił wskazać im wadę w obrazie. Dziwił się, że sami jej nie dostrzegli.

Na środku zamykającego dolinę wzgórza tkwiła ciemna plama. Coś jak wejście do jaskini albo tunelu. W rzeczywistości niczego takiego tam nie było. Próbował namalować dolinę jeszcze parę razy. Zawsze popełniał ten sam błąd, co w końcu zirykowało go do tego stopnia, że porzucił swoją pasję na dobre. Nie umiał malować, taka była prawda. Wszyscy powinni to widzieć. Wcale nie był z obrazu dumny – nie chciał, żeby siostra się nim chwaliła.

Lamai uważnie przeszukiwała wzrokiem pejzaż. Za to Carlos wbijał spojrzenie dokładnie w miejsce, w którym widniała na kartonie czarna, ohydna plama.

– Nie widzę... – powiedział w końcu.

– Tu... na środku wzgórza... – Adrian był przekonany, że brat dostrzegł skazę.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. – Najstarszy z rodzeństwa odłożył obraz i ruszył ku wyjściu. Na jego twarzy nie został nawet ślad po uczuciach sprzed chwili.

– Ani ja. – Wzruszyła ramionami Lamai.

– Do wieczora! Bądźcie szczęśliwi! – Carlos się pożegnał, po czym zniknął za drzwiami.

– Też bądź szczęśliwy! – odpowiedziała siostra i skierowała wzrok na Adriana. – A ty? Znowu dziś biegniesz między swoje zakurzone książki do najnudniejszego miejsca na świecie? Chociaż... nie taki znowu z ciebie nudziarz! Na przyjęciu zrobiłeś wrażenie. – Zachichotała. – Do dziś mówią o tym w Mieście.

– Zostanę w domu – odparł krótko, wciąż się zastanawiając, czy naprawdę przed chwilą coś się wydarzyło, czy zwiódła go wyobraźnia.

– Wszystko w porządku? – Lamai zerknęła na niego z niepokojem.

– W porządku. – Starał się przybrać możliwie pogodny wyraz twarzy.

– Nie wyglądasz najlepiej. Poza tym... ta twoja ucieczka z przyjęcia... Właśnie wtedy, kiedy wszyscy tak świetnie się bawili.

– Daj spokój... – Machnął lekceważąco ręką. – Po prostu byłem znużony tłumem. Znasz mnie.

– Oj, znam, znam... – Westchnęła. – Adrianie... zaczynam się o ciebie martwić.

Chyba miała zamiar coś dodać, ale na szczęście przy stole pojawił się Majordomus ze śniadaniem.

– O! Moje grzanki! Świetnie, bo zaraz muszę wyjść.

Kiedy w końcu Lamai opuściła dom, odetchnął z ulgą. W ostatnim czasie męczyło go towarzystwo bliskich. Postanowił spędzić dzień na tarasie. Jak wiele poprzednich i kto wie ile kolejnych... Nie miał pojęcia, co innego właściwie mógłby robić. A zwłaszcza – po co? Gdyby nie tajemnica, gdyby nie dręcząca go tęsknota, czy w ogóle podejmowałby jakiegokolwiek działanie? Jednak miał cel. Od tygodni tylko to powodowało, że codziennie rano wstawał z łóżka. Z klimatyzatora popłynął monotonny, hipnotyczny szum morskich fal. Obserwując różowawe obłoki, Adrian rozmyślał o zachowaniu Carlosa, a także o rozmowie z naukowcem. Nie wiedział, czy Underhill przyjdzie jutro do Parku, ale był dobrej myśli. Powoli zaczęła go dopadać senność. Oby przyśniła mu się któraś z jasnowłosych kobiet – tak bardzo chciał je znowu zobaczyć.

Poczuł, że ktoś stoi przy leżaku. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Pięć minut? Godzina? Jeśli spał, kompletnie nic mu się nie śniło. Albo tego nie pamiętał.

Otworzył oczy. Ujrzał nad sobą Lamai, a obok niej mężczyznę o dobrotliwej, okrągłej twarzy, którą okalała wypielegnowana rudawa broda.

– Nie chcieliśmy cię obudzić – powiedziała przeproszającym tonem.

– Nie szkodzi. Już odpocząłem – uspokoił ją.

Ze zdumieniem stwierdził, że to prawda. Od tygodni nie czuł się tak wyśmienicie. Zamrugał, próbując przyzwyczaić oczy do jaskrawego słońca. Dopiero teraz dostrzegł, że nieznajomy trzyma w dłoni niewielki, srebrny pojemnik o wrzecionowatym kształcie.

– To świetnie! – ucieszyła się. – Poznaj doktora Zukina. Mój brat, Adrian Lawson – zwróciła się do brodatego mężczyzny.

– Miło mi. Mam nadzieję, że jest pan dziś szczęśliwy? – Adrian wypowiedział na powitanie tradycyjną formułkę, jednocześnie zastanawiając się, po co jego siostra sprowadziła tego człowieka. Nie miała zwyczaju bez uprzedzenia zapraszać gości.

– Mnie również miło. Dziękuję, jestem bardzo szczęśliwy. – Zukin wyglądał na uprzejmego, dość poważnego człowieka.

– Usiądziemy? – zaproponowała Lamai.

– O, chętnie. Mogę gdzieś to położyć? – zapytał przybysz, bezradnie rozglądając się za odpowiednim miejscem dla swojego pakunku.

– Może tutaj? – Wskazała na marmurowy stolik.

– Doskonale! – Uradowany ostrożnie umieścił przedmiot na wypolerowanym blacie.

– Cóż to? – zapytał Adrian. Nie był specjalnie zaciekawiony. Po prostu nie miał lepszego pomysłu na rozpoczęcie rozmowy, a wydawało mu się, że niegrzecznie będzie milczeć.

– To dla pana. – Mężczyzna obdarzył go nadspodziewanie serdecznym spojrzeniem.

– Dla mnie?

– Owszem. Ale o tym za chwilę. Właściwie... jestem tu na prośbę pana siostry... – zaczął Zukin, po czym zamilkł zakłopotany.

– Tak? – Adrian już wcześniej nabrał podejrzeń, że obecność rudobrodego nie jest zwyczajną towarzyską wizytą.

– Nie ma powodu do obaw. Doktor to doskonały specjalista – wtrąciła się Lamai.

– Specjalista... od czego? – Był coraz bardziej zaniepokojony.

– Proszę pana, panie Lawson, zdaniem pana siostry zaistniała pewna konieczność...

– Doktor chrząknął i znów przerwał w połowie zdania, by zapatrzeć się w jakiś punkt przed sobą.

– Adrianie, przepraszam, że cię nie uprzedziłam. – Lamai przybrała skruszoną minę. – Bałam się, że nie zechcesz skorzystać z pomocy.

– Pomocy? – Zaczynał do niego docierać faktyczny powód odwiedzin. Nakazał sobie spokój. Musiał poczekać na rozwój wypadków.

– Sam wiesz... nie czułeś się ostatnio najlepiej. Nie chodzi o to, że zobowiązują mnie do interwencji procedury Celestis... – tłumaczyła się. – To zwykła troska i odpowiedzialność. Zależy mi na tobie. Zdecydowałam... cóż, moim zdaniem, czas na zasięgnięcie porady fachowca. Ponieważ sam lekceważyłeś problem, postanowiłam cię wesprzeć. – Odwróciła głowę, uciekając przed jego wzrokiem.

– Pan zapewne jest z Centrum Pomocy? – Adrian zwrócił się do doktora.

– Tak. Z Piątego Centrum Pomocy „Światło w nas”.

– Piękna nazwa...

– A dziękuję, dziękuję. W istocie, bardzo adekwatna. Więc... panie Lawson... jestem tu, by przywrócić panu wewnętrzne światło.

– Nie wydaje mi się, bym je kiedykolwiek utracił.

– Rozumiem pana opór. Zapewniam, to nie żadna skomplikowana terapia. Chodzi o prostą diagnozę. Nie możemy dopuścić do rozwoju Choroby, gdyby taka zaistniała. Im wcześniejsza reakcja, tym większa szansa na uniknięcie najgorszego. Zna pan zasady. Lepiej zapobiegać niż leczyć. Doskonała profilaktyka Celestis zagwarantowała nam świat właściwie Choroby pozbawiony. Przecież pan to wszystko wie...

– Czytałem lektury obowiązkowe.

– Naturalnie... naturalnie... – ucieszył się Zukin.

Adrian przez mgnienie oka miał chęć przepędzić ugrzecznionego doktora. Szybko jednak uznał to za złe posunięcie. Rozluźnił ciało i pozwolił rudobrodemu działać.

– Rzeczywiście... – Przybrał skruszoną minę. – Ostatnio nie czułem się najlepiej. Zrzuciłem dolegliwości na karb pierwszego roku. Sądziłem, że sam sobie poradzę, ale teraz widzę, że moja siostra może mieć rację...

– Ma pan cudownych bliskich. Bardzo o pana dbają. – Lekarz z uznaniem skłonił głowę przed Lamai.

– To prawda – zgodził się, posyłając siostrze wdzięczne spojrzenie.

– Tak się cieszę... – szepnęła z wyraźną ulgą.

– Dobrze, że jesteś mądrzejsza ode mnie, inaczej... – Zawiesił głos dla lepszego efektu. – A tak, jest czas na profilaktykę. Bo jest, prawda? – rzucił w kierunku Zukina, udając mocno zaniepokojonego. Wydawało mu się, że tak właśnie powinien postąpić, gdyby naprawdę chciał się wyleczyć.

– Bez obaw, panie Lawson, bez obaw. Już widzę, że nie jest tak źle. Co ja mówię! Wcale nie jest źle! – Rudobrody połknął haczyk. – A teraz proszę mi opowiedzieć, co dokładnie panu dolega.

– Adrian jest ostatnio zmęczony. Nie chce nawiązywać kontaktu z ludźmi... – relacjonowała Lamai.

– Dziękuję za te cenne informacje, łaskawa pani, jednakże wolałbym, by pan Lawson mówił sam... – przerwał jej doktor.

Dziewczyna zamilkła i odeszła kilka kroków, jak gdyby stojąc bliżej, nie była w stanie powstrzymać się od uczestniczenia w całej sytuacji. Usiadła na stopniach tarasu i podpierając brodę rękami, zamarła w pełnej skupienia pozie. Wyraźnie czuła się urażona wykluczeniem jej z procedury diagnozy.

– A zatem? Panie Lawson? Co jest nie tak, jak być powinno? – ponaglił go lekarz.

Adrian milczał. Dobre pytanie. Co jest nie tak, jak być powinno? Niby nic. A jednocześnie wszystko. Nawet gdyby miał mówić szczerze, nie potrafiłby nazwać swojego problemu. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego żyje z tajemnicą, modyfikuje prawdę, łamie zasady. A w dodatku robi to z pełną świadomością konsekwencji. Podejmuje ryzyko. Prawdziwe. Ostatnia myśl zaskoczyła go do tego stopnia, że ułożone na użytek Zukina wytłumaczenie rozsypało się w drobny mak. Jakby nitki, które jeszcze kilka sekund temu trzymał mocno w dłoni, nagle porwał wiatr. Nie wiatr – tajfun. Sam już nie wiedział, co jest prawdziwe. Pensjonat na plaży czy ten dom? Lamai czy Underhill? Sny czy życie? Chaos, który zapanował w głowie Adriana, wytrącił go z równowagi tak mocno, że nie dało się tego ukryć.

– Panie Lawson? Co się dzieje? – Doktor zmrużył oczy i znieruchomiał. Ruda broda wyglądała nierealnie. Jak odlana z wosku.

Nagle Adriana ogarnęło irracjonalne przekonanie, że świdrujący wzrok doktora wnika wprost do mózgu. Że rudobrody czyta w nim jak w otwartej księdze. Na wszelki wypadek zamknął oczy. Gorączkowo poszukiwał jakiegoś wyjścia. Wydawało mu się, że upłynęło mnóstwo czasu, zanim akcja serca się wyrównała. Kiedy uchylił powieki, lekarz dalej uważnie się w niego wpatrywał, a niemal czerwona broda wciąż lśniła w słońcu.

– Przepraszam. To właśnie tak wygląda. Nawet dobrze, że był pan świadkiem tego... nie wiem... ataku? – Wpadł na pomysł, jak obrócić całą sytuację na swoją korzyść.

– Hmm... tak... – mruknął doktor. – Co dokładnie się dzieje podczas tego...? Dobrze, roboczo nazwijmy to atakiem.

– Dość dziwne uczucie. Jakbym nagle osłabł. Pamiętam takie stany zaraz po Przybyciu. Wtedy się nimi nie martwiłem, ponoć są normalne...

– Faktycznie, zdarzają się rozmaite aberracje... – potwierdził Zukin z mądrą miną.

– No ale teraz... minął rok... To bardzo krępujące. Dopada mnie zniecka. Ostatnio na przykład, kiedy byłem w Mieście. Gdybym zemdłał, mógłbym zrobić z siebie widowisko, zepsuć dzień wielu ludziom, a może niechcący kogoś dotknąć.

Lamai aż zakryła usta z zażenowania. Wiedział, że tym wyznaniem zrobi wrażenie. Dotykanie drugiego człowieka było niewyobrażalnym złamaniem zasad. Nawet jeśli stało się przypadkiem.

– Panie Lawson... – Zukin również był wstrząśnięty, patrzył na niego współczująco. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy z tego powodu stroni pan od ludzi? Czy istnieją inne przyczyny?

– Z tego. Właśnie z tego. Obawiam się, że dostanę ataku na czyichś oczach. To byłoby okropne. Nie chcę sobie nawet wyobrazić...

– Adrianie! – Jego siostra w końcu nie wytrzymała. – Czemu nam o tym nie powiedziałaś? Przecież to wiele wyjaśnia. Sądziłam, że twoja apatia to jakaś dużo poważniejsza sprawa!

– Nie chciałem wam robić niepotrzebnie kłopotu. Myślałem, że samo przejdzie.

– Głuptasie! – Podeszła i posłała mu ciepłe spojrzenie. – Tak się martwiłam, a to tylko zwykłe osłabienie. I głupie lęki. Niepotrzebnie się tyle czasu męczyłeś... Dobry specjalista rozwiązałby ten kłopot w dwie minuty. Mam rację, doktorze Zukin?

– W istocie, nie przeczę. Panie Lawson, medycyna zna przypadki, kiedy dolegliwości związane z Przybyciem utrzymują się nieco ponad rok. Nie zdarza się to często, ale jednak... Bardzo indywidualna sprawa. Niemniej zgadzam się w zupełności z pana siostrą, trzeba było szukać pomocy wcześniej, zamiast się męczyć. No ale do rzeczy! Diagnoza wskazuje, że musimy jednak poddać pana łagodnej terapii. Nie, nie, proszę się nie martwić... leczenie domowe... na razie. Za jakiś czas, powiedzmy najdalej za miesiąc, objawy powinny ustąpić. Jeśli nadal będzie coś państwa niepokoiło, proszę mnie powiadomić. Czy możemy się tak umówić? – Ostatnie słowa skierował do Lamai, która skwapliwie potwierdziła ruchem głowy. Lekarz wstał, podszedł do wrzecionowatego przedmiotu, podniósł go triumfalnie do góry i oznajmił: – A oto nasza terapia!

Sprawnym ruchem odkręcił pojemnik. Oczom Adriana ukazały się ciemne okulary oraz kilkanaście fiolek wypełnionych niebieskim i czerwonym płynem.

– Podręczny Aktywator Pragnień, przez bardziej dowcipne jednostki pieszczotliwie zwany Papką. Osobiście nie przepadam za tym określeniem. Terapia to nie temat do

żartów – poważnym tonem wyjaśnił Zukin.

– Czy tego właśnie potrzebuję? – Adrian udał zaciekawienie.

– Panie Lawson, przyczyną osłabienia są wyłącznie dolegliwości natury psychicznej. Można to w uproszczeniu nazwać niedostatkami woli życia. Cóż... pokonaliśmy setki groźnych chorób, które niegdyś krzywdziły ludzkość. Nie znaleźliśmy jednak sposobu na ten szczególny rodzaj melancholii, że tak użyję nieco archaicznego określenia, nękający ludzi zaraz po Przybyciu. Zazwyczaj, jak pan wie, dyskomfort ustępuje samoistnie w ciągu pierwszych kilku miesięcy. Czasem, jak w pana przypadku, utrzymuje się trochę dłużej, co ma niekorzystny wpływ na organizm. Stąd utrata sił. Na szczęście mam dobrą wiadomość, nie musi się pan dłużej męczyć. Można powiedzieć, że pana umysł jest nieco bardziej złożony i potrzebuje silniejszych bodźców. Nie wystarczają standardowe motywacje. Dlatego wspaniała rzeczywistość naszego świata nie pochłania pana tak bardzo, jak na to zasługuje. Ale spokojnie... – Wyciągnął z pojemnika szklane rurki wypełnione płynem. – Niebieska fiołka rano, czerwona wieczorem i dziesięć minut patrzenia w Optofelix. – Rudobrody z dumą zaprezentował przedmiot podobny do zwykłych, interaktywnych okularów. Po raz pierwszy jego twarz przestała przypominać kamienną rzeźbę. – Ważne, by to robić o stałej porze. Optofelix wyświetli obrazy, które będą stymulowały pana mózg do większej aktywności. Lekarstwa wzmocnią oraz utrwalą efekt. Bardzo przyjemna kuracja. Sam pan zobaczy.

– I to wszystko? Tyle wystarczy?

– Na ile się znam na medycynie, a znam się całkiem dobrze, powinno. Jak mówiłem, gdyby działo się coś nietypowego, proszę mnie powiadomić – znów zwrócił się bardziej do Lamai niż do swojego pacjenta.

Siostra, jak poprzednio, skinęła głową z pełnym zapałem zaangażowaniem. Jej soniczne kolczyki, najnowszy krzyk mody, zagrały popularną melodyjkę. Adrian nie miał najmniejszych wątpliwości, że Lamai skrupulatnie wywiąże się z zadania. Będzie musiał markować zleconą mu terapię. O ile tylko nie wzbudzi podejrzeń, powinno się udać.

– A jeśli aktywator nie pomoże? Co mnie wtedy czeka? – zapytał. Nie musiał nawet pozorować niepokoju, faktycznie ten cały Zukin przyprawiał go o dreszcze.

– Po co zaraz tak czarno widzieć? Będzie dobrze. – Doktor wstał i zaczął otrzepywać nogawki spodni z niewidocznych pyłków. – A jeśli nie, też nie ma strachu. Umieścimy pana w ośrodku, gdzie mają prawdziwe, duże generatory pragnień i po krzyku. – Ostatnie zdanie zabrzmiało złowieszczo. – Nic nie pokona Celestis, panie Lawson. Nawet Choroba. Niech Prezesowi Założycielowi

Thomasowi Wolfowi będą dzięki za dobrodziejstwo Planet! – Ton głosu Zukina nadal był miły, lecz jego rysy zdążyły ponownie skamienieć.

4

Wyszedł wcześniej, żeby uniknąć pytań domowników. Zatrzymał się w połowie Wzgórza Marzeń i obserwował, jak znad horyzontu wyłania się pomarańczowa, lśniąca tarcza. Migotliwe jezioro blasku rozlało się na ukwieconą łąkę. Gdzieś w oddali słychać było świergot ptaków. Być może Lamai zamawiała śniadanie. Nie wiedział, dlaczego ten dźwięk nazywano świergotem ptaków, ale bardzo go lubił. Błysk wielkiego szmaragdu, zdobiącego dach domu Neumannów, przeszył brzoskwińową poświatę, w której tonęła dolina. Świat jest nieprawdopodobnie piękny – pomyślał. Przez chwilę miał ochotę zawrócić, zjeść śniadanie z siostrą, namalować jakąś akwarelę, posłuchać muzyki i zapomnieć o tym, co go w ostatnim czasie spotkało. Zacząć żyć jak inni. Zaraz potem przypomniał sobie twarz Amy.

Miał nadzieję, że Underhill przyjdzie. Do ewentualnego spotkania zostało kilka godzin, więc musiał jakoś zabić czas. Odczuwał pokusę, by zajrzeć do Pensjonatu pod Gwiazdami, ale szybko ten pomysł odrzucił. Znowu mogło się zdarzyć coś, co wytrąci go z równowagi, a dziś powinien być w dobrej formie.

Nabrał ochoty na herbatę lub kawę w jednej z tych miłych, niedużych knajpek na pierwszym poziomie, ruszył więc do najbliższego przystanku. Jak zwykle wybrał tradycyjną, naziemną taśmę transportową. Wolał ją niż śmigające górą statki powietrzne albo upstrzone billboardami tunele podziemnej kolejki. Zamierzał dostać się do Stacji Głównej imienia Thomasa Wolfa, a stamtąd, przez Aleję Pragnień i Platformę Cudu Celestis, na pierwszy poziom. Chciał w spokoju przemyśleć szczegóły spotkania z Underhillem; jeszcze nie wiedział, czym go przekona.

Gdy tylko przekroczył próg lokalu, otoczyły Adriana dźwięki srebrnych dzwonek, wygrywających jakąś nieśpieszną melodię. Normalnie pewnie by go zachwyciły, ale dziś skojarzyły mu się z czymś nieludzkim: mechanicznym, pozbawionym emocji. Nie był pewny, czy to wrażenie również nie jest skutkiem Choroby. Rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego stolika. Nie pamiętał, by kiedykolwiek panował tu podobny tłok. Ostrożnie wyminął grupkę ubranych w pstrokate stroje, chichoczących dziewcząt. Było tak ciasno, że łatwo mógł przypadkiem którejs dotknąć. Jednej z nich o mało nie wytrącił z ręki filiżanki. Szczęśliwie zawadził jedynie o brzeg naczynia, więc kobieta tylko skarciła go wzrokiem.

– Mogłaś się przesunąć – burknął pod nosem i nie patrząc w jej stronę, ruszył w najciemniejszy kąt herbaciarni, gdzie dostrzegł wolne miejsce.

Nie powinien zwracać na siebie uwagi takim zachowaniem, ale nie potrafił się powstrzymać. Ten cały świat sztucznych uśmiechów coraz mniej mu się podobał.

Roztargnionym wzrokiem obrzucił migoczące na blacie maleńkiego stolika menu, po czym zamówił pierwszą z brzegu herbatę, choć w ofercie były ich chyba ze dwie setki. Obok siedział skośnooki, długowłosa mężczyzna, bardzo podobny do Lamai. Właściwie gdyby go ubrać w kolorową, szeleszczącą spódnicę, można by się pomylić. Ten widok na sekundę obudził w Adrianie poczucie winy. Zmierzył się z wyrzutami sumienia z wprawą, jaka cechuje recydywistów. Każdy kolejny raz był łatwiejszy. Patrzył na skośnookiego dłuższą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że to bardzo niegrzeczne. Na szczęście chłopak, zajęty pogawędką z wdzięczącą się Reklamą produktów spożywczych, zupełnie nie zwracał na Adriana uwagi. Gdyby nie irytujące dzwoneczki, mogło być nawet przyjemnie. Melodia stawiała się coraz bardziej męcząca, ale nie widział sensu spacerowania po Bulwarze. Otoczy go tam rój kusicielek, a każda z nich będzie się dwoić i troić, byle utonął w jej przepięknym spojrzeniu. Poradziłby sobie z Reklamami, jednak musiałby walczyć, na co kompletnie nie miał ochoty.

Wbił wzrok w delikatną, udekorowaną błękitnymi, górskimi widoczkami filiżankę. Coś mu przypominała. Przez chwilę szukał w pamięci odpowiedniego skojarzenia, lecz nic takiego nie znalazł. Z całej siły starał się skupić na czekającej go rozmowie. Nie umiał przewidzieć żadnego scenariusza. Nie wiedział nawet, czego dokładnie oczekuje. Potrzebował wyjaśnienia, to pewne. O ile sny były tylko snami i nie mógł się na nich opierać, trudno zlekceważyć wszystko, co mu się przytrafiło w Pensjonacie pod Gwiazdami. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Jaka? Wierzył, że Underhill mu powie.

Spojrzał na przelewający się za oknem herbaciarni kolorowy tłum. Nie potrafił dzielić pragnień z tymi ludźmi. Właściwie miał tylko jedno marzenie: on, Adrian Lawson, ponad wszystko na świecie chciał spotkać kobiety ze snu. Bez nich stanowił tylko wymyślne opakowanie, puste w środku – jakby Amy i Ella były brakującą częścią jego samego.

Dzwoneczki stały się nie do zniesienia. Jednym haustem opróżnił filiżankę i raz jeszcze przyjrzał się zdobiącym ją rysunkom. Męczyło go mgliste odczucie, że za namalowanymi wprawna ręką górskimi szczytami kryło się coś jeszcze, jakieś ważne wspomnienie. Zniechęcony odstawił naczynie na stolik i ponownie zerknął w okno. Jego wzrok zatrzymał się na sylwetce mężczyzny, który stał po drugiej stronie ulicy w

towarzystwie wysokiej, krótkowłosej kobiety. Jak to? Przecież miał być setki kilometrów stąd! Co jego brat robił tutaj, na środku Wielkiego Bulwaru? I kim jest osoba, z którą prowadził tak ożywioną rozmowę?

Adrian zerwał się od stolika i szybko przeszedł obok grupki dziewcząt. Był już prawie przy drzwiach, kiedy jedna z nich zastąpiła mu drogę.

– Pan nie przeprosił. – Wyglądała na naburmuszoną. – Reguły Dobrego Wychowania nakazują...

– Tak. Wiem. Muszę iść – przerwał jej, bojąc się, że straci z oczu Carlosa.

– Dobrze. Skoro się pan nie zgadza, zrobmy tak, żeby było sprawiedliwie. Przeprosimy się oboje. A kto pierwszy, niech zdecyduje los. Eeny, meeny, miny, moe, catch a tiger by the toe. – Wskazała na niego palcem.

Stał osłupiały. W uszach zadźwięczała mu ta sama wyliczanka, wypowiedziana innym głosem, cieńszym i weselszym. Poczłł ostre ukłucie w sercu. Tęsknota dała znać o sobie ze zdwojoną siłą. Ella... mała kobieta ze snów. Popatrzył pustym wzrokiem na kolorowo ubraną dziewczynę, po czym minął ją bez słowa.

– To bardzo, ale to bardzo niegrzeczne. – Usłyszał jeszcze za swoimi plecami. – Ale i tak życzę, żeby był pan szczęśliwy!

Z przyjemnością wydostał się na świeże powietrze. Unoszący się w herbaciarni zapach jaśminu oraz egzotycznych olejków odrobinę go odurzył. Do tego kolejna wizja – krótka, lecz niezwykle intensywna. W jednej chwili zobaczył tak wiele: Ellę, ogród, sypialnię oraz dobiegający zza okna głos. Eeny, meeny, miny, moe... Oszołomiony stał na środku ulicy i odtwarzał w pamięci obrazy. Nagle przypomniał sobie o Carlosie. Poszukał wzrokiem znajomej sylwetki, ale brat zniknął. Nie było też jego towarzyski. Tym razem Adrian miał pewność, że nic mu się nie przywidziało. Carlos modyfikował prawdę. Czy Lamai również to robiła? Był wstrząśnięty swoim odkryciem. A może wszyscy nawzajem się oszukiwali?

Postanowił poczekać na Underhilla w Parku; liczył, że tam zdoła choć trochę uspokoić myśli. Ruszył w dół Aleją Pragnień do najbliższej przystani powietrznej, starając się nie podnosić wzroku, by nie sprowokować żadnej ze złotowłosych i złotoustych Reklam.

Kiedy dotarł na miejsce, serce łomotało mu tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Bał się – nie tyle spotkania z Underhillem, ile tego, że się nie spotkają. Usiadł na ławce. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie wielka tarcza słońca zaczęła skłaniać się ku zachodowi, a Park spowiła purpurowa poświata. Wstał i zaczął nerwowo się przechadzać, wypatrując znajomej postaci. Tak bardzo wyteżał wzrok, że przed jego oczami pojawiły się mroczki. Przystanął na chwilę, odetchnął

kilka razy głęboko, schylił się, podniósł, znów pochylił. Trwał w tej pozycji kilkanaście sekund, póki nie poczuł, że krew wraca do mózgu, powoli przywracając kształt myślom oraz obrazom.

– On tam będzie – powiedział głośno, zaklinając los, a następnie ostrożnie się wyprostował.

Choć ławka była oddalona o dobre dwieście metrów, wyraźnie widział mającą między drzewami, ubraną na szaro, znajomą postać. Poczuł nieopisaną ulgę. Wziął jeszcze dwa głębokie oddechy, wyrzucił z głowy ostatnie przeżycia i skoncentrował się na celu. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Miał wrażenie, że w ciągu kilku chwil wyostrzyły mu się zmysły: słyszał każdy dźwięk, każdy śmiech, każdą rozmowę toczącą się w Parku, a nawet szum upadającego liścia i delikatne zawrodozenie uwięzionych w gałęziach podmuchów powietrza. Otoczyła go kakofonia zapachów: perfum, świeżo skoszonej trawy, oferowanego kilkanaście metrów dalej soku z mango. Wyraźnie wyczuwał unoszący się w powietrzu aromat waty cukrowej, gofrów oraz rosnących w pobliżu fiołków. Barwy stały się wyraziste jak tuż przed burzą. Nigdy wcześniej Adrian nie stanowił takiej jedności – samej w sobie, ale też jedności ze wszystkim, co go otaczało. Jakby wirujące wokół skrawki rzeczywistości, wszystkie naraz, w jednej sekundzie odnalazły swoje miejsce. Był gotowy, by precyzją słów przyprzeć Underhilla do muru. Nikt i nic nie mogło mu przeszkodzić.

Próbował krzyczeć, lecz wilgotna tkanina kleiła się do twarzy. W ustach czuł smak wymiocin. Nim został wepchnięty do samochodu, dostał cios prosto w żołądek; potem ktoś wcisnął mu głęboko do gardła palce. Gwałtownie szarpnął ciałem - znów od ucieczki powstrzymały go czyjeś ręce. Dłuższą chwilę bezskutecznie walczył, aż w końcu całkiem opadł z sił. Mocny chwyt napastnika niemal miażdżył mu ramię. Przeszył go ból, brakowało tchu, strach mieszał się z wściekłością i z obrzydzeniem. Ktoś, kto łamie bezwzględny zakaz dotykania, z pewnością potrafi przekroczyć wszelkie granice. Miał do czynienia z czymś bardzo niebezpiecznym. I tylko jedno przychodziło mu do głowy. Było jasne, że Celestis kiedyś się dowie o jego problemach. Naiwnie wierzył, że zdąży, że będzie od nich szybszy. A teraz... po wszystkim. Nigdy nie spotka Amy, Elli; nie dowie się, czemu tak bardzo za nimi tęsknił. Ryzykował i poniesie za to surową karę. Kim lub czym się stanie po pobycie w Klinice? Przypomniawszy sobie kobietę z klubu. Czy faktycznie była tylko snem? Nie stawiał już oporu, paraliżował go lęk, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Po raz

pierwszy od Przybycia czekał na najgorsze, na coś, czego nie umiał sobie nawet wyobrazić.

Oprawca puścił jego ramię. Adrian bezwładnie osunął się na oparcie, walcząc o każdy haust tlenu. W panice analizował ostatnie tygodnie. Lekarz, którego przyprowadziła Lamai, doktor Zukin czy jak mu tam... pewnie nie dał się nabrać na chęć współpracy. A może to Underhill mu nie uwierzył? W głowie mnożyły się podejrzenia. Nagle znów stracił oddech, zupełnie jakby dostał kolejny cios, choć nikt go nie tknął. Zrobiło mu się niedobrze. Czemu wcześniej na to nie wpadł? Jaką miał pewność, że nie znalazł się tutaj, ze śmierzącym workiem na głowie, w nie wiadomo dokąd zmierzającym samochodzie, przez... Lamai? Raz już naraziła go na niebezpieczeństwo. A jeśli specjalnie ją wysłano, żeby miała go na oku? Nie powinien jej tak ufać. Była bystra... zbyt bystra na zabawową dziewczynę, za jaką chciała uchodzić. W tej chwili Adrianowi wydało się to oczywiste. Zlekceważył Lamai, nie był wystarczająco ostrożny. Może nawet pozwolił się śledzić, kiedy wędrował plażą do Pensjonatu pod Gwiazdami? Jeśli tak, nie ma dla niego ratunku – porywacze, pewnie ludzie Celestis, wiedzieli o nim wszystko.

Ktoś lekko odchylił brzeg worka i wpuścił odrobinę świeżego powietrza. Mdłości ustąpiły. Nie wiedział już, komu ufać. Nie był nawet pewny, czy nie oszukuje go własny umysł. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Niech to się skończy, niech się wreszcie skończy. Cokolwiek ma się stać, niech nie każą mu dłużej czekać.

Mijały minuty, a oni wciąż jechali. Odzyskał nieco siły i opanował emocje. Postanowił, że nie podda się bez walki. Samochód gwałtownie przyhamował, skręcił w lewo i ostro ruszył w dół. Adrian poczuł się jak na górskiej kolejce. Znów zbierało mu się na wymioty. Na szczęście po kilkudziesięciu sekundach szaleńczej jazdy w końcu się zatrzymali. Nie zdążył jeszcze dojść do siebie, kiedy ktoś wyciągnął go z pojazdu i chwycił za twarz, ponownie rozwierając szczęki. Bezskutecznie szarpał się z dłońmi napastnika. Poczul na języku wilgoć, jakby ktoś spryskał mu wnętrze ust pozbawionym smaku sprayem. A więc jednak. Dopięli swego. Pewnie podano mu lek, po którym zapomni wszystko, co przeżył do tej pory. Bolesny skurcz ścisnął mu serce. Zawsze to jakiś koniec – pomyślał i poddał się oprawcy.

– Po wszystkim, Lawson... – Usłyszał niski, męski głos. – Teraz zdejmę worek. Nie rób nic głupiego, w porządku?

Wolno pokiwał głową. Nie miał siły odpowiedzieć.

– Bardzo dobrze – pochwalił go mężczyzna, po czym zdarł mu z głowy wilgotną tkaninę i rozciął sznur na nadgarstkach.

Adrian przetarł oczy. Powoli z półmroku wyłoniły się jakieś kształty. Napastników było więcej, niż myślał – otaczało go co najmniej dziesięciu ludzi. Rozejrzał się. Małe pomieszczenie wyłożono czymś, co przypominało plecionkę z kolorowych kabli.

– Gdzie... – chciał zadać pytanie, ale mężczyzna, który okazał się czarnoskórym dryblasem, gwałtownie mu przerwał.

– Nie teraz, Lawson. Nie możemy tu zostać. To zbyt niebezpieczne.

Znów skinął głową i posłusznie wsiadł do samochodu. Tym razem tylko zawiązano mu oczy. Zdążył zauważyć, że samochodów jest kilka oraz że pod wpływem światła z ich reflektorów wiązki kabli się rozsunęły, odsłaniając ciemny tunel. Przez uchylone okienko do wnętrza wpadał wilgotny, stęchły powiew. Po kilku minutach jazdy stromo pod górę, wydostali się na zewnątrz, co poznał po zmianie zapachu i temperatury powietrza.

– Wybacz, stary, to było konieczne. – Usłyszał ten sam niski głos, tak blisko, że poczuł na twarzy ciepły oddech napastnika. Odruch nakazywał Adrianowi zwiększyć dystans, jednak bał się poruszyć.

– Rozumiem. – Udał, że współpracuje.

– Jeszcze nie, ale obiecuję, że za chwilę wszystko ogarniesz. Spokojna głowa! – Mężczyzna roześmiał się, dziwnie pogodnie jak na sytuację, w której się znajdowali.

Samochód gwałtownie wyhamował i zaczął – z początku łagodnie, a potem coraz szybciej – pionowo opadać. Kolejny raz żołądek podszedł Adrianowi do gardła. Wreszcie winda stanęła, chwilę bujając się na amortyzatorach. Znów ruszyli naprzód. Jechali spokojnie po równej nawierzchni przez jakąś godzinę.

– Adrianie... – Ktoś wypowiedział jego imię.

Zaskoczony odwrócił się w stronę, skąd dobiegał damski głos.

– Nic ci nie zrobimy – kontynuowała kobieta. – Musimy tylko mieć pewność, że nikt nas nie śledzi, że nikt tu za nami nie trafi.

– Tu, to znaczy gdzie? – spytał niepewnie.

– Dowiesz się na miejscu. Może nie wszystkiego od razu, ale zrozumiesz, kim jesteśmy. Kim ty jesteś... – dodała po chwili wahania.

– Wieciecie mnie do Kliniki? Do generatora pragnień?

– Generatora pragnień? – Kobieta roześmiała się.

– Chcecie mnie wyleczyć, tak? Jestem chory?

– Chory? Wprost przeciwnie, Adrianie. Wprost przeciwnie! Nie potrzebujesz ani generatora pragnień, ani Kliniki Celestis. Jesteś jedną z najzdrowszych osób na Planetach.

– To po co to wszystko? Czemu mnie porwaliście?

– Porwaliśmy? Hmm... – Zastanowiła się. – Tak, faktycznie mogło w ten sposób wyglądać. Ale to nie porwanie, tylko środki ostrożności. Po wszystkim odstawimy cię z powrotem. Nie obawiaj się.

– Nie obawiałbym się, gdyby ktoś mi wyjaśnił, co się tutaj dzieje...

– Jesteśmy na miejscu.

Adrian poczuł delikatne szarpnięcie, po czym samochód się zatrzymał. Wysiedli.

– Idź naprzód. Jeszcze kilka kroków – pouczyła go.

Próbował cokolwiek dostrzec, lecz gęsta tkanina to uniemożliwiała. Weszli do większego pomieszczenia. Zdradził to inny odgłos kroków. A potem – do kolejnego.

– Zostań tu. – Usłyszał polecenie. Ktoś ściągnął mu z oczu opaskę.

Stał pośrodku ciemności. Odruchowo dodał w myślach słowo: wielkiej. Uświadomił sobie jednak, że przecież nie ma pojęcia, czy ciemność jest wielka, czy nie. Mrok oblepiał go niczym smoła, zaciskał swoje czarne paluchy na gardle. Minęło zaledwie kilkanaście sekund, a czuł, jakby stał tak od wieków. Nagle zrobiło się jasno. Przyzwyczajony do ciemności wzrok nie zdołał rozpoznać nic poza kilkoma rozmytymi kształtami. Adrian zmrużył powieki i powoli oswoił oczy ze światłem. Choć to dziwne, nie czuł lęku. Pewnie przez ten płyn... Zawierał coś na uspokojenie – przemknęło mu przez głowę. Rozległe, choć niskie pomieszczenie nie przypominało niczego, co widział do tej pory. Szare, pozbawione okien ściany udekorowano ogromnymi fotografiami, na których widniały piękne krajobrazy. Coś w zdjęciach przykuło jego uwagę. Przyjrzał się dokładniej. Po chwili już wiedział: niebo – nocne, upstrzone gwiazdami, niby takie, jakie wielokrotnie podziwiał ze swojej sypialni, a jednak inne. Nad skąpaną w bladym świetle równiną i wierzchołkiem rozłożystego drzewa wisiał srebrny księżyc. Jeden. Adrian lubił nocne niebo, znał je na pamięć. Często obserwował taniec pięciu księżyców Planety. Każda z Planet miała ich kilka. Zerknął na inne fotografie. Tych zrobionych nocą było więcej; na wszystkich wyraźnie rysowała się tarcza jednego tylko księżyca. Po co ktoś usunął ze zdjęć pozostałe?

– Obrazy wygenerowane komputerowo, rekonstrukcje. Niestety, nie mamy prawdziwych zdjęć Starej Planety. Te widoki odtworzyliśmy z naszych wspomnień. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście tak to wyglądało... – W słowach kobiety pobrzmiwał smutek.

Odwrócił się, podążając za głosem. Zobaczył niewysoką dziewczynę o intensywnie zielonych oczach, których kolor podkreślały czerwone, niesforne kosmyki w nieładzie opadające na czoło i policzki. Jej drobna twarz niemal ginęła w burzy ognistych loków. Pod potarganą czupryną można było dostrzec zbyt wąskie usta, których kąciki

teraz były skierowane ku dołowi. Odrobinę przypominała mu Maszynę do Obsługi z Pensjonatu pod Gwiazdami, choć była znacznie brzydsza. Błada, piegowata cera nadawała twarzy niezdrowy wygląd, spotęgowany kolorem ubrania. Brodę dziewczyny szpeciła paskudna blizna. Dziwne – pomyślał. Jej Majordomus musi być zepsuty... Czemu nie wymieni Maszyny na nową? Ludzie, których dotychczas spotykał, wyglądali dość podobnie. Różnili się barwą oczu, włosów, fryzurą, ale na nikogo nie musiał patrzeć z takim zażenowaniem. Przywykł do piękna – jak wszyscy na Planetach. Piękno było oczywiste. Było zwyczajne. Adrian rzadko miał okazję widzieć coś, co odbiegało pod tym względem od normy. Oczywiście, słyszał o istnieniu pewnych ekscentrycznych mieszkańców Planet, którzy lubowali się w zmienianiu własnych ciał. Nawet jeśli modyfikacje nie były w jego guście, dostrzegał w nich jakiś zamysł, czego na pewno nie mógł powiedzieć o wizerunku stojącej przed nim mizernej dziewczyny. Patrzył na szare, poplamione spodnie od dresu i burą, zniszczoną bluzę z jasnym napisem UCLA. Na ułamek sekundy znów opanowało go dziwaczne wrażenie, że gdzieś już ten napis widział. I jak poprzednio – odczucie minęło, zanim zdążył niejasne wspomnienie zidentyfikować. Jego wzrok padł na mocno zużyte, niegdyś białe tenisówki. Od jednego z butów odchodziła podeszwa. Nigdy w życiu nie spotkał kogoś równie niechlujnego. Po prawej stronie rudzielca, nieco w głębi, zauważył wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, który również nosił wyświechtany dres. Może są rodzeństwem? I korzystają z tego samego Majordomusa? – zastanowił się.

– Marion Forcier. – Wyciągnęła w jego kierunku pozbawioną jakichkolwiek ozdób małą dłoń. Jej paznokcie były krótkie i niepomalowane. Ciekawe, co by na to powiedziała Lamai...

– Adrian – odparł. Nie do końca rozumiał, czego się od niego oczekuje.

– Podaj mi rękę. To nic złego. Zwykłe powitanie.

Zawahał się. Nie powinien dotykać drugiego człowieka. Reguły Dobrego Wychowania wyraźnie tego zabraniały. Ponieważ Marion nadal czekała na jego reakcję, ostrożnie złapał ją za koniuszki palców. Poczuł delikatną skórę oraz bijące od niej ciepło. Mimo woli się zaczerwienił. To, co właśnie zrobili, było bardzo niestosowne, wręcz nieprzyzwoite, ale dziewczyna nie wydawała się ani trochę zawstydzona!

– Wiemy, Lawson, kim jesteś. Inaczej byśmy cię tu nie ściągnęli. – Głos blondyna był rozbawiony. – Philippe Soto – przedstawił się, lekko pochylając głowę. Na szczęście nie oczekiwał, że będą się dotykać. – Witaj w domu.

W domu? Czy chodzi o to, że ma się tu czuć jak u siebie? Nie znajdował się w Centrum Pomocy ani w ośrodku terapeutycznym. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Czyżby zawieźli go prosto do Kliniki? Rozejrzał się raz jeszcze. Nie tak sobie to miejsce wyobrażał. Sądził raczej, że Klinika będzie przypominała ich łazienkę: białą i sterylnie czystą. Nie miał pojęcia, co go czeka, ale podejrzewał, że nic przyjemnego. Wciąż jednak nie odczuwał najmniejszego zdenerwowania. Nabrał pewności, że nienaturalny i zapewne pozorny spokój zawdzięcza działaniu leków.

– A więc jestem chory – stwierdził, nie dowierając zapewnieniom swoich oprawców. – Teraz pewnie podłączycie mnie do generatora pragnień? Mam nadzieję, że to nie potrwa długo... – Postanowił wyciągnąć od nich jak najwięcej informacji o czekającej go terapii.

– Chory? – Marion znów zachichotała. Jej śmiech zabrzmiał niespodziewanie przyjemnie i dźwięcznie. Nie pasował do obrzydliwego wyglądu. – Spokojnie. Już mówiłam: jako jeden z nielicznych jesteś całkiem zdrowy.

– No, prawie – dodał Soto i mrugnął do niego.

– To czemu przywieźliście mnie do Kliniki? – Przestał cokolwiek rozumieć.

– Ten też myśli, że jest w Klinice! – Tym razem oboje nie kryli wesołości. Soto szturchnął w bok swoją koleżankę, co nie uszło uwadze Adriana. Był wstrząśnięty swobodą obyczajów tej pary. Musieli takie rzeczy robić na co dzień.

– To... gdzie w takim razie jestem? – zapytał, kierując wzrok na mężczyznę.

– Mnie nie pytaj – odparł blondyn. – Ale jak będziesz miły dla tej pani – wskazał rudą – może czegoś się dowiesz.

– Phil, dosyć tych gadek, do roboty! Mamy jeszcze góra godzinę. Adrianie... – Kobieta nagle spoważniała. – Nie jesteś w Klinice, a my nie jesteśmy pracownikami Celestis. Tyle dobrych wiadomości.

– A te złe?

– Za chwilę. Nie wszystkie są złe, choć faktycznie nie będziemy rozmawiać o samych miłych rzeczach. Chodź! – Po raz kolejny złamała Reguły Dobrego Wychowania, chwyciła Adriana za nadgarstek i mocno pociągnęła za sobą. – Nie mamy czasu!

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, a potem do kolejnego. Wszystkie wyglądały podobnie: ciemne ściany, fotografie, trochę staromodnych, podniszczonych mebli. Wreszcie zatrzymali się przed masywnymi, metalowymi drzwiami. Wyposażono je w zwykły zamek na kartę. Podobne widział w Pensjonacie pod Gwiazdami. Drzwi odskoczyły z głośnym sapnięciem. Oczom Adriana ponownie ukazała się płatanina kabli, a tuż za nią obity bordową tkaniną pokój – bardzo przytulny, trochę podobny

do restauracji w Pensjonacie. Duże, skórzane, brązowe fotele nosiły wyraźne ślady zużycia. Na drewnianym stoliku stała wyszczerbiona misa z niebieskim wzorem, obok niej zaś dwa jasne kubki. Pokój oświetlały staroświeckie, żółte lampki, ozdobione złotymi frędzlami. Ściany pomieszczenia udekorowano fotografiami podobnymi do tych, które już widział, tyle że oprawionymi w bogato rzeźbione ramy. Na paru dostrzegł dziwne stworzenia. Jedne nieprawdopodobnie barwne, z dwiema, cienkimi nóżkami; inne – czworonożne: białe, szare, brązowe; kolejne w ogóle nie miały ani rąk, ani nóg. Patrzył na zdjęcia zaszokowany. Znał te stworzenia. Od dawna widywał je w snach!

– Usiądź, Adrianie.

Odwrócił się gwałtownie. Ujrzał przed sobą drobnego mężczyznę o orlim nosie, oliwkowej cerze, bardzo ciemnych oczach oraz białych, splecionych w długi warkocz włosach.

– Proszę... bądź moim gościem. – Gospodarz zaprosił go gestem do zajęcia miejsca.

Adrian kątem oka zauważył, że kable się rozchylają. Mignęła mu tweedowa, staroświecka marynarka. Poczuł radość pomieszaną z ulgą – zupełnie jakby błędząc po pustyni, dostrzegł w oddali sylwetkę najbliższego przyjaciela. Underhill! Obecność naukowca o niczym nie przesądzała. Być może był na usługach Celestis i znalazł się tu, by rozwiązać problem, jakim dla rodziny, Miasta, a nawet Planet stał się Adrian. Dobrze jednak było ujrzeć choć jedną znajomą twarz.

– Panie Lawson, Adrianie... jeśli mogę... Roba Underhilla już znasz. To dzięki niemu się tu znalazłeś.

Więc jednak! Poczuł bolesne rozczarowanie. Wolałby chyba, żeby zawiniła Lamai. Właśnie stracił ostatnią szansę na poznanie prawdy.

Underhill skinął głową, wsunął ręce do kieszeni spodni i oparł się ramieniem o ścianę.

– Ian White – przedstawił się długowłoso. – Jestem tu, żeby ci pomóc.

Zaczyna się. Teraz będą go leczyć, zmieniać... Może historie o recyklingu, o tych, którzy zniknęli na zawsze, są prawdziwe?

– Nie potrzebuję pomocy, jestem zdrowy – zaprotestował.

– To po co mi zawracałeś głowę? – niespodziewanie wprost zapytał Underhill.

– Chciałem zrozumieć, co się ze mną dzieje.

– I w tym właśnie pomoże ci Ian. Oraz my.

White uśmiechnął się szeroko. Po chwili na jego twarz wróciły spokój i powaga.

– Adrianie, obawiam się, że nie możemy powiedzieć ci wszystkiego. Jednak spróbuję wyjaśnić tyle, ile się da. – Mężczyzna wygodniej rozparł się w fotelu.

– Ale...

– Proszę... posłuchaj. Na początku będzie ci się to wszystko wydawało mocno poplątane. Może nawet niewiarygodne. Zaufaj mi. Mamy jeszcze jakieś pół godziny. Potem będziesz musiał wrócić na górę. Szkoda czasu.

Czyżby nie zamierzali go tu przetrzymywać? Nowo obudzona nadzieja pozwoliła mu się skupić na słowach White'a.

– Nie pracujemy dla Korporacji. Jesteśmy Memorystami. Pamiętającymi. Każde z nas to efekt błędu w Systemie Celestis. Tak jak ty.

– Błędu?

– Nawet oni nie są nieomylni. Choć pracują i nad tym. Na razie Wolf nic o nas nie wie. Jeszcze. Wszyscy tutaj mamy *Flashback Syndrom*.

– FS?

Ian pokiwał głową.

– Pamiętamy. Więcej niż inni. Zostały nam strzępki wspomnień, choć Procedura Zero powinna je wykasować. Te, które nam zabrano, Celestis przechowuje u siebie, w Systemie. W tajnych plikach. Nikt poza Zarządem nie ma do nich dostępu.

– Śnił mi się kiedyś szpital... młoda lekarka... lekarz. Rozmawiali właśnie o Procedurze Zero. Chyba się o coś sprzeciali.

– Sen przypominał ci moment Przejścia. Może już wtedy mieli co do ciebie wątpliwości? Każdy z nas coś pamięta. Każdy co innego, a czasem to samo. Zbieramy wspomnienia i staramy się stworzyć z nich jakąś całość.

– Naszą historię. Chcemy się dowiedzieć, kim jesteśmy i skąd przyszliśmy, gdzie byliśmy przed Przybyciem. Świat, który znasz, nie jest taki, jak myślisz.

– To znaczy?

– To znaczy, że nasze idealne życie bardzo dużo kosztuje – wyjaśnił White. – Żebyśmy mogli korzystać z dobrodziejstwa Planet, ktoś musi za to płacić... Czy do tej pory wszystko jest dla ciebie jasne?

Adrian potwierdził ruchem głowy, ale bez przekonania. Szczerze mówiąc, nie do końca pojmował, o co chodzi temu mężczyźnie.

– Płacą za to nasi bliscy. I tacy jak my. Płacą wszyscy, którzy nie pasują do Szablonu.

– Moi bliscy? Lamai? Carlos?

– Nie. Inni. Ale o tym później. Żebyś dobrze zrozumiał naszą sytuację, musisz wiedzieć, czym jest Celestis... Jak myślisz? – Białowłosey wbił w niego uważne

spojrzenie.

– Celestis jest... no... po prostu jest... – Adrian się zawahał. – Prezes Wolf, Zarząd... dbają o nasz świat. Dzięki nim nie znamy wojen, chorób, cierpienia. Przecież każdy to wie.

– To wersja oficjalna. Znana ci z holoulotek, Reklam, kościołów, rozmów z innymi. Ale zastanów się nad tym, co ci się przytrafiło w Pensjonacie pod Gwiazdami.

– Wiecie o Pensjonacie?

– Oczywiście. Celestis też wie. To ich kolejne laboratorium. Sami stworzyli Pensjonat. Wysyłają tam ludzi, których podejrzewają o zachowanie pamięci. I robią test. Uwalniają kilka zabranych im wspomnień, a potem obserwują reakcję. Jednostka zdrowa... oczywiście zdrowa w rozumieniu Celestis – doprecyzował – nie powinna w ogóle wspomnień zobaczyć. Tylko obciążeni błędem je widzą. Prawie każdy z nas tam był. Niektórym, tak jak tobie, przez jakiś czas udaje się ukryć to, co zobaczyli w Pensjonacie... Ukryć, że w ogóle cokolwiek widzieli. Ci najczęściej trafiają tutaj. Inni kończą w Klinice.

– A więc recykling to prawda? – Adrian popatrzył z wyrzutem na Underhilla.

– Nie istnieje coś takiego jak recykling. To by zakładało powrót w takiej czy innej postaci. Zabrani do Kliniki nie wracają. W Celestis nazywają to terminacją.

– Terminacją?

– Nie znamy głodu, chorób, wojen. To dla nas puste słowa, dawne historie. Czym były, wiemy tylko z przekazów Wolfa. Zakładam, że akurat te opowieści są bliskie prawdy. Nasz strach przed dawnym światem leży w interesie Celestis. Oni chcą, żebyśmy wiedzieli, czym było zło. I że teraz, dzięki Korporacji, już go nie ma. Chcą, żebyśmy byli im wdzięczni. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaką mają nad nami władzę.

– Ale przecież naprawdę nie ma głodu ani wojen.

– Owszem. Nie ma też wielu rzeczy, o których istnieniu nie mamy pojęcia. Albo mamy bardzo mgliste. I po to właśnie jesteśmy. Żeby sobie przypominać.

– Te okropieństwa?

– Też.

– Po co?

– Adrianie... pytasz, ale w sercu znasz odpowiedź. Już wiesz, że warto. Stąd twoje sny. Bo je miewasz, prawda? Dziwne sny o nieznanym ci ludziach? Za którymi potem tęsknisz? I których pragniesz spotkać?

Tęsknota... Tak, znał ją aż za dobrze.

– Co to ma wspólnego z terminacją? – Wolał na razie się nie odślaniać.

– Terminacja to jedna z rzeczy, które sobie przypomnieliśmy.

Adrian milczał, oszołomiony nową wiedzą.

– Nasi przodkowie nazywali to śmiercią. – Ian podniósł się z fotela i zaczął krążyć po pokoju.

– Nie słyszałem tego słowa.

– Wiem. Wykreślono je ze słowników. Żeby skazani na śmierć nie bali się umierać, a ich rodziny pozostawione na Planetach nie cierpiały. To nawet dość humanitarne. Rodzinom mówi się, że ktoś dla dobra swojego oraz społeczeństwa został zabrany na leczenie. Wierzą, że chory jest pod dobrą opieką. Że jest szczęśliwy.

– Nie chcą poznać losu bliskich?

– Ludzie przybywają na Planety przekonani, że nie ma lepszego świata. Codziennie setki razy słyszą o dobroci Celestis. I o własnym wielkim szczęściu. W każdym powitaniu, pozdrowieniu wzajemnie się o tym zapewniają. Pragną spokoju: podróży, zabaw, Limitowanych Serii... beztroski. Może nawet czasem czują, że nie wszystko jest w porządku. Ale przecież wątpliwości oznaczają Chorobę. Uczy się o tym każdego od chwili Przybycia. A nikt nie chce być skierowany na leczenie, prawda? Łatwiej i bezpieczniej jest zaufać Korporacji. Skoro zlikwidowała zło, dała ludziom wygodny świat, jej mądrość musi być nieskończona!

– Leczeni nie wracają? Dlaczego? Nie można ich naprawić?

– Stanowią zbyt duże zagrożenie dla ładu społecznego. Celestis nie ryzykuje. Zresztą to się Korporacji zwyczajnie nie opłaca. Zamiast naprawiać, lepiej wziąć kolejnych.

– A co się dzieje z chorymi?

– Po prostu znikają.

– Ale gdzieś są, prawda? Na innej Planecie?

– Gdyby zostali wysyłani na inną Planetę, nadal widnieliby w Systemie Celestis. Tak jak to się dzieje z podróżującymi. Terminowanych się kasuje. Bezpowrotnie. Wszystkie dane są usuwane i niszczone.

– Może mieszkają w jakimś tajnym miejscu? I dlatego nie ma ich już w Systemie?

– Nie wiemy, gdzie i czy w ogóle gdzieś są. Likwiduje się ich wizualizacje, a resztę kieruje do Tunelu. Co dalej, nie wiadomo... jak dotąd nikt poddany terminacji nie wrócił do Systemu.

– Ten Tunel przecież dokądś prowadzi? – Adrianowi wydawało się logiczne, że podróż terminowanych musi mieć jakiś cel.

– Być może. Niestety, brakuje nam informacji o tym, co jest po drugiej stronie. Nikt tam nie był. Z wyjątkiem skazanych, ale oni, jak już wiesz, nie wracają.

– I to właśnie jest śmierć? – Był wstrząśnięty.

- Tak. To właśnie śmierć.
- Czemu chcecie o niej pamiętać?
- Nie mamy wyjścia. Nie możemy sobie wybierać rzeczy do pamiętania. A świadomość śmierci stanowi niewysoką cenę za odzyskanie tego, co nam zabrano. Sam się przekonasz. Istnieją dane, które to potwierdzają. Robert jest pracownikiem Celestis. Prowadzi dla nas tajne badania w ich laboratoriach.
- Nad śmiercią?
- Też. Mamy pewne podejrzenia, dokąd prowadzi Tunel. Rob stara się dotrzeć do poufnych dokumentów. Zakładam, że tam znajdziemy odpowiedź.
- Rozumiem...
- Jeszcze nie, Adrianie. Nie rozumiesz. Ale sporo się dziś dowiedziałeś. I tyle musi na teraz wystarczyć. Czas nas goni. Niedługo lunal przestanie działać.
- Lunal?
- No tak... wiele się jeszcze musisz nauczyć... – Ian ciężko westchnął. – Do pożywienia dodawane są znaczniki. Pozwalają nas lokalizować. Dzięki nim Celestis dokładnie wie, gdzie jesteś. Lunal je neutralizuje, ale mamy go bardzo mało. Sami niestety nie jesteśmy w stanie go wytworzyć. Dlatego oszczędzamy. Potrzebujemy go tutaj na co dzień. Dla tych, którzy większość czasu spędzają pod powierzchnią. Staramy się wynieść tyle lunalu, ile się da z laboratoriów Korporacji, ale to wciąż nie wystarcza. Dlatego następnym razem powiadomimy cię o spotkaniu dobowo wcześniej. Na szczęście Celestis nie znalazło jeszcze sposobu na utrwalenie znaczników. Rozkładają się po dwudziestu czterech godzinach. Przez dobowo wolno ci będzie pić tylko wodę z okolicznych źródeł i zbiorników.
- Mam pić wodę z sadzawek?! – Ulotki profilaktyczne Celestis wyraźnie przed tym przestrzegały. Spożywanie takiej wody groziło Chorobą!
- Z rzek, sadzawek, jezior, kałuż... co wolisz.
- To niezdrowe!
- Nasze życie bywa niezdrowe. Coś za coś – uśmiechnął się Ian. – Nie martw się, nic ci nie będzie. Przestań tak ślepo wierzyć we wszystko, co wyczytasz w materiałach Korporacji. Pamiętaj, nie wolno ci jeść ani pić niczego, co poda Majordomus. Dotyczy to również kawiarni, innych domów. Nie jedz niczego, co przygotowała jakakolwiek Maszyna. Mamy rozbudowany system bezpieczeństwa, ale i tak musimy być bardzo ostrożni. Jeśli odkryją to miejsce, będzie po nas. I po planie.
- Jakim planie?
- Dowiesz się. W odpowiedniej chwili. Stosuj się do wskazówek. To bardzo ważne. Rozumiesz?

Przytaknął, choć w głowie miał kompletny mętlik.

– Pościsz przez dwadzieścia cztery godziny przed spotkaniem. Cały czas musisz jednak mieć przy sobie coś, co przygotował Majordomus. Owoce, kanapkę, cokolwiek... Byłoby podejrzane, gdybyś nagle zniknął. Zaczęliby cię szukać. Zanim tu przyjedziesz, ukryjesz przyniesione pożywienie w Parku. Tak żeby nikt go nie znalazł. Będą myśleli, że ciągle tam jesteś. Po powrocie zabierzesz jedzenie, które ukryłeś, i po sprawie.

– Dlatego dziś musiałem zwymiotować?

– To było konieczne. Sam rozumiesz... Podaliśmy ci też lunal. Wiem, brutalnie cię tu ściągnęliśmy, jednak nie mieliśmy czasu na twoje wahania. – Siwowłosa mężczyzna podniósł się z fotela. – Moi ludzie odwiozą cię na miejsce. Cieszymy się, kiedy pojawia się wśród nas ktoś nowy. Adrianie... nawet sobie nie wyobrażasz, ilu nas jest. – Skinął głową na pożegnanie.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Tylko szybko. – White skrzyżował ręce na piersi.

– Co to za stworzenia? Te na zdjęciach?

– Zwierzęta.

– Nie widziałem... nigdy...

– Nikt z nas ich tutaj nie widział. To również tylko wspomnienia. Ptak, wilk, niedźwiedź i delfin. Kiedyś mieszkaly między ludźmi. Celestis uznało, że nie są nam potrzebne. A nawet, że stanowią zagrożenie. Do działania napędza je instynkt, nieznana siła, której nie da się tak łatwo kontrolować.

Czy podobna do tej, jaka i nim kieruje? – zastanowił się Adrian. To było całkiem możliwe.

– Gdzie teraz są? – zapytał.

– Następnym razem, przyjacielu. Musisz już wracać.

– Piękne... – Wskazał te najbardziej kolorowe.

– To ptaki. Podobno potrafią latać i cudownie śpiewają...

Adrian wiedział jak. Codziennie przecież słuchał ptasiego świergotu – ulubionego sygnału akceptacji Lamai.

– Sam widzisz... – kontynuował Ian. – Wiele zyskaliśmy, a jeszcze więcej straciliśmy. Nasz cel jest jednak znacznie ważniejszy niż ujrzenie ptaków na niebie.

5

Poczuł przyjemne ciepło. Miał wrażenie, że woda otula nie tylko jego zmęczone ciało, ale także umysł. Z lubością wdychał napływający zza okna aromat egzotycznych kwiatów. Był sam. Lamai zostawiła wiadomość, że wróci za trzy, może cztery godziny. Carlos znów wyjechał. Adrian nigdy go nie zapytał o Wielki Bulwar. Po czasie nie był już tak pewny tego, co widział. Wolał też nie wspominać o modyfikowaniu prawdy, żeby nie sprowadzić na siebie jakiegoś nieszczęścia. Teraz jego brat ruszył na podbój Czwartej Planety. Co takiego jest na Czwartej Planecie, czego nie byłoby tutaj? Może Carlos po prostu źle znosił siedzenie w jednym miejscu. „Najciekawszi są ludzie, to dla nich podróżuję” – twierdził. Adrian podejrzewał, że jego brat pokonuje tysiące mil, po ziemi, na wodzie i w powietrzu, gnany raczej niezrozumiałą potrzebą ucieczki niż samą tylko ciekawością. Wszyscy uciekamy – zaskoczyła go oczywista refleksja. Lamai – w zabawę i zakupy, Carlos – w kolejne wyzwania, a on... Właściwie sam nie wiedział. Uciekał w iluzję czy w alternatywną rzeczywistość? Zaczynał mylić jawę ze snem, realność z fantazją, prawdę z jej modyfikacjami.

Włączył relaksującą muzykę. Potrzebował odpoczynku. Zewsząd zaczęły dobiegać delikatne dźwięki pianina i fletu. Jego myśli jednak uparcie krążyły wokół problemów. Należało coś postanowić, a nadal miał zbyt mało danych. Łatwo się pomylić: fakty wziąć za fikcję, a fikcję za fakty. Nie był pewny, czyje intencje są czyste. Musiał zaufać intuicji, po prostu komuś uwierzyć i wybrać: Memorystów albo Celestis. A potem się tego trzymać, choćby nie wiem co. Równie dobrze mogłby rzucić kostką. Przypomniawszy sobie, co Carlos mówił o ludziach: że są interesujący przez swoją różnorodność. Jego samego mało ciekawili. Prawdę mówiąc, uważał, że są dość schematyczni. W nikim nie znalazł czegoś, co by go naprawdę zaskoczyło. Aż do teraz. Dopiero tam, w Parku, w towarzystwie Underhilla, przez krótką chwilę nie był samotny, inny. Nie odczuwał też samotności, patrząc na niezbyt ładną, piegowatą twarz Marion ani w obecności Iana. Czy to nie wystarczający powód, żeby właśnie ich uznać za prawdę? Co zyska, jeśli zdecyduje, że Memoryści są oszustami? I tak nie miał zamiaru zgłaszać się do Centrum Pomocy.

Postanowił zaufać White'owi i jego ludziom. Taka decyzja wydawała się bardziej racjonalna. Teraz, kiedy jasno zobaczył swoją sytuację, niepokój ustąpił. Fragmenty wreszcie utworzyły całość, jeden obraz, z którego wyłaniały się coraz wyraźniejsze kontury. Wiedział już, czego naprawdę pragnie. Lęk zniknął, a razem z nim wątpliwości. Pozwolił udręczonemu umysłowi swobodnie popłynąć wraz z dźwiękami fletu.

Z przyjemnego odprężenia wyrwał go odgłos dzwonka. Nikogo się nie spodziewał. Przez chwilę nasłuchiwał, jak Majordomus szeleści, cicho przesuwając stopy po podłodze, po czym spokojnie wrócił do słuchania muzyki. Obserwował unoszące się pod sufitem tęczowe bańki – czekał, aż Maszyna pozbędzie się nieproszonego gościa. Znużył go zapach piwonii. Zamknął okno, uruchomił klimatyzator i zmienił aromat na bardziej orzeźwiający – mandarynkowy. Zmęczyło go także brzmienie fletu. Potrzebował więcej energii. Właśnie zastanawiał się nad wyborem kolejnej płyty, kiedy na całą szerokość otworzyły się drzwi.

– Pan wybaczy, naprawdę bardzo mi przykro, że przerywam panu odpoczynek, ale muszę przeszkodzić – zaczął Majordomus. – To pilne.

Adrian szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Dotychczas nie zdarzyło się, by Majordomus wszedł do łazienki bez pukania. Nie zdarzyło się też, by wbrew poleceniom zakłócił spokój swojego właściciela. Samo to już wydawało się dziwne. Jeszcze dziwniejsze jednak było użyte przez Maszynę słowo. Nie musiał prosić o definicję – wiedział, co znaczy „pilne”. Nie na darmo całymi godzinami studiował w Bibliotece stare słowniki. Inaczej równie dobrze mógłby nie zrozumieć, o co Majordomusowi chodzi. Słowo „pilne” dawno wyszło z użycia. Zachowanie służącego było mocno nietypowe. Adrian czytał w instrukcji o pojawiających się po dłuższym czasie użytkowania niegroźnych, lecz męczących problemach emocjonalnych przestarzałych egzemplarzy. Lamai miała rację – dawno należało wymienić Maszynę na nowszy model. Niepotrzebnie tak się przywiązywał do staroci.

Majordomus wciąż czekał na reakcję swojego pana, więc Adrian musiał odłożyć rozważania o psychologii androidalnych na później.

- Coś się stało?
- Niewłaściwie sformułowane pytanie – odparł służący.
- Podaj poprawne. – Wiedział, że nie wygra z algorytmem rozumowania, który najlepsze czasy miał za sobą.
- Jeżeli mogę coś podpowiedzieć, powinien pan zapytać, w jakiej sprawie przyszedłem.

– Zatem w jakiej sprawie przyszedłeś? – Zaczynał tracić cierpliwość. Żelazna logika Maszyn zawsze go trochę irytowała, a trochę niepokoiła. W nowszych modelach, zdaje się, lepiej sobie z tym poradzono.

– Tak. To właściwie zadane pytanie – pochwalił go Majordomus. Na skutek wbudowanej dyskrecji wlepił spojrzenie w jakiś punkt na ścianie. – Ma pan gościa – uroczystym głosem zakomunikował to, co Adrian już wiedział i zbliżył się, by podać ręcznik.

– Chwila, zaraz! – powstrzymał służącego. – Nie oczekuję gości, chcę odpocząć. Powiedz, proszę, tej osobie, żeby przyszła innym razem.

– Niestety, nie mogę.

– Jak to nie możesz? Takie jest moje życzenie.

– W tym wypadku nie mogę spełnić pana życzenia.

– Nie możesz spełnić mojego życzenia? – powtórzył Adrian z niedowierzaniem.

– Niestety. Mam inny priorytet.

– Wydawało mi się, że ja jestem twoim priorytetem. Ja i moje polecenia?

– Dobrze się panu wydawało. W normalnych warunkach, owszem. Ale bywają sytuacje nadzwyczajne. To jedna z nich.

– Dobrze... – Dał za wygraną. – Kim wobec tego jest mój nadzwyczajny gość?

– To wysoki przedstawiciel Celestis. Mam obowiązek skontaktować go z panem jak najszybciej.

Nagle Adrian pojął: wyprodukowana przez Celestis Maszyna jest posłuszna przede wszystkim Korporacji. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? Choć w łazience panowała wysoka temperatura, przez moment zrobiło mu się zimno. Skoro sprawowana nad urządzeniami władza jest złudzeniem... co jeszcze nim jest? Znał odpowiedź, ale natrętna postawa Majordomusa nie pozwalała mu jej spokojnie sformułować. Służący wyraźnie go poganiał.

Wyskoczył z wanny i błyskawicznie narzucił ubranie. Nie chciał zadzierać z Celestis. Nie teraz, kiedy potrzebował swobody. Co sprowadziło tak ważną osobę do jego domu? Mógł tylko przypuszczać. Nie słyszał jednak, by ktoś z Korporacji osobiście fatygował się do pacjenta. Poganiany niepokojem, szybkim krokiem wpadł do salonu. Na środku stała drobna, ciemnowłosa kobieta w schludnym, białym uniformie z emblematem Kliniki i przypiętą poniżej odznaką lekarza. Kogoś mu przypominała. Więc to koniec – będą go leczyć. Na plecach poczuł kropelki potu. Przywitał się tradycyjną formułką, po czym zaprosił gościa do zajęcia miejsca w fotelu. Sam usiadł na kanapie i w napięciu czekał na ruch lekarki.

– Panie Lawson, jestem przedstawicielem Generalnej Kliniki Celestis. Zna pan naszą Klinikę? – zaczęła.

Generalna Klinika... wiedział, co to oznacza.

– Oczywiście, że pan zna. Wszyscy nas znają...

Uważnie ją obserwował, lecz nadal milczał. Wolał, żeby to ona mówiła. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

– Nazywam się June Thorndike. Moje nazwisko pewnie nic panu nie powie...

– Rzeczywiście – potwierdził.

– Ale ja pana znam. Właściwie... pan mnie też. Już się spotkaliśmy.

– Niemożliwe – zaprotestował. – Pamiętałbym. Chyba mnie pani z kimś myli... – Poczł przyptyw nadziei. Lekarka najwyraźniej brała go za kogoś innego. – Może pomyliła pani domy?

– Nazywa się pan Lawson. Adrian Lawson, prawda? I niedawno świętował pan pierwszą rocznicę Przybycia? Chciałam wykorzystać moment, kiedy będzie pan sam. Wpłynęłam na Majordomusa, żeby mnie wpuścił, a pana wyciągnął z wanny. – Zaśmiała się. – Niezbyt elegancko, wiem. Ale nie miałam wyboru. Proszę mi wybaczyć. – Przepraszająco skinęła głową.

– Jak mogła pani wpłynąć na mojego Majordomusa? To niedorzeczne.

– Łatwiejsze, niż pan myśli. – Jej twarz ponownie opromienił figlarny uśmiech. – Wystarczy znać odpowiednie kody. Ja, z racji pracy, znam ich mnóstwo. A jeśli nie znam, wiem, gdzie ich szukać. Teraz, dla bezpieczeństwa naszej rozmowy, całkiem go wyłączyłam.

Adrian spojrzał na stojącego w rogu pokoju służącego. Maszyna zamarła, a jej pusty wzrok był skierowany w okno. Znów się zaniepokoił. Mimo wszystko w obecności Majordomusa czuł się pewniej.

– Pani doktor... – zaczął. – Kompletnie nie wiem, o czym pani mówi i co się tutaj dzieje. – Postanowił zachować ostrożność. – Skoro już włożyła pani tyle wysiłku w spotkanie ze mną, czy może mi łaskawie wyjawić cel swojej niezapowiedzianej wizyty? – Przybrał protekcyjny ton i celowo postawił akcent na słowie „niezapowiedzianej”.

– Naturalnie. Jak już mówiłam, nazywam się June Thorndike. Pracuję dla Celestis. Jestem jednym z kilku głównych lekarzy w Klinice.

– Będzie mnie pani leczyć? Doktor Zukin zrezygnował?

– Och, doktor Zukin! – Z lekceważeniem machnęła ręką. – To tylko zwykły robot, mobilna Maszyna do generowania pragnień. Ja jestem człowiekiem. I prawdziwym lekarzem.

– Zukin to Maszyna? – Nie potrafił ukryć zdumienia. – Jak to możliwe? Nie jest oznakowany...

– Nie jest – potwierdziła. – Zależy nam, żeby pacjenci traktowali go jak przyjaciela i żeby miał wśród ludzi autorytet. To znaczy... zależy na tym Celestis.

– Przecież pani to Celestis...

– I tak, i nie. Pracuję dla nich, to prawda. Ale też działam przeciwko Korporacji. Czy mogę mówić do pana po imieniu? Kiedyś przeszliśmy na ty.

Nie był pewny, czy powinien zaufać lekarce. Do głowy przychodziła mu tylko jedna możliwość, żeby się o tym przekonać: musiał podjąć jej grę.

– Skoro pani tak twierdzi. – Nadal nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się wcześniej spotkali.

– June – poprawiła go.

– Skoro tak twierdzisz... June.

– Wiem, że masz wiele wątpliwości. Na początek, żeby rozwiać choć niektóre, powiem ci, że to spotkanie uzgodniłam z Robertem i Marion.

Nadal nie był przekonany, czy to nie podstęp. Na wszelki wypadek nie dał po sobie poznać, że imiona mu cokolwiek mówią. Szybko to zauważyła.

– Adrianie, wiem o spotkaniu z Memorystami. Znam Underhilla, Marion Forcier, Philippe'a Soto, a nawet samego White'a. Znam ich wszystkich. Wiem, co robią. Próbują odzyskać obraz ukryty we fragmentach wspomnień. Składają go jak puzzle. Na ścianie w ich siedzibie wiszą zdjęcia Planety z jednym księżycem. Są na nich także zwierzęta: delfin, wilk, niedźwiedź i bardzo kolorowy ptak, którego nazwy nikt nie pamięta. Pomagam im. Wiem, gdzie mają swoją kryjówkę – wyrecytowała szybko w odpowiedzi na niepewną minę Adriana. – Wiem więcej niż ty. Sądzisz, że gdyby Zarząd Celestis znał te fakty, podziemna siedziba Memorystów nadal by istniała?

Spojrzał na nią z wahaniem.

– Marion ma rude włosy, piegi i brzydko się ubiera – kontynuowała z uśmiechem. – Czym mam cię jeszcze przekonać? Dlaczego zakłóciłam pracę Majordomusa? Po co miałabym to robić, jeśli stałabym po stronie Korporacji?

– Posłucham, co masz do powiedzenia, ale najpierw coś mi wytłumacz. – Podjął nagłą decyzję, choć zdawał sobie sprawę, jak bardzo może być ryzykowna. Jeśli lekarka jest wysłannikiem Celestis, to i tak już po nim. Wiedziała wystarczająco wiele, żeby skazać go na terminację. Wiedziała wszystko.

– O ile tylko będę potrafiła...

– Wyłączyłaś Majordomusa. Dlatego że jest oczami Celestis? Oni cały czas na nas patrzą?

– Nie aż tak... Ale chyba nie sądzisz, że nikt nas nie kontroluje?
– Tak właśnie myślałem. Przynajmniej do pewnego momentu...
– Nie obraż się, to bardzo naiwne, Adrianie. – Westchnęła. – Przecież wiesz o znacznikach w jedzeniu. Nie, nie jesteśmy podglądani – uspokoiła go, widząc, że zaczął się nerwowo rozglądać. – To o wiele sprytniejsze rozwiązanie. Korporacja nas do niczego nie zmusza, niczego nam nie nakazuje, tylko od pierwszej sekundy po Przybyciu uczy. Mówi nam, jak żyć i co jest dla nas dobre. Reguły Dobrego Wychowania, profilaktyka związana z Chorobą... To wszystko powoduje, że nawet nie przychodzi nam do głowy, że coś jest nie tak. Rodzina, znajomi, kapłani, Reklamy, każdy bez przerwy ci przypomina, jakie są zasady i w jak cudownym świecie żyjesz. Dzięki temu nie chcesz, a wręcz nie umiesz zadawać pytań. Z tym właśnie walczą Memoryści. Dlatego tak ważni są tacy jak ty, pamiętający. Wasz defekt, wasze wspomnienia otwierają wielu ludziom oczy, podczas gdy reszta napycha się cudami Planet i przez myśl im nie przejdzie, by zwątpić. Jednak świat bez ciągłej, dyskretnej kontroli ze strony Celestis nie wyglądałby tak, jak wygląda.

– Czyli jak?
– W pewnym sensie idealnie. W innym... przerażająco.
– Przerażająco? Przecież nie mamy się czego bać. Celestis zlikwidowało wojny, choroby...
– Owszem, to też. Zaczęło się od cząstek elementarnych, między innymi od bozonu Higgsa, nie bez powodu zwanego boską cząstką. W pewnym momencie wszystko było gotowe do przełomu. Rozwinięto teorię stanów splątanych, komputery kwantowe pojawiły się w niemal każdej placówce badawczej na świecie, powstała pierwsza kwantowa mapa mózgu. W sferze rozważań filozoficznych wykształciła się nowa dziedzina nauki – teofizyka. Zespoły naukowców pracowały dzień i noc. Najważniejsze jednak okazały się „skutki uboczne” ich działań. Wreszcie nastąpił zapowiadany przełom. Dotyczył pozyskiwania energii. Medycyna zeszła na poziom subatomowy, narodziła się genetyka kwantowa i zaczęto na poważnie mówić o końcu chorób. A co bardziej zuchwali wspominali o nieuniknionej nieśmiertelności...

– Co to była za energia? Ta, którą pozyskiwano?
– Esencja, czyli to, co stanowi o istocie człowieka, jest źródłem życia i gwarancją nieśmiertelności. Ludzie od dawna podejrzewali jej istnienie. Dusza, psyche, ruach, atman, hun... Miała wiele imion. Pierwszy raz jednak oddzielono ją od materii. Nauczono się tą energią kierować. Niedługo potem dokonano pierwszego udanego transferu osobowości. Ludzie niezbyt trafnie nazywali ten zabieg przeszczepem ciała. Okazało się, że technika ma szersze zastosowanie. Dzięki niej nie tylko można było

dać człowiekowi nowe ciało, ale też w ciągu paru minut przenieść go w dowolne miejsce. Ktoś nazwał ten proces skokiem Higgsa. Aż w końcu pojawiła się, przynajmniej teoretyczna, możliwość stworzenia świata od podstaw... od podstaw kwantowych... Nic dziwnego, że skok Higgsa wzbudził zainteresowanie wielu korporacji.

– Korporacji?

– W tamtym czasie istniały ich dziesiątki. Ale tylko kilka miało realny wpływ na kształt świata. Jedną z nich było Celestis. Zajmowało się wdrażaniem nowych technologii i badaniami kosmicznymi. Na czele firmy, jak dziś, stał Thomas Wolf, wtedy jeden z najbogatszych ludzi na świecie. Opłacił dalsze badania i zaczął kontrolować rozwój niezwyklej technologii. Rozpoczął projekt „Eden”. Eden to inaczej raj...

– Wiem. Czytałem o tym. Kiedyś, kiedy na świecie jeszcze były wojny, głód i choroby, ludzie wyobrażali sobie lepszy świat. Różnie go nazywali: Avalon, Arkadia, także Eden.

– Wyobrażali sobie Planety, prawda?

– Właściwie... tak – odparł po zastanowieniu.

– Raj nie istnieje. W każdym razie nie tutaj. To, co widzisz wokół, jest grą pozorów. Bardzo przebiegłą.

– I tego chciał Wolf?

– Wolf pragnął stworzyć nowy, realny świat, eden, czy jak to nazwać. Świat wolny od śmierci. Za sprawą skoku Higgsa stało się to możliwe.

– Piękna idea.

– Być może z początku dla wielu taka była, ale na pewno nie dla Wolfa. Pomyśl o tym inaczej. Trzymał w rękach klucz do raj. On i tylko on. Wielokrotnie pomnożył odziedziczony po ojcu majątek, dotarł na sam szczyt, pokonał silniejszych od siebie. I wciąż miał ogromne ambicje. Zdawał sobie sprawę, że będzie twórcą największego dzieła w historii ludzkości, że to dzieło zapewni mu władzę absolutną. A nade wszystko... nieśmiertelność. Bo musisz wiedzieć, że kiedyś każdego czekała terminacja. Nawet kogoś tak potężnego jak Wolf.

Adrian był wstrząśnięty okrucieństwem dawnego świata, a jednocześnie zafascynowany bezwzględnością sprawiedliwości jego praw. June musiała zauważyć, że zbladł, jednak nie przerywała.

– Wolf nie godził się na śmierć. Jeśli już była konieczna, pragnął osobiście pokierować swoim życiem „po drugiej stronie”. Nie zamierzał zdawać się na przypadek.

– Udało mu się. – Zaczynał rozumieć.

Potwierdziła ruchem głowy.

– A pozostałe korporacje? Jakim cudem zgadzały się na to wszystko?

– W tym cały problem... Żadna z nich nie mogła sobie pozwolić na rezygnację z badań nad skokiem Higgosa. Było jasne, że z chwilą opracowania nowej technologii wszystkie istniejące przestaną się liczyć. Wolfowi przysłużyły się media, które rozpętały prawdziwą kampanię lęku przed nauką. Nagle wszędzie rozprawiano o efekcie Fausta, klątwie Golema, przytaczano proroctwa i pisma filozofów.

– Kim byli Faust i Golem?

– Nie mam teraz czasu tego tłumaczyć. Innym razem, Adrianie. Dość, że rozpętała się prawdziwa histeria. Stan paniki, jaki wywołano, strasząc nieprzewidywalnymi skutkami prac naukowych, niemal doprowadził do światowego konfliktu. Przerażeni ludzie domagali się zakazu dalszych eksperymentów. Pod naciskiem opinii publicznej rządy kolejnych państw zaczęły wycofywać fundusze, zamykano laboratoria, zlikwidowano kilkaset największych instytutów badawczych... Grożono prywatnym inwestorom. Naukowcy stali się wrogami publicznymi, byli prześladowani, niektórzy z nich musieli się ukrywać. Kolejni gracze szybko się wykrwawiali. Zabrakło środków, korporacje upadały jedna po drugiej. Aż w końcu zostało tylko Celestis. Wolf wykorzystał zgromadzony majątek do przejęcia mediów i od tej pory kontrolował także opinię publiczną. Umiejętnie prowadził tę wojnę. Kiedy już zablokował badania w rozproszonych po świecie ośrodkach, zbudował najpotężniejsze laboratorium, zebrał najlepszych spośród bezrobotnych naukowców i stworzył im warunki do badań, o jakich nawet nie marzyli. Rzesze ludzi pracowały bez przerwy, żeby zrealizować jego wizję. Połączono fizykę z informatyką i medycyną. Tak powstał System.

– A ludzie? Nie mieli nic przeciwko? Nie protestowali?

– Ludzie myśleli to, co Wolf chciał, żeby myśleli. Sprawa eksperymentów została wyciszona. Zarząd Celestis trzymał wszelkie odkrycia w wielkiej tajemnicy. Efekt był taki, że nikt już nie rozwijał starych technologii, ale nie wykorzystywał też nowej. Ludzkość stanęła w miejscu, zrujnowana szalonym wyścigiem. Tylko laboratorium Korporacji ciągle działało. W ten sposób Wolf stworzył Planety – swój wymarzony raj. Ale też zachował Stary Świat – poligon i... śmietnik.

June wywołała podręczny ekran. Adrian ujrzał miliardy drobnych, jaskrawych punktów zawieszonych w czarnej pustce. Jasne plamki tworzyły gęste, poskręcane pasma. Galaktyka N 9 27R – odczytał podpis. Nic mu to nie mówiło. Spodziewał się, że June może go zaskoczyć, jednak nie podejrzewał, że to, co usłyszy, zmieni

dokładnie wszystko. Patrzył zaszokowany – to na nią, to na obraz świata, w którym mieszkał, a o którym, jak się okazało, nic nie wiedział.

– Wolf był u schyłku życia, ale na nasze nieszczęście zdążył wygrać z terminacją... ze śmiercią – kontynuowała June. – Najpierw zabrał ze sobą na Planety tylko kilku bogaczy, dobrze ci znany Zarząd Celestis. Niestety na tym nie poprzestał. Nie wystarczała mu nieśmiertelność i prywatny eden. Chciał być panem losu wszystkich, mieć publiczność, wiernych poddanych. Pragnął, by ludzkość czciła go jako zbawcę. Zaczął więc swój raj zaludniać. Wprowadził selekcję. Sam decydował, kto przybędzie do Nowego Świata. Ściągał tu wyłącznie tych, którzy spełnili określone warunki. Ich życiorys musiał potwierdzać, że są dobrzy, uczciwi i posłuszni. Że nie będą sprawiać problemów. Wolf nie chciał powtórzyć błędów swoich poprzedników, których imperia prędkiej czy później obróciły się w pył. Tak powstał Szablon. Celestis zaczęło wykorzystywać System na masową skalę. Każdy, kto umierał, miał szansę dostać się do Nowego Świata, ale nie każdy się dostawał. Na Starej Planecie o tym nie wiedzieli. Nie wyjawiono ludziom, co ich czeka po śmierci, żeby niczego nie próbowali przyspieszać. Wolf przecież nie chciał, by ludzkość wyginęła. Stary Świat stał się dla Korporacji czymś w rodzaju magazynu istnień. Jednocześnie stanowił poligon testowy. Tam właśnie, generując nieszczęścia, sprawdzano, czy ktoś pasuje do projektu „Eden”, czy może przybyć na Planety. Zanim powstał Szablon, takie testy trwały miesiącami, a nawet latami. Teraz jest prościej. Odpowiedni algorytm załatwił sprawę. I Celestis przestało się przejmować porządkiem Starej Planety.

– A co z tymi, którzy nie pasują do Szablону?

– Dobrze pytanie. – Spojrzała na niego uważnie. – Żeby zrozumieć, musisz dokładnie wiedzieć, skąd pochodzimy... – przerwała i zaczęła nasłuchiwać. – Adrianie, koniec na dzisiaj. Wraca twoja siostra. Lepiej, żeby mnie nie tu spotkała.

– Zobaczymy się jeszcze? – Zaniepokoił się.

– Oczywiście. Spotkasz się też z innymi. Niebawem – dodała, widząc czający się w jego oczach lęk.

June z otaczającego go chaosu tworzyła jakąś w miarę spójną całość. Bardzo się bał wypuścić tę szansę z rąk.

– Muszę iść. – Podniosła się z fotela. – Włączę Majordomusa i usunę z jego pamięci moją wizytę. Będzie pewny, że spędziłeś ten dzień, odpoczywając. Nie możesz się wychylić z niczym, co wzbudziłoby jego podejrzenia. Wszystko natychmiast przekaże Kontroli Celestis.

– To nie będzie takie trudne, nauczyłem się modyfikować prawdę.

– Dobrze, że umiesz kłamać. Teraz będziesz tego bardzo potrzebował.

- Kłamać? – Kolejne pojęcie, które było dla Adriana nowe.
- Kiedyś modyfikowanie prawdy nazywano po prostu kłamstwem. Wykreślono to słowo ze słowników. Podobnie jak „śmierć”. Na Planetach musimy przecież mówić prawdę i tylko prawdę. Sam rozumiesz... – Podniosła wzrok znad panelu sterującego Majordomusem. – Uważaj na siebie – powiedziała i ruszyła w kierunku drzwi.
- June? – Zatrzymał ją. – Mówiłaś, że się znamy. Skąd?
- Byłam twoim lekarzem prowadzącym podczas Procedury Zero.
- Myślałem, że to sny...
- Nie, Adrianie. To fragmenty twoich wspomnień. Jesteś błędem Celestis. Pięknym błędem. Naprawdę, muszę iść. – Wybiegła, błyskawicznie znikając za ogrodzeniem. Ledwie stracił z oczu drobną postać lekarki, a na prowadzącej do domu ścieżce pojawiła się Lamai. Ubrana w złote, wysokie kozaki, połyskującą sukienkę, z naręczem kolorowych torebek wyglądała jak willa Neumannów podczas święta.
- Halo!!! Adrian!!! – Dojrzała go w oknie i chciała mu pomachać, lecz ozdobiona bransoletami ręka opadła pod ciężarem bagażu.
- Czemu sama to dźwigasz?! – odkrzyknął, nadal próbując się uspokoić po wizycie June.
- Bo luuuubię!
- Lubisz dźwigać?!
- Jestem zdobywcą! Jak Carlos. Wracam z łupami. – Uniosła odrobinę torby, prezentując je z dumą. – Nie do dostania w normalnym domowym Lustrze! Ani nawet w Mieście!

Gdy gramoliła się z pakunkami przez drzwi, przypomniał sobie, że słyszał kiedyś o Limitowanych Seriach w kościele. Rzadko tam chadzał, ale się zdarzało. Najbardziej lubił Katedrę. Była prawdziwym dziełem sztuki i zazwyczaj odbywało się w niej kilka Zgromadzeń naraz. Zawsze można było znaleźć coś dla siebie. Tamtego dnia, dość przypadkowo, trafił do jednego z mniejszych kościołów w Dzielnicy Kształtów, która ciągnęła się wzdłuż ulicy Szczęśliwej. Dzielnicę zamieszkiwali pasjonaci architektury. Stworzyli jeden z najbardziej niezwykłych zakątków na Planetach. Obok delikatnych jak pajęczyny, zrobionych z mrożonego szkła domków stały budowle odlane z metali, a także wymyślne, wysadzone szlachetnymi kamieniami wille o fantazyjnie zakrzywionych płaszczyznach. Można tam było znaleźć chatkę z piernika, stworzoną ze światła księżycową altanę i wielki dom w kształcie wiolinowego klucza. Dzielnicę zdobiły tradycyjne konstrukcje, ale też te wykonane z barwnej mgły czy dryfujące w przestrzeni. Adriana wciąż to miejsce zaskakiwało. Właśnie tam trafił do zbudowanego z pociemniałego drewna kościoła. Porośnięty dzikim winem budynek

sprawił wrażenie miejsca zagubionego w czasie. Nie pasował do reszty świata, trochę jak Biblioteka czy Pensjonat pod Gwiazdami. Tego dnia zebrała się w nim niewielka grupka wiernych. Choć wyglądali dość przeciętnie, samo Zgromadzenie nie przypominało rytuałów odprawianych w innych świątyniach. Kapłan opowiadał o rzeczach, o których zwykle się podczas Przemówień nie wspominało. Aż do Wielkiej Laudacji słowem nie napomknął o Celestis, o zdobyczach ludzkości ani o szczęściu. Nie wygłosił też tradycyjnych ostrzeżeń przed Chorobą. Zamiast tego kazał wiernym podziwiać kwiaty, opisywać ich wygląd, zapach. Później poprosił, by wspólnie milczeli, wsłuchując się w ciszę. Wyświetlił wspaniałe, holograficzne krajobrazy, a na koniec pokazu włączył nastrojową muzykę. Zachęcił zebranych, by opowiadali o swoich uczuciach. Adrian był zaskoczony, ale obrzędy właściwie pasowały do Dzielnicy Kształtów. Były nietypowe jak ona. Jednak nawet tutaj Zgromadzenie musiała zakończyć Wielka Laudacja. Kapłan po trzykroć wychwalił wszystkie Planety oraz złożył dziękczynienie. Uczestnicy pochylili głowy i przyciskając prawą dłoń do piersi, pokłonili się Zarządowi Celestis, po czym głośno oddali cześć całej Korporacji za działania na rzecz Planet.

– I niech będą dzięki naszemu Prezesowi Założycielowi Thomasowi Wolfowi! – Czystym, mocnym głosem zaintonował Kapłan.

– Niech będą dzięki! – zawtórowali mu wierni. – I bądźmy zdrowi na chwałę Prezesa Założyciela, Zarządu i całej Korporacji!

Głęboko wzruszeni zaczęli życzyć sobie szczęścia.

Kiedy opadły emocje, nastąpiła ostatnia, zwyczajowa część Zgromadzenia, czyli Reklamy. Wstępowały na mównicę po kolei, by po minucie z niej zejść w towarzystwie gorących braw. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszał o sklepach z Limitowanymi Seriami. Wiernych powiadomił o nich sam Kapłan, co nadało produktowi szczególnego znaczenia. Słuchając o zaletach Limitowanych Serii, Adrian zastanawiał się, po co zostały wymyślane, skoro można było po prostu umieścić je w asortymencie Luster. Teraz jednak, patrząc na szczęśliwą Lamai, zrozumiał. W przeciwieństwie do innych rzeczy, były trudne do zdobycia. Sprzedawano je wyłącznie w tradycyjny sposób w paru zaledwie, starannie ukrytych sklepikach. Kolejny, sprytny pomysł Korporacji na generowanie ludzkich pragnień. Czy nie można po prostu pozwolić, żeby ludzie sami tworzyli marzenia? – zastanowił się. Bez generatorów, Reklam, Centrów Pomocy, ośrodków terapeutycznych i Kliniki? A co, jeśli i jego pragnienie tak naprawdę nie jest jego? W końcu Lamai też nie miała pojęcia, że Limitowane Serie podsunęło jej Celestis. Może sny, Underhill,

Memoryści to jedna wielka mistyfikacja? Nie, nie wolno tak myśleć – przywołał się do porządku. Przecież podjął już decyzję.

Lamai wkroczyła dumnie do salonu, tradycyjnie przynosząc ze sobą stukot obcasów, szelest wyszukanych tkanin oraz woń luksusowych perfum. Zbyt intensywne. Nie należała do osób, które lubią niknąć w tłumie. Jej stroje, biżuteria, fryzury – wszystko krzychało: patrz na mnie, nie waż się mnie przegapić! Włosy dziś miała króciutkie, jaskrawożółte, dopasowane do mieniącej się milionem świecidełek sukienki. Na nadgarstkach Lamai, niczym egzotyczne węże, wiły się ruchome bransolety.

– Witaj, braciszku. Co porabiałeś? – zaświergotała razem z wypełniającymi pomieszczenie dźwiękami.

Kiedy się zbliżyła, zauważył, że to, co wziął za świecidełka, w rzeczywistości było bardziej skomplikowane. Strój ozdobiono mnóstwem maleńkich holoprojektorów, z których każdy wyświetlał inny film. Pewnie Limitowana Seria – pomyślał i pomógł siostrze równo poukładać torby z zakupami.

– Zjemy coś? Mam ochotę na wieceelkie obżarstwo. Jestem dziś nienasycona! – wykrzyknęła i opadła na fotel, w locie zakładając nogę na nogę.

Przypomniawszy sobie o ukrytych w jedzeniu znacznikach.

– Nie jesteś głodny? – Nie czekając na odpowiedź, wbiła wzrok w domowy ekran, który wyświetlał spot jakiegoś kurortu na Trzeciej Planecie. Blok reklamowy zahipnotyzował ją na dobre. Dodała Wystrzałowe Lato w Mieście do planowanych wydarzeń i wprawnym ruchem wypielegnowanej dłoni przerzuciła kanał na prywatny. Salon wypełniły filmy znajomych. Pogodne twarze, egzotyczne krajobrazy, okazałe wille na wyścigi pchały się przed oczy, walcząc o palmę pierwszeństwa z zabawnymi sytuacjami. Ktoś nagrał swoje śniadanie, ktoś inny – nowego Majordomusa. Lamai oznaczyła ulubione sceny, dodała parę komentarzy, okienkiem „Co nowego?” przesłała pięć promieni Limitowanym Seriom i przypomniała sobie o istnieniu brata.

– Więc? Może coś z kuchni francuskiej? – Znów nie poczekała na jego odpowiedź. – Żabnica? Jadłam ostatnio pyszną w Petit Maison.

– Może być żabnica – odparł. Obojętne, co zje, wszystko, czego dotychczas próbował, było doskonałe.

Lamai zerwała się i pokrzykując na Majordomusa, popędziła przed Lustro. Dumna ze swojej urody oraz pomysłów, lubiła być obserwowana. Najczęściej rolę publiczności spełniał Adrian, co go okrutnie męczyło. Dlatego podniósł się z fotela i na poczekaniu wymyślił jakąś wymówkę.

– Chciałbym poczytać przed kolacją. Jutro wybieram się do Biblioteki. Powinienem już oddać tę książkę.

– Co to za książka? – Zainteresowała się niespodziewanie.

– O nurkowaniu. Poradnik – skłamał gładko.

– Zamierzasz nurkować?! – Ucieszyła się.

– Być może... Carlos mnie namawia.

– To po prostu jedź, zamiast o tym czytać.

– Wolę się najpierw przygotować. Lubię wiedzieć, co mnie czeka.

– Kiedy ta wyprawa? – dążyła, strojąc miny do Lustra.

– Niebawem...

– Świetnie! Wreszcie wytkniesz nos z domu! Może chcesz skonsultować swoje plany z doktorem Zukinem?

Na myśl o spotkaniu z rudobrodą, wysoko wyspecjalizowaną Maszyną najnowszej generacji, zrobiło mu się słabo. Jednak żeby nie wzbudzać podejrzeń, musiał się zgodzić.

– A tak... dobry pomysł.

– Jestem pewna, że ci pozwoli! Umówię cię. Ale nie wiem, kiedy znajdzie czas. – Zmartwiła się. – Doktor jest bardzo znany i ma wielu pacjentów.

– Nie śpieszy się. – Tym razem nie musiał kłamać.

Jej pokrytą wymyślnym makijażem twarz rozjaśniła radość. Uwielbiała organizować mu życie. To prawdziwa Lamai czy kolejny program zaszyty w jej głowie przez Celestis? Nie był pewny.

Idąc na górę, myślał o książce, która na niego czekała. „Słownik Języków Dawnych”. Wygrzebał go w Bibliotece, spod sterty przeznaczonych do zniszczenia egzemplarzy. Trafiały tam pozycje, których przez długi czas nikt nie wypożyczał: przestarzałe procedury Celestis, nieaktualne broszury informacyjne, nieciekawe poradniki. Ale między bezwartościowym chłamem trafiały się prawdziwe perełki. Jak opasły tom, który właśnie trzymał w rękach. Już wcześniej przeglądał słowniki, jednak w żadnym nie dokonał aż tylu odkryć. Ciekawiło go wszystko: od prostych nazw po skomplikowane pojęcia, trudne do zrozumienia, nawet po wielokrotnym przeczytaniu definicji.

Przypomniały mu się fotografie Memorystów. Odszukał odpowiednie hasło. „Wilk – ssak drapieżny podobny do psa”. Nie miał pojęcia, czym jest ssak ani czym jest pies. „Ssak – kręgowiec, którego młode karmią się mlekiem matki”. Kręgowiec? O jakie młode chodziło? I kim była matka? Z wypiekami na twarzy przewracał strony słownika. „Kręgowiec – człowiek lub zwierzę mające szkielet, którego osią jest

kręgosłup”. Szkielet, kręgosłup – tyle chociaż rozumiał. Czy on też był kręgowcem, ssakiem? Zwierzęta – tak Memoryści nazywali dziwne stworzenia. Otworzył słownik na właściwej stronie: „Zwierzę – każde żywe stworzenie z wyjątkiem człowieka”.

Usłyszał świergot ptaków. Kolacja była gotowa.

Słownik przynosił wiele pytań, ale też udzielał odpowiedzi. Adrian nie mógł się doczekać, kiedy pokaże swoje odkrycie Ianowi. Zamknął księgę, po czym starannie ją ukrył obok czerwonych i niebieskich fiolek od Zukina.

6

Od godziny chodził bez celu. Nie jadł od dwudziestu czterech. Czuł głód, ale starał się o tym nie myśleć. Ruszył w stronę Parku, skąd miała go zabrać Marion.

Wędrując krętymi uliczkami, rozmyślał o wczorajszych wydarzeniach. Wieczorem wyszedł do ogrodu – chciał trochę ochłonać po lekturze słownika. Dom Neumannów tonął w rozmaitych odcieniach bursztynu; na tle ciemnoszafirowego nieba wyglądał zjawiskowo. Z daleka dobiegał szum fal. Adrian właśnie wspominał Pensjonat, a słodki zapach kwiatów zaczął go usypiać, kiedy nagle pod zamkniętymi powiekami wystrzelił ostry błysk. Zupełnie jakby ktoś zaświecił mu prosto w oczy latarką. Jednak błysk nie pojawił się na zewnątrz, a w środku głowy. Światło zgasło i rozpoznał czarną, lodowatą pustkę – tęsknotę, tak silną, jakiej jeszcze nie doświadczył. Z ciemności wyłoniła się biała, pełna kwiatów sala. Po prawej stronie pod ścianą zobaczył łóżko, a w nim kobietę. Amy. Na jej bladej twarzy malowało się zmęczenie, a także coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać. Trzymała w ramionach niewielkie zawiniątko.

– Chodź tu, bohaterze. Zobacz, co zmagistrowałeś! – Uśmiechnęła się zawadiacko i wyciągnęła ręce, z dumą demonstrując pakunek. Jej zebrane w kucyk włosy miały ciemniejszy odcień niż w innych jego wizjach. – Lekko nie było! Ale już po wszystkim. Ojciec... to brzmi naprawdę dumnie. I poważnie. Pamiętaj, Adie, od tej pory musimy być dorośli. Żarty się skończyły. – Zachichotała i przycisnęła zawiniątko do piersi. – Tatusiu, to Ella, twoja córka, Ella, poznaj swojego tatusia. Od tej pory będziesz go zawsze miała na głowie.

Ujrzał coś przypominającego czerwone, nieco zwiędłe jabłko. Nagle zdał sobie sprawę, że w jabłku widać mocno zaciśnięte oczy. Patrzył na małą twarzyczkę i nie mógł zrozumieć – czy to jedno ze zwierząt, o których czytał? Ssak? Kręgowiec? Poderwał się gwałtownie z leżaka. Wizja, jak nagle się rozpoczęła, tak niespodziewanie się urwała, jakby ktoś wyłączył film. Obrazy zniknęły, lecz Adrian nadal czuł dojmującą tęsknotę. Pojawiło się też coś zupełnie nowego – uczucie podobne do tego, jakim darzył Lamai i Carlosa, ale sto, tysiąc, milion razy silniejsze. Znów wszystkie barwy stały się ostre i wyraźne. Dawne wydawały się jedynie cieniem nowej rzeczywistości, jak gdyby dotychczas oglądał świat przez mgłę, którą właśnie

ktoś rozproszył. To było wspaniałe! A jednocześnie wywołało ból serca tak silny, że musiał walczyć o oddech. Opadł ciężko na leżak i ukrył twarz w dłoniach. Pod palcami poczuł wilgoć. Rozejrzał się zdumiony, przecież nie padało. Raz jeszcze ostrożnie dotknął twarzy. Wilgoć pojawiła się w jego oczach. Spływające po policzkach krople przynosiły ulgę, łagodziły ból. Serce znów zaczęło bić miarowo. Złapał leżący na stoliku szkicownik i zanotował dwa słowa: córka, ojciec.

Chwilę później, już w swojej sypialni, przeczytał: „Córka – czyjeś dziecko płci żeńskiej”. „Ojciec – mężczyzna, który ma własne dziecko lub dzieci”. Obydwie definicje łączyło słowo „dziecko”. Odszukał je w pośpiechu. „Dziecko – człowiek od urodzenia do wieku młodzieńczego; syn lub córka, niezależnie od wieku”.

Więc tak wygląda dziecko? A on jest ojcem? Przypomniał sobie słowa Amy. Miał córkę, własnego człowieka, i powinien z tego powodu odczuwać dumę. Ella... to zawiniątko, ten pomarszczony ssak i jasnowłosa, mała kobieta z jego snów były tą samą osobą? Nie potrafił sobie poradzić z nadmiarem informacji. W nocy, kiedy emocje nie pozwalały mu zasnąć, zdecydował, że jak najszybciej musi porozmawiać z Memorystami.

Od kilku minut niecierpliwie czekał na Marion. Ozłocony ciepłym światłem Park wyglądał wspaniale. Jak wszystko na Planetach. Bujna, zadbana zieleń, poprzetykana rabatami pełnymi intensywnie kolorowych kwiatów, przynosiła spokój, a jednocześnie nie była ani trochę monotonna. Lśniące w słońcu białe ścieżki, ozdobne altanki, wygodne, wyłożone miękkimi, haftowanymi poduchami miejsca wypoczynku dopełniały idealnego obrazu. Ukoronowanie pejzażu stanowiła wysoka opalizująca fontanna, tryskająca w niebo chłodną, krystalicznie czystą wodą. Otoczeni takimi wspaniałościami ludzie nie zastanawiali się nad szczegółami ich doskonałego świata. Zwłaszcza jeśli innego nie pamiętali. Obserwował przechodniów i próbował zgadnąć, czy któryś z nich jest obciążony błędem – jak on, Marion lub Ian. Zatęsknił za staroświeckim hotelowym pokojem, nie mógł jednak do niego wrócić. Wiedział, że nie będzie tam bezpieczny. Ani tam, ani gdzie indziej – uświadomił sobie. Sprzymierzeńcy okazali się wrogami, chociażby Majordomus. Nie ufał już nikomu, nawet bratu i siostrze. Szczególnie Carlos go niepokoił – bywał ostatnio zbyt dociekliwy. I również potrafił modyfikować prawdę.

Mijały minuty, a Marion wciąż nie nadchodziła. Adrian zaczynał się martwić. W oddali dostrzegł zamieszanie; ze swojej ławki widział tylko szybko powiększający się krąg ludzi. Usłyszał nieprzyjemny, regularny sygnał. Tłum lekko się rozstał, by

zrobić miejsce dla służb. Na środku marmurowej alejki leżała jakaś postać. Strach chwycił go za gardło. Zerwał się i pędem ruszył w kierunku zbiegowiska. Kilka sekund później stał nad nienaturalnie wykręconym ciałem kobiety. Patrzył na jej zamknięte powieki, blady jak kreda policzek i... cieszył się, że to nie ona – nie Marion.

Dziewczyna miała sportowy strój, a na nogach rolki. Jej długie, brązowe włosy rozsypały się na jasnej powierzchni chodnika.

– Tak to jest, jak się nie słucha zaleceń i jeździ bez kasku! – Usłyszał za plecami.

– No i teraz wszyscy mają kłopot. – Ktoś wtórował oburzonemu mężczyźnie.

Spomiędzy włosów wypływała czerwona strużka, tworząc na śnieżnobiałym marmurze ciemną plamę, która powiększała się z sekundy na sekundę. Przez chwilę Adrian zobaczył inną krwawiącą dziewczynę. Tę z klubu. Poczucił się nieswojo.

– Potknęła się tuż obok! – zapiszczał czyjś damski głos. – Dosłownie centymetry! Leciła prosto na mnie. Gdybym wyciągnęła rękę, o tak – zademonstrowała – mogłabym ją złapać. Musiałam się szybko odsunąć, żeby mnie nie dotknęła!

Wśród tłumu rozległy się pełne zgrozy okrzyki.

– Koszmar... mówię wam – żaliła się.

– Nie dość, że dzień zmarnowany, to jeszcze mogła panią narazić na złamanie Reguł – odezwał się stojący tuż przy Adrianie kędzierzawy blondyn. – Co za nieodpowiedzialność! I jaki okropny widok. A taki miałem udany spacer! Na szczęście już po wszystkim. Mam tylko nadzieję, że szybko to posprzątają.

Z pojazdu służb oczyszczania Miasta, oznakowanego jaskrawym napisem REDUCO, wypadły liny, które ciasno oplotły ciało dziewczyny i wciągnęły je na pokład. Jeden z Reducentów zsunął się na dół, a następnie szarawą pianą spryskał zabrudzoną powierzchnię. Minutę później chodnik znów lśnił śnieżną bielą. Statek REDUCO wzniósł się wysoko ponad tłum. Adrian ponownie usłyszał drażniący sygnał. Stał osłupiały – znał te uniformy. Teraz widział wszystko jak na dłoni: tańczących ludzi, hipnotyczny ruch bladych ramion, krew na parkiecie i dwóch osiłków, ubranych dokładnie jak ci tutaj, z czarnymi literami REDUCENT na plecach wściekle pomarańczowych kombinezonów.

– Marionetki... teatr lalek... – wyszeptał mu ktoś prosto do ucha.

Odwrócił się gwałtownie, ale otaczało go zbyt wiele osób. Przyjrzał się uważnie ich twarzom, wszystkie były skupione na obserwowaniu niknącego w oddali pojazdu służb. Wydostał się z tłumu i wrócił na ławkę. Od dawna podejrzewał, że ten sen wcale nie był snem, teraz zyskał pewność. Nigdy wcześniej nie widział Reducentów, nie mogli mu się tak dokładnie przyśnić. Marionetki – to słowo wykrzykiwała

szalona dziewczyna. Rozejrzał się z lękiem. Marion nadal nie było. Ludzie spokojnie wrócili do swoich zajęć, jak wtedy w klubie. Na ich twarzach nie został nawet ślad silnych emocji, które miotają nimi zaledwie parę minut wcześniej. Podjął nagłą decyzję.

– Widziała pani? – zaczął przechodzącą obok kobietę, tę samą, która z przejęciem opowiadała o wypadku.

– Do mnie pan mówi?

– Tak. Pytam, czy widziała pani, jak ta dziewczyna się przewróciła?

– Pan wybaczy, ale chyba nie wiem, o co chodzi. – Uśmiechnęła się przeprasząco.

– No ta na rolkach, ta, która o mało pani nie dotknęła.

– Niestety... – Kobieta pokręciła głową, a jej zdezorientowany wzrok dobitnie świadczył, że faktycznie niczego nie pamięta. – Nie widziałam żadnego wypadku. I dobrze. Miałabym zepsuty cały dzień! Niech pan będzie szczęśliwy – pożegnała się.

Nie musiał więcej pytać. Już wiedział, co się stało – teraz i wtedy, w klubie. Czy tak właśnie wyglądała terminacja?

Nagle zaskoczyła go pewna myśl: przecież kobieta, która stała obok, mogła nie dopuścić do wypadku. Wystarczyłoby, żeby złamała Regułę Dobrego Wychowania i wyciągnęła dłoń. Albo... chociaż dłoni nie cofnęła. Pierwszy raz w życiu dostrzegł absurdalność Reguł. Skąd się właściwie wzięły? Po prostu były: spisane w broszurach Celestis, wyryte na marmurowych tablicach w świątyniach, wyświetlane przez wielkie billboardy w Mieście, wywieszone w kuchniach, sypialniach i w salonach. Wpajano je każdemu od pierwszego dnia po Przybyciu. Nigdy nie słyszał, by ktoś złamał Regułę... dopóki nie spotkał Memorystów.

Z rozmyślań wytrącił go uradowany głos. Ktoś zawołał jego imię. Poderwał się z ławki. Wiedział, że znów będą mieli mało czasu, a w jego głowie zrodziło się tyle pytań!

– Chyba cię nie przestraszyliśmy?!

Z przerażeniem ujrzał przed sobą Hannę i Olafa, znajomych Lamai. Tylko tego mu dziś brakowało! Ani ich lubił, ani nie lubił. Właściwie ledwie ich znał. Zdaje się, że Hanna należała do któregoś ze Zgromadzeń Wspierających. A może to było Stowarzyszenie Niosących Szczęście czy inny Klub Odpowiedzialnych Obywateli? W każdym razie mocno angażowała się społecznie. I była potwornie gadatliwa. Co, jeśli teraz pojawi się Marion? Nie wyobrażał sobie, żeby miał czekać kolejne godziny – był czekaniem wystarczająco zmęczony. Tak bardzo, że każda dodatkowa chwila wydawała mu się niemożliwa do zniesienia.

– Jak tam u Lamai? – zaciękała się Hanna, choć widziały się zaledwie dwa dni temu, a dziś już pewnie ze trzy razy rozmawiały przez holofony.

– Dziękuję, dobrze. Jest bardzo szczęśliwa – odpowiedział tradycyjną formułką.

– No a co u ciebie? Jak się zaczął drugi rok od Przybycia? Minęły dolegliwości?

– Och tak, oczywiście. Dziękuję. Ja również jestem bardzo szczęśliwy – zapewnił ją.

– To doskonale! – podchwycił Olaf. – Doskonale!

Naturalnie, Lamai podzieliła się ze znajomymi niepokojami. Nie było w tym nic dziwnego. Korporacja zachęcała do omawiania spraw osobistych czy rodzinnych z innymi. Kiedyś widział na dworcu billboard Celestis, a na nim wyświetlone wielkimi, różowymi literami hasło, podobno jakieś stare przysłowie: „Chcesz iść szybko, idź sam, chcesz zajść dalej, idź w towarzystwie”. Ludzie woleli zajść dalej niż szybciej, to oczywiste – czasu mieli aż nadto. Najważniejsze było osiągnięcie własnego czy sztucznie wygenerowanego celu, spełnienie pragnienia. Wolf dobrze wiedział, jakie cenne rady obywatele Planet wyczytają z tego hasła. Adrian dawno zrozumiał, że izolowanie się jednostek, choć oficjalnie dozwolone, nie leży w interesie Korporacji. Im więcej osób znało czyjeś myśli, tym więcej wiedział Zarząd. Proste.

– A wy? Jak się miewacie? – zrewanżował się obowiązkowym pytaniem.

Najchętniej od razu zakończyłby tę pozbawioną sensu, pustą konwersację. Gdyby się jednak pożegnał, nie wyczerpując tradycyjnych elementów uprzejmej rozmowy, zostałoby to uznane za dziwne i z pewnością wzbudziło podejrzenia. Hanna miała coś, co można nazwać ideą. Gorąco pragnęła, by z ich wspaniałego świata zniknęła ostatnia zła rzecz – Choroba. I wierzyła, że to możliwe. Nie byłoby dobrze, gdyby teraz zechciała okazać mu swoją troskę. Nie miał na to czasu.

Na szczęście jego pytanie wywołało u Olafa należyty entuzjizm. Znajomy Lamai kilkakrotnie podziękował za zainteresowanie, za każdym razem w innych słowach, po czym gładko przeszedł do relacjonowania najbardziej wspaniałych wydarzeń ostatnich dni. Mówił dobre parę minut, zanim zakończył zwyczajowym:

– Więc sam widzisz, jesteśmy bardzo szczęśliwi!

Część grzecznościową mieli za sobą. Adrian zaczynał się na dobre niepokoić o losy swojego spotkania. Rozejrzał się dyskretnie, lecz nigdzie nie dostrzegł Marion, choć było już grubo po umówionym czasie. Na kraciastym kocu dwie dziewczyny zajadały ze smakiem nóżki kurczaka. Nieprzyzwyczajony do ssania w żołądku, głośno przełknął ślinę. To mu nasunęło myśl, jak się uwolnić od niechcianego towarzystwa. Wszyscy wiedzieli, że głód jest nieprzyjemny i niezdrowy, więc unikali go, planując posiłki niemal co do minuty. Pora jedzenia była porą świętą. A drugą świętą rzecz stanowiły zalecenia lekarza.

– Ogromnie miło się z wami rozmawiało. Jestem zachwycony, że ten dzień przyniósł tak cudowne spotkanie, ale zbliża się moja pora jedzenia, a zamierzałem jeszcze przed posiłkiem, zgodnie z zaleceniem doktora Zukina, pospacerować kilka minut. Niestety – uprzedził ich propozycję – doktor Zukin sugeruje, żebym spacer odbywał samotnie. Ma to pomóc odczuć pełnię szczęścia po posiłku.

– Cóż za wspianiała, nowatorska terapia! Doktor Zukin to prawdziwy fachowiec! Można rzec: geniusz wśród lekarzy! – ucieszyła się Hanna. – Oczywiście, Adrianie, nie będziemy ci przeszkadzać. Fantastyczne, że nasz świat sprawia nam tak nadzwyczajne niespodzianki jak dzisiaj! Od rana czułam, że to będzie udany dzień.

– Pozdrów od nas siostrę – dorzucił Olaf zupełnie bez sensu.

Adrian wiedział, że za dwie godziny mają się z nią spotkać w Mieście. Zatem zobaczą Lamai wcześniej niż on. Grzeczność nad rozsądek. Głupi jak Maszyny. Jak jego Majordomus. Nagle ta myśl nie wydała mu się już straszna, tylko niesamowicie zabawna. Tak zabawna, że całą siłą woli musiał się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

– Do zobaczenia i bądźmy szczęśliwi! – Olaf wreszcie się uklonił.

– Bądźmy szczęśliwi! – Skinęła głową Hanna.

– Tak, bądźmy szczęśliwi – odparł znajomym Lamai.

I naprawdę w tej chwili był szczęśliwy. Nadzieja na spotkanie z Memorystami wróciła. Postanowił ruszyć w przeciwną stronę niż Hanna i Olaf, a kiedy straci ich z oczu, jak najprędzej wrócić na umówioną ławkę. Oby czekała na niej Marion! Miał ochotę biec, tak bardzo obawiał się spóźnienia, jednak wśród leniwie wypoczywających ludzi podobnym zachowaniem mógłby skupić na sobie niepotrzebną uwagę. Żałował, że ubrał się formalnie – letnia marynarka i jasne spodnie nie uzasadniały joggingu. Co innego, gdyby założył dres! Musi o tym następnym razem pamiętać. Mógł, co prawda, skorzystać z Lustra w publicznej toalecie, ale uznał, że szybciej dotrze do ławki spacerem, za to bez nadkładania drogi. Przemierzał marmurową ścieżkę nonszalanckim, swobodnym krokiem, udając, że w zamyśleniu podziwia majestatyczne płatany klonolistne, którymi obsadzono alejkę. Niezwykle, krwistoczerwone drzewa naprawdę przykuły jego uwagę. Przyjrzał się przypominającym otwartą ludzką dłoń liściom. Czasem bywały zielone, czasem żółte, teraz przybrały barwę rubinu, co oznaczało, że ich cykl właśnie dobiega końca, by rozpocząć się na nowo. Dużo dziś tej czerwieni – pomyślał. Szarawa, łuszcząca się kora sprawiała, że pień drzew był gładki i ciepły. Adrianowi skojarzył się z opuszkami palców Marion. Nie potrafił jednak sobie wyobrazić, jakie to uczucie

przesunąć dłonią po skórze drugiego człowieka. Przed jego oczami pojawił się błąd policzek rannej dziewczyny. Zawstydział się.

Kiedy wyszedł zza zakrętu, od razu ją dostrzegł. Odetchnął, by zaraz potem nabrać wątpliwości. Miała na sobie białą, prostą sukienkę i wysokie buty na obcasach. Jej włosy zostały misternie upięte, przystrojone lśniącymi w słońcu, szkarłatnymi kamieniami. Kobieta nosiła duże, ciemne okulary, a jej ręce zdobiły pobrzękujące przy najmniejszym ruchu bransolety. Podeszedł bliżej i pod warstwą makijażu wreszcie dostrzegł znajome rysy. Marion! Wyglądała cudownie. Idealnie wpisywała się w otaczający ją krajobraz. Pewnie zmieniała Majordomusa – przemknęło mu przez głowę.

– Witaj – powiedziała, rozciągając karminowe usta w grymasie, który chyba miał być uśmiechem.

– Jak się miewasz? Czy jesteś dziś szczęśliwa? – wygłosił zwyczajową formułę.

– Darujmy sobie te bzdury. Chodź!

Energicznie podniosła się z ławki, mocno pilnując uśmiechu-nie-uśmiechu, by ten przedwcześnie nie zgasł. Ruszył za nią. Kilka chwil nieśpiesznie spacerowali po Parku, niemal się do siebie nie odzywając. W końcu trafili na znaną mu platanową aleję. Rubiny we włosach Marion miały ten sam odcień, co liście otaczających ich drzew. Jej rude loki, strój, nawet karminowe usta tworzyły z otoczeniem perfekcyjną kompozycję kształtów i barw. Przyszło mu do głowy, że mógłby ją tutaj namalować. Wątpił, by się zgodziła. Rzucił okiem na odsłonięte ramię – znajdowało się zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. Dyskretnie przyjrzał się pokrytej delikatnymi piegami skórze. Zaprzagnął jej dotknąć. Czy poczułby to samo, co pierwszego dnia u Memorystów? Próbował odtworzyć emocje z chwili, w której Marion chwyciła go za nadgarstek. Nie pamiętał nic oprócz strachu i zażenowania. Samo odczucie nie mogło być jednak szczególnie przykre, skoro miał chęć je powtórzyć. Gdyby teraz wyciągnął dłoń i zupełnie świadomie, z własnej woli, delikatnie przesunął palcami po jasnej skórze? Spodziewał się, że będzie gładka jak kora platanów, tylko bardziej miękka i ciepła. Podobna do jego własnej, a równocześnie inna. Nie umiał określić, na czym ta inność miałyby polegać, ale bardzo chciał sprawdzić. Pokusa była tak silna, że omal jej nie uległ. Marion gwałtownie skrzyła w boczną alejkę i oddaliła się od niego na dobry metr. Wziął głęboki oddech. Odniósł wrażenie, jakby nagle w Parku zrobiło się potwornie gorąco. Na twarz wystąpiły mu rumieńce. Miał nadzieję, że Marion ich nie zauważy.

Nie zauważyła. Szła lekko, pół kroku przed nim, głośno zachwycając się mijanymi krzewami róż. Stwarzała pozory zwykłej przechadzki. Podążył za jej wzrokiem i

przyjrzał się imponującym krzewom: karmazynowym, herbacianym, śnieżnobiałym oraz tym w kolorze purpury. Kwiaty były wspaniałe, a w powietrzu unosił się intensywny, upojny aromat. Wszystko pewnie przez ten zapach – pocieszył się. Dziewczyna szła coraz szybciej, opowiadając o szczególnej, złotej odmianie róży damasceńskiej, która kwitnie w jej ogrodzie. Być może faktycznie miała taką różę, choć Adrian był przekonany, że Marion ani trochę nie obchodzi mijane kwiaty ani nawet te, które hodował w domu Majordomus. Trudno mu było przyzwyczać się do jej nowego wyglądu. A przecież na co dzień nie żyła pod ziemią – zaskoczyła go oczywista myśl. Musiała mieć jakiś normalny dom, w którym z kimś mieszka i jak inni ogląda spoty reklamowe, pije dobre wino, a może nawet hoduje róże. Kolejny raz zerknął na drobne, nagie ramię. Jak dla niego Marion mogłaby tak wyglądać zawsze. Jej jasna skóra była blisko. Zbyt blisko. Policzki Adriana nadal płonęły, a ciało przenikały fale gorąca. Gdyby tylko się odważył...

– No, dosyć tych spacerków. – Wskazała zaparkowany w zaułku na końcu Parku niewielkich rozmiarów statek powietrzny. – Dobrze się czujesz? – Spojrzała na niego zaniepokojona.

– Tak... tak... trochę dziś duszno... – wymamrotał.

– Chcesz o coś zapytać? – W jej oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

Pokręcił głową zawstydzony i ruszył naprzód. Gdy znaleźli się w pojeździe, wreszcie zebrał się na odwagę.

– Tak, wiem, że dziwnie wyglądam. – Nie była dotknięta, jak się tego obawiał.

– Właściwie... dla mnie poprzednio dziwnie wyglądałaś. Teraz wyglądasz... – Zawahał się, miał ochotę powiedzieć „ślicznie”, ale wydało mu się to niestosowne. – Normalnie – dokończył.

– Mylisz się, normalna byłam wcześniej. Mam nadzieję, że ta wiadomość nie zburzy twojego szczęścia. – Wybuchnęła szczerym, głośnym śmiechem.

Rzadko słyszał, żeby ktoś się tak śmiał. Właściwie nie słyszał nigdy. Marion intrygowała go bardziej, niż chciał przyznać.

– Mój podziemny wizerunek, brzydkie ciuchy, paskudna blizna to protest – opanowała się i wyjaśniła poważnie.

– Przeciwno czemu protestuje się złym wyglądem? – zapytał, też zupełnie serio.

– Przeciwno powszechnej na Planetach konsumpcji, przeciwko bezrefleksyjnej, plastikowej egzystencji. Nie mamy zamiaru w tym uczestniczyć. Od Korporacji bierzemy tylko tyle, ile konieczne dla naszej sprawy. Nie damy się omamić tanimi błyskotkami. Niechlujne ubrania, niewypielęgnowane ciała to nasz sprzeciw. Nieidealne... rozumiesz? – Nie rozumiał, ale ona kontynuowała: – Nie chcemy być

programowani przez Celestis. Nie chcemy, żeby Reklamy mówiły nam, co jest dobre, słuszne i piękne. Pragniemy sami decydować. Dlatego tak wyglądamy, kiedy jesteśmy pod ziemią. Na powierzchni upodabniamy się do innych awatarów, które mają się za ludzi... – Wykrzywiła z pogardą karminowe usta. – Żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale brzydzę się tymi ozdobami, tymi kieckami, butami! – mówiła z coraz większym zaangażowaniem. Podniosła nawet głos, co według Reguł Dobrego Wychowania stanowiło głęboki nietakt, o ile nie było ku temu naprawdę ważnego powodu. Rzeczywiście, ta dziewczyna nie miała wstydu. – Dlatego nie mogę się doczekać, aż wrócę do siedziby i wreszcie znów stanę się sobą! – wykrzyknęła na koniec, a jej szmaragdowe oczy zalśniły złowrogo.

Adrian mimo woli zauważył, że silne emocje dodały Marion urody. Teraz, w złości, była niemal piękna.

– Wybacz, nie mam prawa cię oceniać. To było bardzo niegrzeczne. – Wycofał się.

– Właśnie, że masz prawo! Każdy je ma! – zaprotestowała gwałtownie. – Przestań być taki kulturalny i poprawny!

– Kultura jest niewłaściwa? – Coraz bardziej go zadziwiała.

– Jest pożyteczna, ale nie może stać się religią. Świadomy człowiek chce być wolny. Chce oceniać, bo taki po prostu jest. Reguły Dobrego Wychowania się przydają, jednak nie mogą zmienić naszej natury. Co najwyżej... trochę odmienić – postawiła akcent na ostatnim słowie. – Natura nadal pozostanie naturą.

– To kultura nie jest naturą człowieka? – Po raz kolejny w zderzeniu z poglądami Marion czuł się zagubiony. – Jeśli ją zanegujecie, zniesiecie jej wymóg, czy nie stanie się tak, że ludzie nie będą przestrzegać żadnych norm? Nie chciałbym, żeby dajmy na to ktoś mnie dotykał! – Odruchowo posłużył się jako przykładem swoim niedawnym potajemnym, bezwstydnym pragnieniem.

– Adrianie, nie jest naszym celem, by ludzie w ogóle nie przestrzegali norm, tylko by przestrzegali ich świadomie.

– Po co?

– Żeby byli wolni. I mogli sami dokonywać właściwych wyborów.

Milczał. Nie mógł pojąć, czemu wolność jest dla Memorystów aż tak ważna. Miał nadzieję, że w końcu mu to wyjaśnią.

– A co, jeśli ktoś mnie jednak dotknie? Jeśli dokona niewłaściwego wyboru?

– Jeśli cię dotknie bez twojej zgody, poniesie karę. Tak to rozwiązywano wieki temu.

– Jaką karę?

– Zależy...

- Od czego?
 - Czy mocno komuś zaszkodzi. Jeśli jego wybór będzie bardzo zły, może ponieść nawet karę śmierci.
 - Terminacji?
 - Och, nazywajmy rzeczy po imieniu! Śmierć! To się nazywa śmierć.
 - Powiedziałaś... jeśli mnie dotknie bez mojej zgody... Czemu miałbym się zgadzać na coś takiego? – Każda jej odpowiedź budziła kolejne pytania.
 - W dotykaniu drugiego człowieka nie ma nic złego. Kiedyś ludzie to bardzo lubili.
 - Lubili dotykanie? – Nie dowierzał własnym uszom. Ta dziewczyna chyba oszalała!
 - Tak, lubili – potwierdziła spokojnie. – Nazywali to seksem.
 - To jakiś rodzaj zabawy?
 - Coś w tym stylu. Seks sprawiał ludziom przyjemność. I służył prokreacji.
 - Prokreacji?
 - Płodzeniu potomstwa, przedłużaniu ludzkiego gatunku...
- Marion wprowadzała coraz większy mętlik do jego umysłu.
- Dotykali się, żeby sprowadzić na świat nowego człowieka – wyjaśniła, widząc, że Adrian wciąż nie rozumie.
- Znów, zamiast odpowiedzi, mnożyły się pytania. Po raz kolejny poczuł, jakby z jego oczu zdjęto czarną zasłonę. Nagle coś przyszło mu do głowy. Gdyby uległ niedawnej pokusie... i dotknął Marion... czy też sprowadziliby na świat nowego człowieka? Czy tak właśnie powstała Ella, jego córka? Dotychczas uważał Przybycie za coś z jednej strony naturalnego, z drugiej – magicznego. Bywał artystą, więc choćby z tego względu pojawianie się nowego mieszkańca na Planetach uznawał za najwyższy akt tworzenia. Teraz już wiedział, że stoi za tym zwykły algorytm, Szablon. Jednak to, o czym opowiadała Marion, wyglądało na prawdziwy cud.
- Marion? – Coś jeszcze go zaniepokoiło.
 - Tak?
 - Powiedziałaś, że Reguły Dobrego Wychowania nie mogą stać się religią.
 - Tak uważam. Uważamy – poprawiła się.
 - Co to jest religia?
 - Och... to też nie jest proste. Nie da się tego wyjaśnić w pięć minut. Jesteśmy na miejscu. – Statek osiadł łagodnie na dnie jaskini.
- Ile jeszcze niewiadomych go czeka? Czy zdoła je wszystkie udźwignąć?

Ian ucieszył się na jego widok, zupełnie jakby nie mógł się doczekać spotkania. W słabo oświetlonym kącie pokoju Adrian dostrzegł jeszcze czyjąś sylwetkę. Z początku myślał, że to Philippe – już miał skinąć na powitanie, kiedy mężczyzna energicznie ruszył naprzód. Po chwili miał przed sobą parę niemal czarnych oczu, głęboko osadzonych w szczupłej twarzy o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i spiczastym podbródku. Niezbyt wysoki, lecz budzący respekt człowiek był ubrany w proste, białe szaty, trochę podobne do noszonych przez Kapłanów, a na stopach miał zużyte, skórzane sandały.

– Hamza Maalouf – przedstawił się, lekko pochylając głowę. W przeciwieństwie do White'a nie sprawiał wrażenia osoby zadowolonej z wizyty Adriana.

– To nasz specjalista od retrospekcji. I doskonały informatyk – pośpiesznie wyjaśniła Marion, wyczuwając narastające napięcie.

W niczym już nie przypominała atrakcyjnej kobiety z Parku. Znów miała na sobie wyświechtane spodnie i burą kurtkę z kapturem, a na nogach ciężkie buciorę. Jeszcze niedawno misternie upięte włosy sterczały teraz na wszystkie strony, zapewne na znak protestu, a drobną, bladą twarz szpeciła czerwonawa blizna. Kiedy zdążyła się przebrać? Nawet nie zauważył. Poznał jej pobudki, lecz wciąż ich nie rozumiał. Co, u licha, im szkodziło piękno? Obnoszenie się z brzydotą wydawało mu się mało poważne. Nie był przekonany, czy ci ludzie to prawdziwi wojownicy, czy znudzona życiem banda przebierańców. Różnił się od nich, to pewne. White dziś włożył przybrudzoną, jasnobezową, wykończoną frędzlami kurtkę, flanelową koszulę w kratę i niebieskie, porządnie wytarte na kolanach dżinsy. Adrian nie bez zdziwienia zauważył, że uszy białowłosego mężczyzny są przystrojone dziwacznymi, długimi kolczykami.

Memorysta wyłapał jego niezbyt dyskretne spojrzenie.

– To tradycyjny strój, pochodzący stamtąd. Oczywiście tylko kopia. – Wskazał na fotografię wodospadu z oświetlającym go jednym księżycem. – A to – dotknął kolczyka – pióra. Nasi przodkowie często się nimi ozdabiali.

– Znam pióra... widziałem je wiele razy.

Ian uśmiechnął się gorzko.

– Stroje wybierasz w Lustrze, potrawy zamawiasz u Majordomusa. Jesz krewetki, ryby... nosisz futra i skórzane buty... Wiesz, że te rzeczy są, ale nie masz pojęcia, czym są. Kiedyś, w dawnym świecie, było inaczej. Jeśli coś chciałeś mieć, musiałeś to zdobyć. Pióra na przykład pochodziły od ptaków, skóry od innych zwierząt.

– Tych, które widać na fotografiach?

– Podobnych.

– Jak je pozyskiwano? – Nie był pewny, czy chce to usłyszeć.
– Zdejmowano je ze zwierząt, wyprawiano, doskonalono i powstawały z tego ubrania, biżuteria, inne rzeczy.

– A te zwierzęta... – Jego wyobraźni ukazał się tak makabryczny obraz, że aż się zawahał. – One chodziły... bez skóry?

– Och nie! – Ian pokręcił głową. – Wcześniej je zabijano.

– Terminowano? – Upewnił się.

White potwierdził.

Adrianowi zaszumiało w uszach. Znowu rzeczywistość rozsypała się jak zniszczona przez złośliwe ręce układanka. Zabijano stworzenia? I do tych obyczajów chcą wrócić? Niemożliwe, żeby tęsknota, którą czuł, a którą przecież postrzegał jako coś czystego, nadającego życiu sens, zaprowadziła go w takie miejsce! Do takich ludzi! Zakręciło mu się w głowie.

– Mówiłem, że to zły pomysł. – Usłyszał twardy głos Hamzy.

– Spokojnie, dajmy mu chwilę. Dowiedział się wiele w bardzo krótkim czasie. Chodź, usiądź tutaj, napij się wody. – Ian delikatnie pokierował Adriana w stronę fotela, jednocześnie podając mu szklanekę.

– Nie wiem, czy go włączać. Nie ufam mu.

– Nie mamy wyjścia. – Głos Iana przybrał na sile. – Od lat szukamy Obywatela Zero.

– To nie on. – Rysy Hamzy stężyły, a ciało spięło się jak do skoku.

– Musimy to sprawdzić. Mamy coraz mniej czasu. Kwestia miesięcy, może nawet tygodni, kiedy Celestis uruchomi nowy system zabezpieczeń. Underhill mówił, że jutro rano robią pierwsze testy. Znasz się na Systemie, Hamza. Wiesz dobrze, że od pierwszych testów do wdrożenia poprawek nie minie wiele dni. Nie stać nas na kolejne lata poszukiwań. Właściwie... Adrian jest naszą ostatnią szansą.

– A jeśli właśnie w tej chwili marnujemy cenny czas, zamiast szukać dalej?

– Dobrze rokuje. Lepszego nie mieliśmy. Dziś ty weźmiesz go w obroty. Proszę cię tylko, żebyś sprawdził. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, zrobimy po twojemu.

– Przez pośpiech łamiemy zasady. To może nas zgubić. – Oczy Hamzy gniewnie lśniły w półmroku.

– Wiem... – Ian ciężko westchnął – wiem i bez twojego pouczenia. Biorę to na siebie. Na moją odpowiedzialność.

– A jeśli się nie uda? Co z nim?

Zaległa złowroga cisza.

– Jakoś to załatwimy – odparł cicho White.

Nagle Adrian zrozumiał, że znalazł się w potrzasku. Zadał się z niebezpiecznymi ludźmi, którzy poświęcą wszystko, byle osiągnąć cel. Poświęcą także jego. Mógł jedynie mieć nadzieję, że cel jest szlachetny, a on sam spełni ich oczekiwania. Że będzie mu dane wraz z nimi dokończyć dzieła. I że to dzieło będzie dobre.

– Adrianie... – Ian odwrócił się gwałtownie, jakby dopiero przypomniał sobie o jego obecności, o przerwanej z nim rozmowie. – Kiedyś na świecie panowały inne reguły. Zabijanie nie zawsze było złe. Czasem stawało się koniecznością.

Pewnie Celestis tym samym tłumaczy terminację... – przemknęło mu przez myśl.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał słabym głosem.

– Nic groźnego. Hamza weźmie cię na testy. Będziesz w domu na kolację. – Siwowłosey rozciągnął blade usta w uśmiechu, chcąc mu dodać otuchy. Bez powodzenia.

– Nie o to pytam. – Adrian czuł, jak strach podchodzi mu do gardła. – Co ze mną zrobicie, jeśli okażą się nieprzydatny?

– I tak nam bardzo pomogłeś. Jesteś kopalnią wiedzy o Starym Świecie. Sam nie wiesz, ile wspomnień masz w głowie. Podejrzewam, że więcej niż ktokolwiek na Planetach. Pomożemy ci je uwolnić.

– I będę mógł odejść?

Memorysta zignorował pytanie.

– Jest coś jeszcze... znacznie ważniejszego – mówił dalej. – Błąd, którym jesteśmy obarczeni to nie jedyna dziura w Systemie. Istnieje dużo większa luka. Wierzymy, że uda się ją namierzyć.

– To ja, tak? Ja mam być waszą luką... – Wszystko stało się jasne. – Do czego mam posłużyć?

– Jeśli się uda, umożliwisz nam powrót na Starą Planetę. Do życia zgodnego z naturą. Do uczuć i emocji, jakich tu nie znamy, jakich nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Do tych, którzy tam zostali, a teraz wracają w naszych wspomnieniach. Dzięki tobie będziemy mogli się przekonać, jak naprawdę wygląda Stary Świat. Bez tych wszystkich sztucznie tworzonych zdjęć! – Wskazał na fotografie, a jego oczy lśniły niezdrowym blaskiem.

– A jeśli to zniszczy cały System? Zniszczy świat?

– Świat przetrwa. Tylko nie będzie już taki sam. Będzie lepszy. Prawdziwy. Adrianie... nie widzimy szklanej ściany, ale ona wciąż istnieje. Jesteśmy więźniami chorego umysłu Wolfa. System jest sztuczny, zły. Trzeba go zniszczyć. To jedyne wyjście.

– Nie mogę odmówić? Nie pozwolicie mi odejść, prawda? – Wiedział, co usłyszy. Stał się ich narzędziem. Zbyt cennym, żeby wypuścili je z rąk.

– Nie będziesz chciał. Zaufaj mi. Zresztą, miałeś wybór. I już go dokonałeś. Wtedy kiedy nas odnalazłeś.

7

Wreszcie nadszedł dzień odpoczynku. Po wielu godzinach badań był kompletnie wykończony. Ostatnie dni spędził w laboratorium, cierpliwie poddając się żmudnym analizom. Najnowsze testy różniły się od poprzednich. Nie sprawiały mu bólu, ale co chwilę tracił przytomność, by za moment znów ją odzyskać. I tak w kółko – po trzy, cztery godziny, z krótką przerwą na regenerację. Czuł się jak po opuszczeniu najgorszego urządzenia z najbardziej diabelskiego wesołego miasteczka. Jego twarz przybrała szarawy odcień, miał napady mdłości. Schudł od ciągłego poszczenia, co dodatkowo utrudniało sprawę. Teraz przed Lamai, Carlosem, a nawet Majordomusem ukrywał nie tylko swoje potajemne wyprawy, lecz także pogarszający się stan organizmu. Gdyby się zorientowali, musiałby znów powitać doktora Zukina. Dlatego zaczął się inaczej ubierać. Lamai wyjaśnił, że zainteresował się Oświeconym Kościołem Celestis. Nowe hobby miało jeszcze jedną zaletę: swobodnie mógł wychodzić z domu pod pretekstem Zgromadzeń. Wiedział, że siostra jest zbyt zajęta rozrywkami, by do niego dołączyć. Carlos natomiast od jakiegoś czasu o nic nie pytał, co Adriana nawet trochę dziwiło. Lamai, zgodnie z przewidywaniami, pochwaliła jego pomysł. Głęboko wierzyła w uzdrawiający wpływ Kościoła Celestis, a zwłaszcza – w moc związanych z nim Reklam.

Wybór Oświeconego Kościoła nie był przypadkowy. Adrian dobrze to przemyślał. Członkowie odłamu nosili bajecznie kolorowe, długie szaty, golili głowy, twarze i czaszki malowali w tężowe, spiralne wzory. Stroje symbolizowały piękno i różnorodność wszystkich Planet, zgodnie z założeniami Oświeconych. Ich Kościół jednoczył wszystkich, bez względu na to, gdzie mieszkali i jak żyli. W myśl doktryny nawet Carlos, choć omijał świątynie z daleka, należał do Oświeconego Kościoła. Z tą różnicą, że nie wstąpił jeszcze na ścieżkę Wielkiej Iluminacji, co zdaniem świadomie praktykujących było jedynie kwestią czasu. Oświeconych często widywano na ulicach miast, gdy grając na swoich bębenkach, tańcząc do wystukiwanego rytmu i podśpiewując święte pieśni, namawiali przechodniów, by ci poddali się rytuałom, które wprowadzą ich na łono Kościoła. Gnani ideą równości oraz zjednoczenia próbowali w swoje szeregi wciągnąć także Reklamy, jakby zupełnie nie widzieli różnicy między nimi a sobą. One zaś, chcąc za wszelką cenę zadowolić klienta i

wcisnąć mu kilka najnowszych produktów, z entuzjazmem uczestniczyły w obrzędach. W podstawowym Kościele Celestis, nieoświeconym, podobne rzeczy się nie zdarzały. Reklamy spełniały tam swoją funkcję, nikt jednak nie traktował ich na równi z wiernymi. Najważniejsze, że nowa pasja Adriana ucieszyła Lamai. A jemu, dzięki rytualnej szacie, łatwiej było ukrywać postępujące wyniszczenie organizmu. Lustro, na szczęście, podobnie jak Carlos, pytań nie zadawało.

Wyszedł na taras, dziś skąpany w otulającym dom Neumannów ciepłym blasku. Od tygodnia pani Neumann eksperymentowała z nowym wystrojem posiadłości. Adrian nigdy nie wiedział, jaki widok zastanie w dolince. Rano rezydencję spowijały najdelikatniejsze muśliny oraz ręcznie malowane jedwabie, w południe przypominała sen artysty – wariata, który ochlapał ściany chaotyczną feerią barw, by na koniec przeistoczyć się w wyszukane dzieło ultranowoczesnej architektury, stworzone z jaskrawych, sztucznych tworzyw, stalowych lin i chropowatego betonu. Dziś gospodyni wróciła do dawnego, wykwintnego stylu, pełnego miedzianych, roślinnych ornamentów, zdobionych łagodnymi liniami bursztynu, rudawymi karneolami, mnóstwem skrzących się w słońcu cyfrowych granatów oraz połyskujących pięknym szlifem pomarańczowych topazów. Do tarasu docierała złotawa poświata i czerwone refleksy – z oddali można było odnieść wrażenie, że dom Neumannów płonie.

Wraz z lekką, poranną bryzą napływał do ogrodu zapach świeżej wanilii i kokosów. Adrian opadł z ulgą na leżak. Najbliższe dni były wolne od testów, więc nie miał nic specjalnego do roboty. Postanowił, że kiedy trochę odpocznie, pojedzie do Miasta. Chciał sprawdzić, jak teraz, bogatszy o nowe doświadczenia i wiedzę, będzie postrzegał otaczający go świat. Za tydzień miał się spotkać z June. Kiedy został jednym z Oświeconych, mogli umówić się gdziekolwiek. Nikogo nie dziwił widok pstrokaty odzianej mężczyzny z ogoloną głową, prowadzącego ożywione rozmowy z obcymi. Oświeconych traktowano podobnie jak Reklamy – jako sposób spędzania czasu. Czy raczej – czasu zabijania, jak teraz myślał Adrian. Wiele się w nim zmieniło przez ostatnie tygodnie, dzięki rozmowom z White'em, ale także dzięki nowej lekturze. Kiedy z dumą zaprezentował zdobyty w Bibliotece słownik, Ian pokazał mu ogromny księgozbiór Memorystów. Adriana z jednej strony zachwyciła możliwość obcowania z dziełami, na które nie mógł liczyć w Bibliotece. Z drugiej – poczuł się rozczarowany, tak bardzo uwierzył, że jego odkrycie okaże się przełomem. W kolekcji Memorystów znalazł kilkanaście słowników podobnych do „Słownika Języków Dawnych” oraz wiele zupełnie innych. Był szczerze dotknięty lekceważącym śmiechem, którym Hamza skwitował jego zdumienie. Od początku miał wrażenie,

że ten ponury człowiek za nim nie przepada. Do końca przeciwny odbywającym się testom Maalouf został zwyczajnie przegłosowany.

Tego dnia, kiedy Adrian zobaczył tajny zbiór, spotkała go jeszcze jedna niespodzianka. Dostał od Iana bardzo dziwną księgę – ozdobnie oprawioną, ze złocnymi brzegami, wydrukowaną na cieniutkim jak bibuła papierze. Biblia – przeczytał tytuł. Nie pozwolono mu jej zabrać do domu, jednak przeglądał Biblię zawsze, kiedy tylko charakter testu pozwalał na czytanie, co zdarzało się dość często. Zazwyczaj spędzał długie godziny, siedząc na krześle lub leżąc na łóżku, połączony z wydającymi monotonne dźwięki urządzeniami, które przesyłały dane do rozstawionych w całym laboratorium ekranów. Niewiele pojmował, zarówno z tych testów, jak i z czytanej książki, lecz instynktownie wyczuwał, że zrozumienie jednego oraz drugiego jest ważne. Dlatego pilnie i z mozołem gromadził wszelkie informacje.

Pewnego dnia trafił na zdanie: „I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły”, co przypomniało mu opowieść o genezie Planet, o Wolfie i jego „Edenie”. Czy Biblia mogła mieć z tym jakiś związek? Niecierpliwie czekał na spotkanie z June. Liczył, że lekarka rozwieje wiele wątpliwości i co najważniejsze, wyjaśni wreszcie jego rolę w szalonym planie Memorystów. Czas niemiłosiernie się dłużył. Musiał go czymś wypełnić, zabić, co wcale nie było proste, dużo trudniejsze niż kilka miesięcy wstecz. W tej chwili każda czynność, która nie dotyczyła planu, wydawała się Adrianowi pozbawiona sensu. Nic innego nie potrafiło przyciągnąć ani zatrzymać jego uwagi, ale musiał udawać entuzjazm wobec codziennego życia, by Lamai znów nie wezwała Zukina. Pobyt w Klinice stałby się końcem wszystkiego. Teraz, kiedy był tak blisko, nie mógł do tego dopuścić.

Póki odczuwał fizyczne zmęczenie, czekanie nie było jeszcze trudne. Wiedział jednak, że wkrótce odzyska siły i coraz ciężej będzie mu coś się zająć. Ratunkiem mogła się okazać wycieczka do Miasta. A może nawet gdzieś dalej? Czemu nie miałby odwiedzić innych Planet? Przywołał Majordomusa i kazał mu przynieść holofoldery, reklamujące rozmaite turystyczne atrakcje. Służący aż podskoczył z radości. Moduł emocji Maszyny pracował prawidłowo.

– Ach, pan zamierza podróżować! Ach, doskonale, doskonale! Pani Lamai się ucieszy. A pan Carlos! On to dopiero będzie zachwycony! Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Już biegnę. Już niosę! W tej sekundzie! – trajkotał, pędząc w stronę ganku, gdzie do specjalnej skrzynki codziennie dostarczano nowe holoulotki.

Po kilku minutach na stoliku znalazły się zamówione przez Adriana potrawy: grillowane ostrygi, okazały homar oraz pokrojone w fantazyjne kształty owoce –

wszystko rozłożone na trzy porcje, w tym jedną mniejszą. Na koniec Majordomus zestawił ze srebrnej tacy lśniący kubełek z lodem, w którym pobrzękiwała butelka znakomitego Krug Grande Cuvée. Adrian poczuł się naprawdę głodny. Dość łatwo wyrzucił z głowy prześladowający go obraz ukrytych znaczników – dziś nic nie było w stanie odebrać mu apetytu. Mógł z czystym sumieniem zrobić sobie prawdziwą ucztę, która smakowała tym lepiej, że dawno nie zdarzyło mu się najeść do syta. Rozparł się wygodnie na leżaku, przyciągnął bliżej talerz i zaczął przerzucać holofoldery. Czego tam nie było! Jedne krzyczały kolorowymi napisami: „Znajdź swój raj! Pozwól nam się rozpieszczać! Nic nie musisz – wszystko możesz!”. Inne natomiast zachęcały, by zdobyć to, co jest do zdobycia, przełamać własne granice, przeżyć przygodę życia. W tle kusily: lazurowe morze, luksusowe hotele, ośnieżone szczyty gór. Reklamowe slogany nie wzbudziły w nim nawet odrobiny zaciekawienia którymkolwiek z tych cudownych miejsc. Wystarczyło złożyć zamówienie, żeby dostać na tacy całe to bogactwo. Każda z podróży była idealna, dokładnie taka jak w holofolderze. Ruszanie się z domu, by zobaczyć to, co widział na setkach filmów, co mógł w każdej chwili poczuć, ustawiając na odpowiedni program klimatyzator, zawsze wydawało mu się pozbawione sensu. Choć po testach coś się zmieniło – zaczął marzyć o podróży, lecz nie do miejsc z kolorowych holofolderów. Chciał zobaczyć Stary Świat.

Czasem się obawiał tych nowych pragnień. A jeśli jaskinia Memorystów to Klinika Celestis? Jeśli właśnie dobrowolnie poddaje się leczeniu, wierząc w jakąś ważną, tajną misję? Nie mógł tego wykluczyć, jednak to nie był odpowiedni czas na wątpliwości. Jeżeli faktycznie jest poddawany generacji pragnień, to po zakończeniu procesu i tak niczego nie będzie pamiętał. Chyba że uznają jego przypadek za beznadziejny, wtedy czeka go terminacja. Tej ostatniej podróży nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Od jakiegoś czasu nie miał wizji. Nie wiedział, czy wiąże się to z ciągłym poszczeniem, czy może z testami. Tęsknił za Amy i Ellą. Tak bardzo się bał, że nigdy więcej ich nie zobaczy. Musiał je odnaleźć, choćby to spotkanie miało się okazać ostatnią rzeczą, której doświadczy.

O Nowej Dzielnicy usłyszał przypadkiem. Szeptali o niej wierni podczas Zgromadzenia, ale nie spotkał nikogo, kto by ją odwiedził, co dodatkowo podsyciło jego ciekawość.

Nie docierały tam taśmy transportowe, zdecydował się więc na kolej podziemną. Szczelnie owinięty barwną szatą, zajął miejsce w jednym z niedużych, jasno

oświetlonych wagonów. Wybierając fotel, starannie zadbał, by nie usiąść w sąsiedztwie Reklamy i mieć dobry widok na współpasażerów. Wagon nie był szczególnie zatłoczony. Znajdowało się w nim piętnaście, najwyżej dwadzieścia osób. Część siedziała w milczeniu, zapatrzona w podręczne ekrany – oglądali bloki reklamowe. Dwie kobiety ściszym głosem prowadziły rozmowę. Prawą stronę zajmowała rozbawiona grupka turystów, otaczająca hologram Przewodnika, który opowiadał o zaletach podmiejskiego Aquaparku. Pozostali śledzili informacje wyświetlane na szybach wagonu. Po drugiej stronie, w samym rogu, siedział mężczyzna w białej koszuli, zamszowej kamizelce i wysokich butach, których czubki wykończono srebrnym metalem. Stojem nieco przypominał White'a. Na głowie nosił beżowy kapelusz. Obok niego spoczywała elegancka teczka na dokumenty, oklejona emblematami linii powietrznych. W dłoni trzymał damską parasolkę – granatową w białe grochy. Adrian przez chwilę sądził, że nieznajomy należy do prowadzonej przez Przewodnika wycieczki, ale cała grupa wysiadła na kolejnej stacji, mężczyzna zaś pozostał w swoim kącie, nieudolnie odpierając ataki czarnowłosej, krzykliwe ubranej Reklamy. Te w najbardziej kiczowatych strojach zapraszały do domów gier i były wyjątkowo natrętne. Kapelusznik wyraźnie nie radził sobie z nachalną kusicielką. Adrianowi zrobiło się go żal, więc wstał i ruszył w ich kierunku. Zanim zdążył się odezwać, Reklama, co było dość niezwykle, uciekła w popłochu w najdalszy koniec wagonu.

– Witaj, Oświecony. I bądź szczęśliwy! – uprzejmie przywitał się kapelusznik, choć wcale nie wyglądał na zachwyconego.

Teraz Adrian zrozumiał – kompletnie zapomniał, że nosi swoje kościelne szaty. Życie duchowe miało pierwszeństwo w promocji. Kto jak kto, ale Reklama dobrze o tym wiedziała – wszystkim wbudowano Wewnętrzny Regulamin Działu Generacji Pragnień. Jeszcze jedna zaleta nawrócenia! Pogratulował sobie sprytu i przyjrzał się bliżej nieznajomemu. Ten burknął coś pod nosem, co Adrian zrozumiał jako „z deszczu pod rynnę”. Nie był jednak pewny, więc zapytał.

– Cóż, dopiero co uwolniłem się od Reklamy, a teraz ty – odparł mężczyzna.

– Ja?

– No przecież będziesz mnie nawracał? – Nieznajomy spojrzał na niego podejrzliwie.

– Ach... tak... Będę próbował... – Uśmiechnął się szeroko, licząc, że wyszło to wystarczająco naturalnie. Znów popełnił błąd. Po raz drugi w ciągu kilku minut. Nie powinien był w ogóle reagować na tę całą sytuację, ale skoro już się stało, jako Oświecony oczywiście musiał nawracać.

– Wolę nie – wyszeptał kapelusznik.
– Rozumiem cię doskonale! Och, jakże ja dobrze cię rozumiem! Ale pozwól sobie przypomnieć, bracie mój, że nie jestem Reklamą. Nie możesz mnie oddalić, jak ja oddaliłem tę biedną Maszynę. Zresztą, po cóż miałbyś to czynić? Przynoszę ci wszak nieskończone szczęście, pokój i radość – klepał formułki wprost z kościelnych ulotek, dbając, zgodnie ze zwyczajem Oświeconego Kościoła, by jego słowa brzmiały wystarczająco górnolotnie.

– Nie potrzebuję.
– Czego, bracie? Szczęścia? Pokoju? Czy radości?
– Niczego.
– Niczego nie pragniesz? Jakżeż to możliwym jest? Azaliż odpowiedź, której udzieliłeś, powinna mnie niepokoić? – Adrian wiedział, że wystraszy mężczyznę. Nie chciał tego, lecz nie było już odwrotu.

Kapelusznik pobladł. Nie pragnąc szczęścia, łatwo było trafić do któregoś z ośrodków terapeutycznych, o czym Adrian wiedział najlepiej. Ponownie zrobiło mu się żal mężczyzny, jednak by wyglądać wiarygodnie, musiał się zachowywać jak członek Oświeconego Kościoła.

– Czy chciałbyś może o tym porozmawiać? – Przybrał ciepły ton, jakiego go uczono na szkoleniach z duchowego marketingu. – Nie ma, bracie, problemów, których Celestis nie potrafiłaby rozwiązać. Albowiem wielka jest moc Prezesa Założyciela Thomasa Wolfa i Zarządu Jego! Zdaj się na mądrość Wielkiej Iluminacji, a nigdy nie dosięgnie cię Choroba!

– Przepraszam, Oświecony. Wszystko w porządku. Po prostu jestem skromnym człowiekiem, rzadko bywam w Mieście. I ta Reklama... – Wskazał podbródkiem na kulącą się w kącie postać, posłusznie czekającą na swoją kolej. – Trochę mnie zdenerwowała.

– Zrozumiałe, o nieznajomy! Albowiem siostry nasze, Reklamy, są nader gorliwe i pracowite. – Adrian zauważył, że coraz łatwiej mu używać napuszonego, wyszukanego języka. – Ale pełnią potrzebną i ze wszech miar chwalebną funkcję. Albowiem wiadomym jest, iż opuszczona przez Reklamy ludzkość nie trafiłaby na słuszną drogę pragnień. Kościoły są mocno wspierane przez Światowy Program, którego autorem jest sam Prezes Założyciel Thomas Wolf – tu skłonił na chwilę w pokorze głowę – a którego to Programu jakże istotną część stanowią właśnie owe, absolutnie cudowne, siostry nasze. Oświecony Kościół Celestis, bracie, którego mam zaszczyt być wiernym sługą, uważa, iż wszyscy jesteśmy równi. I wszyscy do Oświeconego Kościoła należymy. Ty, owa Reklama, ja, a nawet ci, którzy nigdy być

może o nas nie słyszeli. To wielka idea! Wielka moc! Tylko Najjaśniej Oświecony rozumie w pełni jej głębię. Dlatego nie lękaj się mądrości Kościoła, nieznajomy bracie! Nie zamartwiaj się, jeśli nie pojmujesz wielkości myśli Jaśnie Oświeconego. Nawet my, skromni wierni i świadomi wyznawcy nie zawsze ją pojmujemy.

Nieznajomy odwrócił twarz, spojrzął w jakiś punkt przed siebie i zniechęcony wypalił:
– Przecież sam w to nie wierzysz.

Adrian poczuł, jak przez jego ciało przepływa fala gorąca. Człowiek, który tak odważnie wypowiada ryzykowne prawdy jest albo szalony, albo... to jeden z nich, z tych, co pamiętaj! Już miał na końcu języka pytanie, kiedy przysłała mu do głowy trzecia możliwość: to mógł być prowokator. Ian go przestrzegął – podobno wysyłano ich między ludzi, żeby gromadzili informacje. Serce ścisnęło mu się na widok nadziei pomieszanej ze strachem, jaka malowała się w oczach nieznajomego. Jeśli kapelusznik nie jest prowokatorem, musi w tej chwili przeżywać prawdziwe katusze. Tak jak kiedyś Adrian po omacku szukał odpowiedzi, tak być może szuka ich teraz ten biedny człowiek. I podobnie jak on sam, wiele ryzykuje dla poznania prawdy.

Z trudem opanował chwilę słabości, nie poddał się współczuciu. Nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność. Nie teraz. Nawet kosztem strachu nieznajomego. Wreszcie pociąg dojechał do kolejnej stacji. Adrian pożegnał się zwyczajowym „bądź szczęśliwy” i nie patrząc więcej na kapelusznika, opuścił wagon. Był na siebie zły. W niedługim czasie trzykrotnie naraził ich misję. Za nic w świecie nie chciałby okazać się słabym ogniwem, które zniszczy marzenia tylu ludzi... jego własne marzenia.

Nowa Dzielnica znajdowała się jakieś kilkaset metrów od stacji kolejki. Szybkim krokiem wszedł w jedną z wąskich uliczek. Nie było w niej nic nadzwyczajnego, ale tradycyjne, wymalowane na pastelowe kolory kamienice dawały poczucie bezpieczeństwa. Miał sporo czasu, więc pośpiech był niezrozumiały, jednak nie potrafił zwolnić, spacerować, napawać się pięknym dniem oraz urokiem okolicy. Chciał się szybko oddalić od stacji, jakby ścigała go obawa, że nieznajomy ruszy za nim w pogoń. Zatrzymał się przed witryną małej cukierni i rzucił okiem w kierunku, z którego przyszedł. Uliczka była pusta, co go na chwilę uspokoiło, ale już po kilku krokach znów przyspieszył. W ostatnich tygodniach tak często dręczył go niepokój, że nie umiał się odprężyć. Wędrówki po mieście przestały być spacerami, a stały się gonitwą. Czy może raczej ucieczką przed pułapkami własnego umysłu? Był jak ktoś zawieszony w czasie, a właściwie – czasu pozbawiony. Nie potrafił wygodnie się rozgościć w terażniejszości, prawie nie miał przeszłości, a przyszłość jawiła mu się jako nieznanne, pełne niebezpieczeństw terytorium.

Odgonił natrętne myśli i przyjrzał się uważniej wielkiemu napisowi „Nowa Dzielnica”, zdobięcemu solidną, udekorowaną finezyjnymi, metalowymi kwiatami bramę. Litery były nieproporcjonalnie wąskie i dość kanciaste, co kontrastowało z łagodnymi, roślinnymi motywami poniżej. Już to wydało się Adrianowi niezwykle, ale jeszcze dziwniejsza była sama obecność bramy oraz okalającego Dzielnice, zbudowanego z nieprzejrystego, matowego tworzywa, wysokiego na kilka metrów ogrodzenia. Nie rozumiał, czemu architekt dołożył tak wielkich starań, żeby zabezpieczyć Dzielnice przed wzrokiem ciekawskich.

Podszedł do umieszczonej nieopodal, niewielkiej kamery, słusznie się domyślając, że po drugiej stronie znajdzie Maszynę do Identyfikacji. Miłym, damskim głosem zaprosiła go bliżej. Zrobił jeszcze kilka kroków i stanął, cierpliwie czekając, aż brama się otworzy. Nic takiego nie nastąpiło, natomiast z głośników popłynął wypowiedzany tym samym głosem komunikat:

– Witamy przemilego zwiedzającego. Uprzejmie informujemy, że została jeszcze godzina, siedemnaście minut i osiem sekund swobodnego dostępu do obiektu. Potem System zamknie bramę dla zwiedzających. Następną wizyta będzie możliwa jutro o ósmej rano. Do ostatecznego zamknięcia obiektu dla zwiedzających zostało łącznie siedemnaście godzin, siedemnaście minut i jedna sekunda. Możesz być jedną z ostatnich osób, które odwiedzą Nową Dzielnice. Musisz czuć się bardzo szczęśliwy, że zdążyłeś na czas.

Był coraz bardziej skonsternowany. Nikt na Planetach nie słyszał o presji czasu. Nikt z wyjątkiem Memorystów. A przecież obiekt był tworem Celestis.

– Maszyno... – Postanowił się upewnić. – Czy to oznacza, że po tych siedemnastu godzinach nie będę mógł tu wejść?

– Tak. Po siedemnastu godzinach, piętnastu minutach i czterech sekundach od teraz nie będzie można zwiedzać Nowej Dzielnicy.

– Dlaczego?

– Nie umiem odpowiedzieć. Zachęcam, by skierować pytanie do Biura Obsługi Klienta Celestis. Czy podać kontakt?

– Nie, dziękuję – odparł.

Pytania kierowane do Biura Obsługi Klienta Celestis znikwały w korporacyjnej studni bez śladu. Zgodnie z instrukcją Maszyna miała obowiązek poinformować o podobnej możliwości, lecz Adrian nie znał nikogo, kto by otrzymał odpowiedź. Dotychczas sądził, że tak jest i już. Nie zastanawiał się czemu. Po prostu: nauczony doświadczeniem, rezygnował z kontaktu. Teraz jednak podejrzewał, że i ta, pozornie niewinna informacja ze strony Maszyny jest podstępem. Nie miał złudzeń, że

Korporacja, choć ignoruje pytania, starannie je kolekcjonuje. W końcu co lepiej zdradzi wątpiących? Uśmiechnął się do siebie – Thomas Wolf może i jest sprytny, ale on będzie sprytniejszy! Nie da się zaskoczyć głupiej Maszynie. Był naprawdę dumny z własnej przenikliwości. Aż żałował, że Ian go nie widzi.

– Chcę zwiedzić Nową Dzielnicę – wyraził życzenie i przyzwyczajony do natychmiastowego spełniania jego żądań ruszył z miejsca, by w ostatniej chwili spostrzec, że brama się nie uchylila. – Maszyno! Chcę wejść! – rozkazał ponownie, czując, jak krew napływa mu do głowy. Nie znał tego uczucia. Nigdy wcześniej jego polecenie nie zostało zignorowane. No może raz, przez Majordomusa, kiedy odwiedziła go June, ale to była zupełnie inna sytuacja.

– Przykro mi. Procedura zwiedzania stanowi, że muszę ci zadać kilka pytań.

– Pytaj! – rzucił ostrym głosem, ostentacyjnie okazując Maszynie niezadowolenie. Zaraz jednak sobie uświadomił, że jako Oświecony nie powinien jej źle traktować. – Proszę bardzo... – dodał łagodniejszym tonem.

Nie pamiętał, żeby gdziekolwiek poza siedzibą Memorystów widział tyle ograniczeń.

– Pytanie pierwsze: identyfikacja. Proszę podać pełne imię, nazwisko oraz imiona braci i siostr.

– Adrian Lawson. Mam jedną siostrę Lamai i brata Carlosa.

– Proszę podać czas, jaki minął od Przybycia.

Spojrzał na wyświetlacz na prawym nadgarstku.

– Rok, cztery miesiące, dziewięć dni, trzy godziny i dwadzieścia sekund.

– Identyfikacja zgodna z badaniem tęczówki. Proszę przyłożyć palec do skanera.

Wykonał polecenie.

– Tożsamość potwierdzona. Pytanie drugie: czy kiedykolwiek bolała cię głowa?

– Nie – odparł, nie całkiem zgodnie z prawdą, ale przecież od początku nie zamierzał być szczery.

– Pytanie trzecie: czy miewasz sny?

– Czasami. – Uznał, że ich brak będzie niewiarygodny.

– Różne sny czy wciąż ten sam? – dociekała Maszyna.

Pytanie wydało mu się dziwne, nie wiedział, jak brzmi prawidłowa odpowiedź.

– Różne – zaryzykował.

– Czego dotyczą?

– Codzienności. Czasem śnią mi się siostra, brat, innym razem znajomi.

– I nikt inny? – Już wiedział, do czego przebiegły robot zmierza.

– Nie. Czasem we śnie bywam sam.

– O czym są sny, w których bywasz sam?
– Najczęściej o spacerach. – Przypomniał sobie wędrówki po plaży.
– Czy lubisz sny?
– Niezbyt. Wolę rzeczywistość. – Nie miał wątpliwości, że tak właśnie powinien odpowiedzieć.

– Czy kiedykolwiek czytałeś książkę?
– Tak. Kilka przeczytałem.
– Jaka jest twoja ulubiona?
– O malowaniu techniką akwareli. Lubię malować, a to przydatny poradnik.
– Dziękuję za opinię. Czy chcesz, żeby została dodana do wirtualnego systemu zasobów Biblioteki?

– Tak. Proszę. – Odmowa dodania opinii brzmiałaby podejrzanie.
– Czy jesteś szczęśliwy?
– Tak.
– Czy twoje rodzeństwo jest szczęśliwe?
– Tak.
– Czy jesteś Kapłanem?
– Nie.
– Czy należysz do Kościoła Celestis, Oświeconego Kościoła Celestis lub innej grupy?

– Tak.
– Uczestniczysz w Zgromadzeniach?
– Tak.
– Czy miewasz emocje, których nie umiesz nazwać?

Przypomniał sobie o intensywnym odczuciu, kiedy Maszyna nie spełniła jego żądania. Miał nadzieję, że tego nie wychwyciła.

– Chyba nie – odparł, najswobodniej jak umiał. I natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił kolejny błąd. Powinien zgłosić, że nie rozumie pytania. To byłaby właściwa odpowiedź! Albo przynajmniej nie należało użyć słowa „chyba”.

– Czy wiesz o istnieniu takich emocji? – Tak jak się spodziewał, Maszyna zgłębiała temat.

– Jakich emocji? – Odpowiadając pytaniem na pytanie, spróbował wytrącić ją z obranego kierunku.

– Emocji, o których istnieniu wiesz, ale nie umiesz ich nazwać – wyjaśniła Maszyna z cierpliwością godną automatu.

– Nie.

– Dziękuję. Teraz jeszcze ankieta dotycząca badania rynku. Gdzie chciałbyś pojechać?

– W góry.

– Co chciałbyś zobaczyć?

– Zdecydowanie Piątą Planetę. Podobno mają tam najwyższy szczyt świata.

– Czy masz pragnienia? Jeśli tak, wymień najsilniejsze z nich oraz określ stopień jego intensywności w skali od jednego do dziesięciu.

Zaskoczyła go. Wiedział, że jakieś musi podać, ale tak bardzo faktyczne marzenia przesłoniły mu w ostatnim czasie te poprawne, oczekiwane przez Celestis, że na poczekaniu nic nie potrafił wymyślić. Maszyna ponaglała go dyskretnym pikaniem. Czas mijał. Adrian w głowie miał pustkę. Pikanie zwiększyło częstotliwość. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... – zaczęła odliczać. Zagryzł wargi i rozpaczliwie szukał jakiejś podpowiedzi. Nagle jego wzrok padł na barwny rękaw szaty.

– Mam! – niemal wykrzyknął w ostatniej sekundzie. – Jestem członkiem Oświeconego Kościoła Celestis. Dla nas wszystkie stworzenia są równe. Nawet takie jak ty. Jako osoba głęboko wierząca pragnę z całego serca zabrać ze sobą na Piątą Planetę zaprzyjaźnione Reklamy i Maszyny. I dać im możliwość przeżycia niezapomnianej przygody na najwyższym szczycie świata. Siłę tego pragnienia oceniam na siedem. – Nie chciał przesadzić.

Wiedział, że odpowiedź jest właściwa. Jako członek Oświeconego Kościoła nie mógł po prostu mieć innego pragnienia. Siódemka też była w porządku – wystarczająco mocna, a jednocześnie nie budziła podejrzeń.

– Czy masz przyjaciół wśród Reklam i Maszyn?

– Tak. Oczywiście. Bardzo dobrych. Spotykamy się w Kościele. – Zauważył, że coraz lepiej wychodziło mu modyfikowanie prawdy. Kłamstwo – poprawił się w myślach.

– Dziękuję. Proszę czekać na decyzję – beznamiętnie skwitowała Maszyna, zapewne przesyłając zapis rozmowy do jakiegoś Analityka.

Minęło dobre dziesięć minut i Adrianowi zaczynało się nudzić. Po kolejnych pięciu nuda przerodziła się w niepokój. Coś było nie tak. Zdecydowanie zbyt długo to trwało. Rozejrzał się – do bramy wiodła jedna aleja, dość szeroka, ale oddzielona od reszty świata wysoką, misternie plecioną, miedzianą siatką. Nie dałby rady niepostrzeżenie zniknąć z pola widzenia Maszyny. Ta zaś, po odnotowaniu jego ucieczki, natychmiast powiadomiłaby Celestis. Zanim zdążyłby dotrzeć do domu, czekałby już tam na niego ktoś w rodzaju doktora Zukina, być może nawet w

towarzystwie paru silnych Reducentów. Nie widział innego wyjścia, jak przyjąć werdykt Analityka, starannie udając spokój.

W końcu Maszyna wydała z siebie krótki sygnał dźwiękowy, przypominający śpiew ptaków Lamai. Czy rzeczywiście ptaki, które widział na fotografiach, w ten sposób śpiewały? – zastanowił się.

– Witaj ponownie. Osiągnąłeś osiemdziesiąt siedem procent właściwych odpowiedzi. Gratuluję!

Uśmiechnął się szeroko do jedyne go oka Maszyny. Poczłł ulgę. Więc jednak dobrze grał. A nawet bardzo dobrze! Teraz, kiedy zeszło z niego napięcie, nie mógł się doczekać widoku Nowej Dzielnicy. Skomplikowana procedura weryfikacji rozpałła jego wyobraźnię.

– Niestety, nie zwiedzisz Nowej Dzielnicy. Odmowa dostępu.

Przez chwilę nie rozumiał, co Maszyna do niego mówi. Osiemdziesiąt siedem procent poprawnych odpowiedzi i odmowa dostępu?

– Przecież miałem doskonały wynik! – zaprotestował.

– To prawda. Gratuluję – powtórzyła Maszyna.

– To dlaczego nie mogę zwiedzić Nowej Dzielnicy?

– Odmowa dostępu.

– Chcę wiedzieć dlaczego! – wykrzyczał, nie zważając na swoje kościelne szaty.

– Nie umiem odpowiedzieć. Zachęcam, by skierować pytanie do Biura Obsługi Klienta Celestis. Podać kontakt?

Pochylił głowę i zacisnął szczęki – tak mocno, że aż go rozbolały. Znów ogarnęło go to samo, trudne do nazwania uczucie. Najchętniej wycelowałby pięść prosto w beczelne, czerwone oko! Opanował narastające pragnienie destrukcji. Tym razem nie udałoby się obrócić sprawy w żart, jak wtedy w ogrodzie, podczas rocznicowego przyjęcia. Postanowił nie sprzeciwić się Maszynie – mogłaby powiadomić Dział Bezpieczeństwa.

– Nie. Dziękuję. – Ponownie zrezygnował z kontaktu z Biurem Obsługi Klienta Celestis.

– Zatem bądź szczęśliwy! – pożegnała się grzecznie Maszyna.

– I ty bądź szczęśliwa! – Zgodnie z filozofią Oświeconego Kościoła odpowiedział w sposób, w jaki zwróciłby się do człowieka.

Wpatrywał się w ekran przestarzałego monitora. Te wszystkie testy, badania, sklejanie wspomnień – czy to część sprytnego planu Celestis? Wciąż dręczyły go

wątpliwości, z którymi raz po raz musiał walczyć. Dyskretnie rozejrzał się po staromodnym pokoju. Marion analizowała dzisiejsze dane. Co kilkadziesiąt sekund posyłała mu kontrolne spojrzenie. Teraz, kiedy zauważyła, że jej się przygląda, do spojrzenia dołączyła ciepły uśmiech. Po drugiej stronie pomieszczenia, przy okrągłym stoliku, Ian prowadził niezbyt głośną, lecz ożywioną rozmowę z Hamzą o możliwościach nowego programu. Obaj byli mocno podekscytowani, obaj też próbowali to dość nieudolnie ukryć. Poza tym nie zwracali na niego uwagi. Widać uznali, że odtwarzana na ekranie prezentacja mówi sama za siebie, że nie trzeba niczego tłumaczyć. Ale Adrian potrzebował wyjaśnień. Całego ich mnóstwa. Rozumiał znaczenie poszczególnych obrazków i przedstawionego na nich procesu. Jeśli wysnuł prawidłowe wnioski – ci ludzie najwyraźniej zamierzali poddać go terminacji. Jak inaczej nazwać wysłanie kogoś Tunelem na Starą Planetę? Wszystkie tłumione lęki wróciły ze zdwojoną siłą. Może jednak jest w Klinice? Może trafił w ręce szaleńców, którzy chcą go wykorzystać do swoich podłych celów? A może wszystko wokół jest tylko sennym rojeniem, jak wtedy – w Pensjonacie pod Gwiazdami? Co jest rzeczywistością, a co nie? Komu może zaufać? Nie potrafił tego rozstrzygnąć. Policzki mu płonęły, na czoło wystąpiły krople potu. Miał wrażenie, że zaczyna się dusić. Znał ten stan, ale tym razem w żaden sposób nie umiał powstrzymać ataku paniki. Znowu spojrzał na Marion, szukając w niej wsparcia, i zniknął w czarnej otchłani.

Pustkowie. Przecięte na pół czarną autostradą połacie rudej ziemi tworzyły upiorny krajobraz. Ściany przydrożnego motelu pomalowano jaskrawoniebieską, teraz łuszczącą się farbą, a jedyną dekorację zasypanego czerwonym pyłem parkingu stanowiły gazony z wyschniętymi na wiór kwiatami. Pod stopami chrzęścił żwir, którym utwardzono krótki podjazd. Wielki, nieczynny neon z oberwanym, bezradnie dyndającym „O” dopełniał wrażenia beznadziei, ale też, w jakiś przedziwny sposób, dodawał temu odrażającemu miejscu odrobinę swojskości. Stał przed brudną, poszarpaną siatką przeciwko insektom. Zawahał się. Na podjeździe zerwał się wiatr i przez chwilę zatańczył z tumanami piasku. Powietrze było gorące, gęste jak wylana z kotła smoła, lecz chłodniejszy powiew spowodował, że Adrian zaczął jaśniej myśleć. Powinien wejść do motelu. Czy miał się tu z kimś spotkać? Miejsce wyglądało na opuszczone przez Boga i ludzi. Przypomniał sobie słowa modlitwy: „Miej nas w opiece, Panie”. Miej mnie w opiece – pomyślał, zrobił znak krzyża i zdecydowanym ruchem chwycił za moskitierę. Wąski korytarzyk doprowadził go do niewielkiej

recepcji. W panującej wokół ciszy skrzywienie uszkodzonego neonu słycać było nawet wewnątrz budynku. Zerknął na zakurzony, drewniany blat – nikt tu nie zwracał sobie głowy sprzątaniam. Nieopodal przestarzałego, szarego aparatu telefonicznego stał wypełniony kawą, krzywy kubek z napisem: „I’m smashed by New York”. Dotknął pofałdowanej powierzchni – napój był jeszcze ciepły. Dobiegł go intensywny, aksamitny, gorzkawy aromat. Przypomnił mu przeszłość. Zapach dzieciństwa, wiele zapachów. W pierwszej chwili nie potrafił ich nazwać. Ale znał je wszystkie tak dokładnie jak swoje odbicie w lustrze. Wysiłił pamięć i z kakofonii wspomnień wydobył kilka konkretnych: zapach farby, którą pomalowano ogrodzenie, zapach czarnego prostokąta otwartego okna. Inny zimą, a inny w czerwcu; każdego dnia inny. Woń indyjskich kadzidełek, wgrzyziona w narzutę na łóżku jego siostry; słodkie, kwiatowe perfumy w garderobie matki; potem te same perfumy w jednym z jasnych, przestronnych pokoi, który zajęła po odejściu ojca. Aż wreszcie aromat ziół, jaki unosił się w powietrzu w ciepłe, letnie wieczory, kiedy popijali z Amy na tarasie chłodne, cierpkie, białe wino. Zapachy mieszały się ze sobą w czasie i przestrzeni. Przywoływały melancholię, żal, a z drugiej strony – błogość. Należały do dawnego świata, który jawił mu się jako kraina wiecznego szczęścia. Kraina złudzeń. Nawet cierpienie z tamtych chwil godne było tęsknoty. Oddałby wszystko, żeby wrócić. Wspomnienia wywoływały bolesny skurcz serca, ożywiły umarłe nadzieje, rozbudziły zastygłe rysy minionych uczuć. Powoli, mozolnie odzyskiwał własną historię – wciąż pełną luk, ale dobre i tyle.

Zatopiony w myślach, nie zauważył, kiedy w wąskich drzwiach na zaplecze ukazał się wysoki, barczysty, brodaty mężczyzna. Wyglądał, jakby oszczędzał na mydle i wodzie. Jego włosy nie były strzyżone od dobrych kilku miesięcy, a mocno zniszczone ubranie – całe upstrzone ciemnymi plamami. W brudnej kurtce dało się czytać jak w otwartej książce: dokładnie zdradzała ostatnie tygodnie życia jej właściciela. Brodacz omiół Adriana nieprzytomnym wzrokiem, ale nie zareagował. Usiadł w zdezelowanym fotelu, wielką łapą chwycił krzywy kubek i dużymi łykami zaczął popijać kawę. Nigdzie mu się nie śpieszyło. Sądząc po pustym parkingu, w motelu nie było chyba żadnego klienta, tym bardziej dziwił ostentacyjny brak gościnności. Adrian stał cierpliwie przy kontuarze, jednak brodacz, zajęty swoimi sprawami, najwyraźniej nie zamierzał się nim zainteresować.

– Halo! Dzień dobry. Dobry wieczór, właściwie... – odezwał się w końcu, znużony oczekiwaniem.

Brodacz nawet nie oderwał wzroku od trzymanej w dłoniach gazety. Był to solidnie podniszczony numer „Los Angeles Times”. Adrian rzucił okiem na datę: dwudziesty

drugi października dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku. W dwa tysiące dziewiętnastym zaczął pracę w Torico Productions. Co więc robił na tym zadupiu, zamiast harować przy kolejnej kinowej megaprodukcji? Może zepsuł mu się samochód? Jeśli dobrze myśli, powinien mieć w kieszeni kluczyki. Nie miał. Ani kluczyków, ani dokumentów, ani portfela. Na szczęście wiedział, kim jest. Nawet jeśli częściowo stracił pamięć, nie mogło być z nim aż tak źle. Zobaczył przed oczami nowoczesną szpitalną salę i młodą lekarkę, pochylającą się z troską nad wynikami badań. June... Jasne! Dokładnie pamiętał moment, kiedy się ocknął. Miał wypadek, którego skutki pewnie odczuwa do dzisiaj! Z jakiej przyczyny znalazł się na tym odludziu? Nie miał pojęcia. Wyglądało na to, że jego umysł nadal szwankował. Paradoksalnie ta myśl go uspokoiła – przynajmniej wiedział, co się dzieje. Kiedy ustalił fakty, poczuł wściekłość. Co jest, u diabła?! Czemu ten leniwy parch nie obsłuży go, jak należy?!

– Halo! Jestem tu! – Podniósł głos.

Gospodarz nie reagował. Głuchy czy co? – przemknęło Adrianowi przez głowę. Wyciągnął rękę i z niemałym obrzydzeniem klepnął mężczyznę w ramię. Poczuł jak rękaw kurtki klei mu się do palców. Brodacz zerwał się gwałtownie, wylewając kawę na i tak już niemożliwie brudne dzinsy.

– Oż *fuck*! Jasny gwint! Jezu... co to było?! – Rozejrzał się wystraszony. Zbadał dokładnie miejsce, którego przed chwilą dotknął Adrian. – Pierdolone koszmary! Już nawet w biały dzień człowieka atakują. – Postawił diagnozę, otrzepał z siebie resztki kawy i ponownie zasiadł w fotelu.

– Panie... Proszę pana... – zaczął Lawson, tym razem niepewnie. – Człowieku! Halo! – W akcie desperacji machnął dłonią przed twarzą właściciela motelu.

Tamten tylko potarł wielki nochał, jakby coś go zaswędziało.

– Jebane muchy. Pół świata wymarło, a te pizdy ciągle żyją i dobrze się mają – mruknął, po czym przewrócił stronę gazety.

Adrian zerknął na artykuł. Dostrzegł wypisany grubą czcionką nagłówek: „Świat po – politolog ostrzega”. Brodacz zatopił się w lekturze. Wreszcie ze złością cisnął poplamioną gazetę na niewielki, koślawy stolik i znów siarczyście zaklął:

– Kurwa, co oni wiedzieli?! Co oni wiedzieli, jak gównianie będzie? Mądrale zasrane. Ciekawe, gdzie tera są. Wyparowali! Jajogłowe profesorki! Żeby chociaż jaka telewizja była, to by se człowiek popatrzył, sam do siebie gadać nie musiał... – Wyszedł zza kontuaru i ruszył naprzód tak energicznie, że Adrian nie zdążył się odsunąć. Brodacz jednak gładko przez niego przeszedł. – Szlag! Wszędzie te kurewskie przeciągi, a i tak gorąco jak w piekle. Zdechniemy z głodu albo się

usmażymy. Taki zasrany los, bo paru bogatym chujom zachciało się zrobić rozpierdol! – nie przerywał narzekań. – Ale bogaty se nie da krzywdy zrobić. O! Co to, to nie! Co innego takie małe zasańce jak my, warte tyle co szczur na pustyni.

Lawson oniemiały słuchał oddalającego się biadolenia brodacza. Facet go nie widział. Ani nie słyszał. Co to ma być? Jakiś pieprzony żart kolegów ze studia? Przyjęcie-niespodzianka? Ukryta kamera? No chyba że... Wstrząsnął nim dreszcz. Chyba że... umarł. I jest duchem. Chwila – przywołał się do porządku. Tylko spokojnie. Usiadł na brzegu drewnianego, odrapanego krzesła. Ze wszystkich sił starał się opanować atak paniki. Po dłuższej chwili spróbował wstać, ale silny zawrót głowy osadził go w miejscu. Poczł skurcz serca i mocne uderzenie. Otworzył oczy, gwałtownie łapiąc oddech.

– Wybacz, musiałam... – June uśmiechała się do niego przepraszająco. – Nie mamy jeszcze zbyt wiele doświadczenia w takich podróżach. Zaczęłeś nam trochę szaleć. Przez chwilę możesz być skołowany, a nawet obolały, ale najważniejsze, że udało ci się wrócić. Teraz godzina odpoczynku i do domu! – wykrzyknęła wesolutko, zupełnie jakby faktycznie był pacjentem, a ona lekarzem przekazującym znakomitą wiadomość.

– Mdłości i zawroty głowy do wieczora powinny ustąpić. Postaraj się dziś nie korzystać z wanny. Zwłaszcza gorąca kąpiel nie jest wskazana. I raczej się nie przejadaj. Podałam ci preparat regenerujący, ale jeszcze przez kilka dni możesz mieć wrażenie lekkiego osłabienia – profesjonalnie wydawała kolejne zalecenia.

Wiedział, co do niego mówi, choć niewiele z tego rozumiał. Przez moment znów ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, coś w rodzaju déjà vu. Tylko wtedy June nosiła białe uniform i włosy miała splecione w ciasny warkocz. Teraz była ubrana w szary kombinezon, taki sam, w jaki wyposażono Uliczne Maszyny Sprzątające, włosy zaś zwinęła w niezbyt staranny węzeł. Kilka długich, ciemnych kosmyków asymetrycznie opadało na kark.

Nieprzytomnym wzrokiem ogarnął otoczenie. Znajdował się w sali testów. Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny poczuł ulgę. Był potwornie zmęczony, ale wolał taką rzeczywistość niż tę, którą widział na koszmarnym pustkowiu. Wolał już swoje bolesne przebudzenia niż straszny sen. W końcu do skołowanej świadomości Adriana dotarło, że June wspomniwała coś o podróżach.

– June... o jakich podróżach mówisz?

– Co takiego? – Nie rozumiała albo udawała, że nie rozumie. Zaczęła sprawnie ściągać roboczy strój. Pod nim miała wygodny, bladoniebieski dres z logo Celestis.

– Powiedziałaś, że nie mamy jeszcze w nich doświadczenia...

– Ach to! – Machnęła lekceważąco ręką. – Teraz chwilę odpocznij, a potem Ian ci wszystko wyjaśni.

– Czemu nie możesz powiedzieć mi teraz?

– Ian to zrobi lepiej, uwierz mi. – Posłała mu kolejny ciepły uśmiech i szybko opuściła salę testów.

Leżał tak od godziny. Myślał o tym, co usłyszy. Czy jest jakiś postęp? Zaniepokoił się. Jeżeli nie spełnił ich oczekiwań, mogą go odsunąć. A nade wszystko potrzebował odpowiedzi. Miał nadzieję je uzyskać, wykazując wolę współpracy i poddając się bez słowa skargi tym wszystkim zabiegom. Liczył, że jego cierpliwość zostanie nagrodzona. Jeśli okaże się zbędny, nikt nie będzie się nim przejmował. Z minuty na minutę straci dostęp do wszystkich informacji. Nie miał złudzeń, dla Memorystów najważniejsza była misja i bezpieczeństwo planu. Tyle już o nich wiedział. Właściwie nawet to rozumiał – sentymenty, głupie emocje nie pomogą zrealizować zamierzeń. Zdawał sobie sprawę, czym może się dla niego skończyć współpraca z Memorystami, ale musiał zaryzykować.

Zgodnie z zaleceniami June starał się odpocząć. Bał się jednak zasnąć, nie był gotów na kolejne koszmary. Właśnie planował wstać i zakończyć przymusową kwarantannę, kiedy do sali testów wszedł Hamza. Miał jeszcze bardziej chmurne spojrzenie niż zwykle, a mocno zaciśnięte usta utworzyły wąską kreskę. Razem z nim, niczym wiatr, wtargnęła do pomieszczenia niebezpieczna energia. Nie można jej było zignorować. Adrian poczuł się nieswojo. Zawsze tak się czuł w obecności Hamzy, lecz teraz wrażenie spotęgował pełen napięcia ton, jakim Maalouf poinformował Adriana, że ten ma pójść za nim. Przez kilka minut kluczyli ukrytymi głęboko w zboczu góry, słabo oświetlonymi korytarzami. Wreszcie Hamza się zatrzymał, puścił go przodem i ruchem głowy wskazał osadzone w skale drzwi. Następnie zniknął bez słowa.

Kiedy Adrian się zastanawiał, jak wejść do kolejnego pomieszczenia – nie widział zamka ani czytnika, tylko litą, wyglądającą bardzo solidnie blachę – drzwi rozsunęły się z głośnym sapnięciem. Sala była znacznie nowocześniejsza od tych, które widywał dotychczas. Na środku znajdował się wielki pulpit z mnóstwem przycisków. Nad pulpitem, na rozpylonej mgłę, połyskiwało kilkanaście nowoczesnych monitorów, a ściany również tworzyły jeden wielki ekran. To wyglądało na porządnie wyposażone laboratorium. Wolnym krokiem zbliżył się do jednego z monitorów i ujrzał na nim

ciągi cyfr oraz znaków. Na drugim migał kolorowy wygaszacz, który przypomniał mu dom Neumannów. Holograficzna imitacja szlachetnych kamieni była tak znakomita, że można je było wziąć za prawdziwe. Właśnie miał zbliżyć dłoń do lśniącej powierzchni, kiedy usłyszał za sobą głos Iana.

– Lepiej nie. To dość specjalistyczny sprzęt. Nie mamy zbyt wiele zapasowego, a obawiam się, że dalsze rabowanie laboratoriów Celestis nie wchodzi w grę.

Dziś Memorysta założył proste, czarne spodnie i białą koszulę. A w dłoni trzymał... granatową, damską parasolkę w białe grochy. Adrian szybko w myślach odtworzył scenę z podziemnej kolejki. Nie miał wątpliwości – parasolka była dokładnie taka sama. Już dawno przestał wierzyć w przypadki.

Ian podążył za jego spojrzeniem.

– Niezbyt ładna, ale wystarczająco charakterystyczna. – Odłożył parasolkę i ruszył w kierunku pulpitu.

– Sprawdzaliście mnie? – Adrian ponownie poczuł się oszukany.

– To był jeden z naszych weryfikatorów. Sprawdzamy cię od samego początku. Wybacz, to konieczne.

– Wiem – przerwał White'owi. – Plan ponad wszystko!

– Nie drwij. Tak właśnie jest. Gdybyśmy nie byli zdolni do poświęceń, nic by z tego nie wyszło. Celestis jest silniejsze. Ma więcej możliwości. Ale my... – zawiesił głos – my mamy ideę. To nasza najsilniejsza broń. Wiara i waleczne serca pozwolą nam wygrać. – Wskazał na swoją pierś.

Gest wydał się Adrianowi zbyt teatralny. Choć zdążył nieco przywyknąć, popularny wśród Memorystów tandetny patos nadal go drażnił. Miał nadzieję, że na jego twarzy nie widać ironii.

– Z pełną świadomością konsekwencji zdecydowaliśmy się poświęcić sprawie wszystko – kontynuował Ian. – I musimy mieć pewność, że nie ma wśród nas...

– ...słabych ogniw – dokończył za niego.

– Cieszę się, że to rozumiesz. – White spojrzał na niego przyjaźnie, jednak na tyle twardo, żeby Adrian pojął, że to nie żarty.

– Dowiem się, jaki dokładnie macie plan?

– Wkrótce. Ale jeszcze nie dziś.

– Skoro mnie śledzicie, wiecie, że można mi zaufać.

– Nie mamy już co do ciebie wątpliwości.

– Nawet Hamza? – Przypomniał sobie nieufne spojrzenie czarnych oczu informatyka.

– Hamza... dość trudny charakter. Miewa swoje teorie i niewyparzony język, prawda, ale to dobry człowiek, oddany Memorysta. Jest z nami od początku. Nikt tyle co on nie zaryzykował dla sprawy. To dzięki Hamzie mamy dostęp do najnowszego oprogramowania. Specjalnie zatrudnił się w Celestis, żeby dla nas pracować. Pomógł June zorganizować i wynieść cały ten majdan. Nawet włamał się do serwerów Jednostki Zarządzania Sprzętem, żeby ukryć braki. To dzielny wojownik i bardzo zdolny programista. Jeden z najlepszych. Zresztą, nie Hamza decyduje, z kim mamy współpracować.

– Czemu w takim razie nie mogę poznać szczegółów?

– Prawdę powiedziawszy, sporo się dziś zmieniło.

– Co na przykład?

– Dzięki tobie zobaczyliśmy pewne rzeczy... Cóż... trzeba się dobrze zastanowić. Wszystko oczywiście jeszcze potwierdzimy. Obawiam się jednak, że będziemy musieli zmienić nasz plan... Nawet gdybym chciał, nie potrafię w tej chwili powiedzieć, jak będzie wyglądał nowy.

– A jaki był do tej pory?

– Chcieliśmy tam wrócić. Na Starą Planetę.

– I nie możecie?

– Możemy. Jesteś naszą instrukcją, Obywatel Zero. To już pewne.

– Co więc wam przeszkadza?

– W tym rzecz... wygląda na to, choć nie mamy całkowitej pewności, że Stary Świat bardzo się zmienił. Nie wiadomo, czy powrót tam w ogóle ma sens.

– To co teraz? Koniec? – Adrian z napięciem wpatrywał się w White'a.

– Nie, oczywiście, że nie. Chcemy się połączyć z tymi, którzy tam zostali. Tak czy inaczej. I dokonamy tego. Trzeba jedynie przemyśleć szczegóły, zmodyfikować pewne elementy. Być może nawet stworzyć plan od nowa.

– Co konkretnie dziś się wydarzyło?

– To dla nas wielki, wspaniały dzień. – Ton głosu Iana nie potwierdzał jego słów. Memorysta był wyraźnie zdruzgotany. – Przeprowadziliśmy najważniejszy test. Po raz pierwszy udało nam się wysłać kogoś na Starą Planetę.

– Kogoś? – Zaczynał rozumieć.

– Przemierzyłeś Tunel. W obie strony. Widzieliśmy to, co ty widziałeś. To pierwsza w historii wizyta na Starej Planecie! Nie wspomnienie, tylko prawdziwy przekaz na żywo.

– Zaraz... chcesz mi powiedzieć, że poddaliście mnie terminacji? Nie mieliście pojęcia, czy się uda... prawda? – Zrobiło mu się słabo.

– Przykro mi, że nie zapytaliśmy cię o zdanie, ale tak trzeba. Muszę być z tobą szczery. – Ian uciekł wzrokiem. – Uruchomiliśmy procedurę terminacji z nadzieją, że uda nam się ściągnąć cię z powrotem. I masz rację, istniała spora szansa, że misja się nie powiedzie. Ale się powiodła. To najważniejsze. Nie pomyliliśmy się. Od dawna szukaliśmy kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto będzie w stanie przemierzyć Tunel i pokazać nam prawdziwy obraz Starej Planety.

– Więc jestem luką w Systemie?

White twierdząco pokiwał głową.

– Po dzisiejszym dniu mamy pewność. Jesteś oknem, przez które wydostaniemy się na zewnątrz Korporacji. Twoje Przybycie ludzkość będzie czciła do końca swego istnienia.

– I to was usprawiedliwia?! Mogłem nie wrócić!

– Nie będę cię okłamywał. Gdybyś nie był Obywatelem Zero, pewnie tak właśnie by się stało.

Nie powinien był im wierzyć. Od samego początku zamierzali go bezwzględnie wykorzystać.

– Otworzysz Tunel dla nas wszystkich – kontynuował Ian. – Twoje zdolności pozwolą na wiele więcej, niż marzyliśmy. Pozwolą nam poznać Stary Świat. To unikalna wiedza, której nie ma tu nikt poza Zarządem, a może nawet tylko samym Wolfem. Czy wyobrażasz sobie, jakie to stwarza możliwości? Jak strasznych błędów pozwoli nam uniknąć?

– I dla tej wiedzy poddaliście mnie terminacji?!

– Przykro mi, Adrianie. Są rzeczy ważniejsze niż nasze istnienie.

– To szaleństwo! W niczym nie jesteście lepsi od tych z Celestis! – wykrzyknął rozgoryczony.

– Może szaleństwo da się zwalczyć jedynie podobnym szaleństwem... W twoich oczach nie różnimy się metodami od Korporacji? Myśl, co chcesz, ale to my znajdujemy się po właściwej stronie.

– Nie mieliście prawa!

Doskoczył do White'a. Lewą ręką mocno chwycił go za koszulę, prawą uniósł do ciosu. Po kilku pełnych napięcia sekundach resztkami sił się powstrzymał i opuścił zaciśniętą pięść.

– Chyba nadal chcesz spotkać Amy i Ellę, prawda? – Ian ani na chwilę nie stracił panowania nad sobą.

Adrian poczuł się pokonany. Zobaczył przed oczami dwie kobiety. Ogarnął go żal tak silny, że aż zabrakło mu tchu. Jasnowłose istoty z wizji stanowiły jedyny sens jego

życia, wszystko inne to tylko miraż, ułudą. Był tego pewny. White miał nad nim władzę. I dobrze o tym wiedział.

– Teraz rozumiesz? – Memorysta zadał pytanie, nie oczekując odpowiedzi. – Właśnie to mam na myśli. Miłość, której na Planetach nie znamy. Ona każe podejmować niewyobrażalne ryzyko. Tobie, mnie, Marion... nam wszystkim. Miłość... i nadzieja, że gdzieś istnieje lepszy świat. Taki, w który wierzymy.

Powinien jak najszybciej opuścić to miejsce, zapomnieć, zacząć żyć jak pozostali. Powinien. Wiedział jednak, że nawet gdyby jakimś cudem pozwolili mu odejść, nie będzie szczęśliwy. Choćby miłość miała go zabić, chciał ją poznać do końca. Tego właśnie pragnął – za wszelką cenę i ponad wszystko.

Ian podjął nagłą decyzję.

– Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Weszli w labirynt tonących w półmroku korytarzy. Po kilku minutach znaleźli się przed drzwiami podobnymi do innych. Jak tamte nie miały zamków ani czytników. I jak poprzednie po prostu się rozsunęły. Oczom Adriana ukazał się niezwykle widok. W niewysokiej sali zgromadziło się ze sto osób. Jedni zajmowali prowizoryczne ławki, zażarcie ze sobą dyskutując, inni leżeli albo siedzieli na pokrytej podniszczonymi dywanami podłodze, w kręgach, a także samotnie. Duża część strojem i zachowaniem przypominała Marion lub Soto, jednak między nimi Adrian dostrzegł też wytwornych mężczyzn oraz eleganckie damy w Limitowanych Seriach, kilka sylwetek w sportowych ubraniach, jakie lubił Carlos, paru przedstawicieli różnych subkultur, sporą grupkę tweedowych marynarek, a nawet – ku swojemu zdumieniu – czterech zgromadzonych w jednym kącie sali, kolorowych niczym ptak z rekonstrukcji Memorystów, wyznawców Oświeconego Kościoła Celestis.

Rozmowy ucichły. Jak na komendę wszystkie oczy skierowały się na nich.

– Wybaczcie spóźnienie! – White uniósł prawą dłoń w geście powitania. – Jak już pewnie mówiła wam Marion, zatrzymały nas bardzo ważne sprawy. Mamy dziś sporo do omówienia. To jest Adrian Lawson. Większości z was jego nazwisko jest doskonale znane. Tym, którzy jeszcze nie wiedzą, z radością ogłaszam, że oto znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Pozwólcie, że wam przedstawię: Obywatel Zero. – Z dumą wskazał swojego towarzysza.

Po sali przebiegł szmer podziwu, a następnie rozległy się burzliwe oklaski. Wyglądało na to, że wszyscy obecni doskonale wiedzą, o czym mowa, i doceniają rangę wydarzenia. Adrian poczuł się nieswojo. Chciał odejść na bok, lecz Ian delikatnie go powstrzymał.

– Pozwólcie, że zanim przystąpimy do obrad, przedstawię was naszemu przyjacielowi.

Podszedł do niewielkiego pulpitu na środku sali, po czym uruchomił ogromne, rozmieszczone na ścianach ekrany. Pojawiły się podglądy pomieszczeń podobnych do tego, w którym się znajdowali. W każdym zgromadziło się wiele osób – w rozmaitych strojach, o różnych kolorach włosów i skóry. Na wszystkich twarzach malowało się jednakowe wzruszenie.

– Adrianie... – zaczął uroczyście Memorysta – oto nasza społeczność! Wielkie podziemne państwo tych, którzy pamiętają. To tylko mała część... Jest nas dużo, dużo więcej. Miliony ludzi pragną odzyskać swoje życie, bliskich... odzyskać wolność! Widzisz sam... Planety Celestis nie dla wszystkich są rajem. Ludzie powinni mieć prawo wyboru.

W tym momencie szmer przerodził się w entuzjastyczne okrzyki poparcia. Adrian w milczeniu patrzył na wiwatujący tłum. Na tęsknotę niczym skazę wpisaną w idealne rysy. Nie wiedział, czy są szczęśliwi, ale pragnienie wolności pozrywało złote nici sterujące ich umysłami. Pewnego dnia, tak jak on, otworzyli oczy i zobaczyli, że uczestniczą w grze pozorów. Dostrzegli szklaną ścianę. Od tej pory nic już nie było jak dawniej. Choć wciąż obecni na Planetach, wydostali się z teatru lalek. Z marionetek przeistoczyli się w prawdziwych ludzi – ze wszystkimi zaletami i wadami swojego gatunku. Czy stali się przez to lepsi? Ciężka na nim ogromna odpowiedzialność. Nie stanowił ani słabego, ani mocnego ogniwa. Był dla tych ludzi jedynym wyjściem – mostem łączącym Planety z ich marzeniami, za które przecież często płacili najwyższą cenę, znikając bez śladu w Klinice Celestis.

Ponownie spojrzął na rozognione twarze. Przypomniawszy sobie rozmowę z Ianem. Oby ich marzenia okazały się warte poświęceń. Odwrócił wzrok, tak by nikt nie dostrzegł w jego oczach obawy.

8

Przeciągnęła się leniwie, wysunęła drugą stopę w kierunku Maszyny do Manicure i Pedicure. Paznokcie kazała ozdobić lakierem, który Adrianowi przywodził na myśl brudne Lustro, a który jego siostra nazywała „tęczową wrózką na karmelowej chmurze”. Zawsze zadziwiała go fantazja specjalistów od marketingu. Był to największy dział Celestis, jeden z bardziej prestiżowych. Tam właśnie zdecydowano o kształcie Światowego Programu Generacji Pragnień oraz Światowego Programu Profilaktyki Zdrowia – priorytetach Celestis. Na podstawie wytycznych Działu Promocji i Marketingu projektowano Reklamy, wymyślano chwytliwe hasła, budowano ogromne kampanie. W Korporacji jedynie Zarząd, kilku specjalistów od IT oraz paru badaczy cieszyło się większym uznaniem.

Teraz, po intensywnym szkoleniu, które przechodził wśród Memorystów, Adrian coraz lepiej rozumiał rządzące światem prawa. Znał kilka osób z Celestis. Właściwie byli to przyjaciele Lamai – zresztą jak większość ich gości. Siostra dobierała towarzystwo równie starannie co stroje. Wszelcy kreatorzy mody, trendsetterzy oraz fashioniści natychmiast otrzymywali status najbardziej bliskich spośród bliskich znajomych. Z podobnego powodu uwielbiała ludzi z Celestis. Pracownicy Korporacji żyli najnowszymi trendami, a noszenie ubrań innych niż z Limitowanych Serii było w tych kręgach nie do przyjęcia. Nic dziwnego, że z łatwością znajdowali wspólny język z Lamai. Jak siostrę uszczęśliwiała upolowanie pierścionka, sukienki czy supernowoczesnej Maszyny do Sprzątania, tak jej korporacyjnych znajomych w stan euforii wprowadzał nowy gabinet, większe biurko czy lepsze stanowisko. Zarówno ludzie mody, jak i pracownicy Celestis wciąż gonili za ładnymi rzeczami.

Zmieniła pozycję, by Maszyna mogła zająć się dłońmi. Lamai miała piękne dłonie. Była idealna. Tak bardzo różniła się od kobiet, które spotykał w kryjówce Memorystów. Jej szczupłe palce delikatnie objęły kryształowy kieliszek. Z wdziękiem odchyliła głowę i zanurzyła różowe usta w także różowym szampanie. Przyglądał się, jak mruży z rozkoszy oczy, jak pręży ciało, odstawiając kieliszek na jadeitowy stół. Czyste piękno. Dzieło sztuki. Mógłby tak patrzeć na nią bez końca. Jednak nigdy nie miał ochoty jej namalować. Przypomniało mu się jak wtedy, w Parku, szaleńczo zapragnął dotknąć Marion. Na samą myśl ogarnął go wstyd, ale też podekscytowanie.

Podobnie się czuł, kiedy pierwszy raz zmodyfikował prawdę. Lamai jedną dłonią leniwie przerzucała kolorowe holofoldery, drugą wyciągając w kierunku Maszyny do Manicure. Zastanowił się, po co właściwie to robi. Mogłaby zazyczyć sobie nowego manicure od Lustra, byłoby szybciej i wygodniej.

– To mnie relaksuje – odparła, kiedy zapytał. – Czasami też bywam staroświecka. – Zatrzepotała rżęsami i słodko zachichotała.

Wiele można było o jego siostrze powiedzieć, ale nie to, że jest staroświecka. Tak naprawdę styl *vintage* stanowił najnowszy krzyk mody. Lamai, używając tradycyjnej Maszyny do Manicure, po prostu jak zawsze była na czasie. Lubiła ostatnio pozować na osobę staromodną – stanowiło to część jej stylizacji, jak nowe buty czy sukienka. Jakim cudem Lamai, na tyle bystra, by przygotować oraz bezbłędnie odgrywać te wszystkie role, nigdy nie zadała sobie paru podstawowych pytań? Oderwał wzrok od połyskującej w słońcu „tęczowej wróżki na karmelowej chmurze” i postanowił coś sprawdzić.

– Lamai?

– Tak? – Uśmiechnęła się promiennie, dumnie prezentując nieskazitelnie białe zęby.

Zauważył, że niemal bez przerwy się uśmiechała.

– Wiesz... jestem już bardzo szczęśliwy, ale mam kilka pytań.

– Oczywiście, Adrianie, pytaj, o co tylko chcesz! – Uradowała się. Nie miał wątpliwości, że szczerze. – Cudownie, że zrobiłeś się bardziej otwarty. Rozmowa to podstawa. – Posłała mu kolejny ze swojej bogatej kolekcji uśmiechów.

– Miałem pewne kłopoty z adaptacją. Na szczęście nie było to nic poważnego, ale czasem niektórzy naprawdę chorują, prawda? – Precyzyjnie dobierał słowa. Nie mógł popełnić błędu, bo znów, w trosce o jego zdrowie, ściągnęłaby tu Zukina.

– Czasem tak. Ale bardzo rzadko. Najdawniej Przybyli nie pamiętają nieuleczalnego przypadku Choroby. Nie ma się czego bać, trzeba tylko dbać o siebie i bliskich, a będzie dobrze. Nawet gdyby... choć nie wierzę, by nam się to przytrafiło... – zastrzegła – no ale gdyby, to wiesz przecież z ulotek profilaktycznych, jak bardzo skuteczna jest terapia. Zresztą, sam się przekonałeś. Podręczny Aktywator Pragnień doktora Zukina błyskawicznie postawił cię na nogi. Chroni nas Światowy Program Profilaktyki.

– Tak. Wiem! – Udał entuzjazm. – Zdobycze naszej cywilizacji są niesamowite...

– Prawda? Niech Prezesowi Założycielowi Thomasowi Wolfowi będą dzięki!

Rozmowa wyraźnie sprawiała Lamai wielką przyjemność.

– Ale... czasem ludzie nie wracają z terapii. Tak było z bratem twojej przyjaciółki, pamiętasz? Tej, z którą jeździsz na Magiczną Wyspę Madame Yvette. Jak jej na imię?

– Och... Wiktor, brat Aleksandry... Rzeczywiście, szkoda, że nie wrócił. Przemiły człowiek. Bardzo go lubiłam – powiedziała tak lekko, jakby żałowała, że wybrała zły kolor lakieru do paznokci, co na Adrianie zrobiło dość upiorne wrażenie.

– Lamai, a gdzie on teraz jest? Na innej Planecie? – Starał się wpleść w ton głosu nutę naiwności.

– Możliwe. Albo nadal w Klinice? Nie mam pojęcia.

– Aleksandra nie próbowała się dowiadywać o stan jego zdrowia? O to, co się z nim dzieje?

– Po co? – Lamai zmarszczyła lekko czoło i uniosła brwi ze zdumienia.

– Hmm... żeby wiedzieć? W końcu to jej brat.

– Adrianie... – Spojrzała na niego z politowaniem, ale i z czułością. – Wiktor znajduje się pod dobrą opieką. Czemu ktoś miałby się interesować tym, gdzie jest? Przecież zajmuje się nim Celestis. Kiedy będzie gotów, sami odeślą go do domu – wyjaśniła głosem pożyczonym z profilaktycznych spotów Korporacji.

– A jeśli nie wróci?

– To znaczy, że tak miało być. – Wzruszyła opalonymi ramionami. – Nic nam do tego. Korporacja na pewno zadba o to, by Wiktor znalazł się tam, gdzie będzie szczęśliwy. Ale... chyba wiem, do czego zmierzasz! Krążą jakieś bzdurne opowieści... Rozumiesz, że to tylko bajki? Coś jak te twoje książki... – Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i wybuchnęła śmiechem. – Biedaku! Pewnie Carlos cię nastraszył! Och, on uwielbia takie żarty. Posłuchaj, istnieją ludzie, których fascynują tajemnicze historie. Co jakiś czas wypuszczają na świat nową: a to o zniknięciach, a to o strasznych rzeczach dziejących się w Klinice, a to o ludziach żyjących gdzieś w ukryciu i planujących coś okropnego...

Adrian zbladł. Obawiał się, czy Lamai tego nie dostrzegła, ale jego siostra spokojnie kontynuowała:

– Chyba nie wzięłaś ich na poważnie? Oczywiście, słyszałam, że niektórzy próbują się zbyt przywiązywać do podobnych historyjek. Moim zdaniem są to osoby całkowicie pozbawione zdrowego rozsądku. – Na znak zdegustowania wykrzywiła usta i westchnęła z politowaniem, kierując spojrzenie w stronę połyskującego nad ścianie logo Korporacji. – Celestis z pewnością im pomoże.

Albo był przeczulony, albo ostatnie zdanie zabrzmiało złowieszczo. Tak czy inaczej, postanowił zakończyć temat, nie chciał nadmiernym zainteresowaniem wzbudzić

podejrzeń.

– Bardzo ci dziękuję. Teraz jestem spokojniejszy. Tyle dla mnie robisz... Nikt nie ma lepszej siostry – pochwalił ją, chcąc szybko odwrócić uwagę Lamai.

– Och, dziękuję. Staram się... – Skromnie spuściła wzrok, chociaż nie wyglądała na zaskoczoną komplementem.

Czemu miałyby się dziwić? We wszystkim dążyła do perfekcji: idealna kobieta, idealna siostra, idealna przyjaciółka, idealny członek społeczeństwa. Czego nie dotknęła, zamieniało się w złoto, w mistrzowski twór, zgodny w najdrobniejszym szczególe ze standardami Korporacji. Doskonale o tym wiedziała, więc słowa uznania przyjęła jako w pełni zasłużone i beztrąsko wróciła do przerzucania kolorowych holofolderów.

– O! Patrz, jakie cudne! – wykrzyknęła podekscytowana, wskazując wypielęgnowanym palcem reklamę wyszukanej biżuterii.

Nad diamentowymi koliami umieszczono wielki napis: „NOWOŚĆ!!! EDYCJA LIMITOWANA”. Wyżej, w nagłówku holoulotki można było przeczytać, że jest to SPECJALNA OFERTA KIEROWANA WYŁĄCZNIE DO STAŁYCH KLIENTÓW. Pod spodem zaś widniała informacja, że SPECJALNA OFERTA będzie dostępna TYLKO W NAJBLIŻSZĄ SOBOTĘ w Centrum Handlowym STREFA CUDÓW.

Adrian już wiedział, gdzie jego siostra spędzi weekend. Carlos przemierzał jakąś pustynię na Czwartej Planecie, Lamai będzie polowała na diamenty, a on zostanie sam. Cieszyła go wizja dwóch dni całkowitego spokoju.

Majordomus wniósł tacę ze słodyczami. Spokój jednak nie będzie absolutny – pomyślał, podejrzliwie zerkając na służącego. Pytał Memorystów, czy nie mógłby sam unieszkodliwić Maszyny, tak jak zrobiła to June. Niestety, kod dostępu do oprogramowania służby domowej regularnie zmieniano, a zbyt częste wykradanie go mogło zwrócić czyjąś uwagę. Dało się, co prawda, wyłączyć Maszynę bardziej brutalnie, ale każda, choćby najkrótsza nieobecność Majordomusa w Systemie natychmiast wzbudziłaby podejrzenia Działu IT, a potem Działu Bezpieczeństwa. Musiał się pogodzić z inwigilacją.

Lamai elegancko delektowała się makaronikami w odcieniu pudrowego różu, pastelowej zieleni oraz lazurowego błękitu. Wyglądała na bardzo zadowoloną. A może nawet... na szczęśliwą? Patrzył na jej nieskażoną wątpliwościami, gładką twarz i nie był przekonany, czy wiedza, którą zdobył, nie stanowi bardziej balastu niż bogactwa. Świadomość szklanej klatki odbierała smak potrawom, intensywność kolorom, moc dźwiękom. Świat wciąż był ten sam, lecz nie taki sam. Najpierw

pojawiło się pęknięcie, niewielka rysa na idealnym obrazie, cień za ledwie. Z czasem drobna skaza rozlała się w plamę, zaczęła rosnać. Aż kiedyś zmieni się w pleśń, która przysłoni resztki słońca. Wiedza zabije całe to kolorowe, naiwne piękno. Oby było warto... – pomyślał drugi raz w ostatnim czasie.

Kolejny dzień testów rozpoczął się nerwowo – od spóźnienia na spotkanie z Marion. Znow natknął się w Parku na Hannę. Tym razem była sama. Musiał cierpliwie wysłuchać opowieści o postępach naukowców w pracach nad walką z Chorobą, a także o jej – Hanny – wspaniałych działaniach na rzecz profilaktyki. Jak nakazuje dobry obyczaj, zrewanżował się podobną relacją. Po raz kolejny podziękował sobie za pomysł z Oświeconym Kościołem oraz umiejętność modyfikowania prawdy. Życie uduchowionych interesowało każdego – członkowie Kościoła mieli przecież styczność z najnowszymi Reklamami. Streścił Hannie kilka najświeższych spotów, by zaraz potem gładko przejść do wychwalania Zgromadzeń. Nie musiał się specjalnie wysilać, znow wystarczyły slogany z ulotek informacyjnych. Na koniec wyraził uznanie dla przyjaciółki Lamai za to, że tak umiejętnie generuje nowe pragnienia. Hanna była zachwycona. Zwłaszcza jego sposobem wystawiania.

– Och... Adrianie! Jaka zmiana. Mówisz pięknie jak Kapłan. Może powinieneś pomyśleć o kolejnym etapie duchowego zjednoczenia z Kościołem? Wydaje mi się, że tego właśnie pragniesz. Czy się mylę?

– Hanno, największym moim pragnieniem, jakąś ósemką w skali do dziesięciu – przydała mu się wiedza zdobyta podczas ankietowania przez Maszynę – jest stan kapłański. Pomyślę i o tym na pewno. Jednakowoż wszystko w swoim czasie. Albowiem nie same tylko pragnienia są celem naszym, ale przyjemność czerpana z drogi ku nim wiodącej, czyż nie, siostró droga? Czasu mamy aż nadto. Nadmierne szafowanie spełnieniem nie jest zgodne z nauką Kościoła mego, jako że czas należy szanować, a zatem dbać, by zawsze mieć go czym wypełnić. Dlatego, Hanno droga, smakujmy nasze pragnienia, niekoniecznie prędko je zaspokajając. Nauczmy się, jak mówi Jaśnie Oświecony, czerpać przyjemność z każdej chwili życia. Także z oczekiwania. Z pomocą Celestis i Kapłanów nie będzie w żywocie naszym ani jednej straconej sekundy!

Ze zrozumieniem pokiwała głową. Ostatnią wypowiedzią zrobił na niej ogromne wrażenie.

– Niech Prezesowi Założycielowi Thomasowi Wolfowi będą dzięki... – wyszeptwała, pobożnie kierując wzrok w stronę siedziby Celestis.

– Niech będą dzięki! – potwierdził. – A teraz wybacz, droga moja, chciałbym się oddać medytacji w miejscu odpowiednio odosobnionym. Jakkolwiek niezwykle miło mi się z tobą gawędziło, muszę przerwać tę przyjemność niezwłocznie. Mam bowiem jako wierny swoje obowiązki. Jesteś bardzo uduchowioną osobą, Hanno! Powinnaś zajrzeć do naszego Kościoła. Jestem przekonany, iż na obliczu twym zachwyty wielki zostałyby wypisane. Nie zwlekaj zatem, tylko skieruj swe kroki do najbliższej świątyni, by wspólnie wysłuchać naszych drogich sióstr Reklam. Tak świeżych nigdzie nie spotkasz.

– Och! Och! Jak Kapłan! Mówisz jak prawdziwy Kapłan! Prze-prze-przepięknie! – aż zapiszczała z zachwyty.

– Wybacz, Hanno, lecz czas mój nadchodzi. Doprawdy, muszę się już udać w osobne miejsce celem medytowania.

– Naturalnie, naturalnie. Nie zatrzymuję cię w drodze do Oświecenia. Gdzieżbym śmiała! – Hanna dostosowała się do górnolotnego stylu rozmowy.

– Pozdrowienia dla Olafa i bądź szczęśliwa!

– Bądź szczęśliwy, Adrianie! – Pomachała mu i ruszyła w stronę budki z wata cukrową, mamrocząc pod nosem słowa aprobaty: – Co za zmiana... Co za niesamowita zmiana! Niech Celestis za ten cud będą dzięki.

Usiadł na ławce, kiedy tylko zniknęła za drzewami. Minuty płynęły nieznośnie wolno. Czekał dobrą godzinę, lecz nikt się nie pojawił. Nie wiedział, co o tym myśleć. Postanowił przejść się kawałek, niezbyt daleko, by nie zgubić z oczu miejsca spotkania. Po kolejnych trzech kwadransach nadal nikogo nie było. Zniechęcony, wrócił na ławkę. Stracił już nadzieję, kiedy jakiś mężczyzna minął go szybkim krokiem, po czym cofnął się i usiadł obok. Na wszelki wypadek Adrian się nie odezwał, wolał poczekać na ruch nieznanego. Ten jednak posiedział chwilę, przeglądając rozrzucone na przylegającym do ławki stoliku tradycyjne ulotki, następnie wstał i bez słowa odszedł. Teraz Adrian zaczął się naprawdę poważnie martwić, był przekonany, że nieznanomy miał go zabrać do siedziby. Nie rozumiał – jeszcze się nie zdarzyło, żeby nikt po niego nie przyszedł.

Mijała trzecia godzina. Nie było sensu dalej tkwić w Parku. Zdecydował, że wróci do domu i tam poczeka na jakiś sygnał ze strony Memorystów. Kiedy wstawał, jego wzrok padł na pozostawioną przez mężczyznę ulotkę. Kątem oka zauważył nabazgrany czerwonym flamastrem dopisek. Wziął kartkę do ręki. „Wiecznego Szczęścia 18” – przeczytał. Przypadek czy wskazówka? Dopisek mógł być wiadomością. Postanowił to sprawdzić i pójść pod wskazany adres. Jak większość mieszkańców, doskonale znał tę ulicę. Umieszczono przy niej Monument Chwały

Celestis, jeden z ważniejszych pomników w Mieście. Ruszył w kierunku niewielkiego, przyległego do Parku placu, za którym widniało osiedle niskich, parterowych domów do wynajęcia, chętnie wykorzystywanych przez publiczność licznych w tej okolicy festiwali. Przez środek osiedla biegła szeroka, wyłożona marmurową mozaiką Aleja Wiecznego Szczęścia.

Pogratulował sobie czujności – już z daleka dostrzegł rudą czuprynę Marion. Dziewczyna szybkim, nerwowym krokiem chodziła w tę i z powrotem, a wyraz jej twarzy nie zwiastował niczego dobrego. Spodziewał się, że może nie być zachwycona, faktycznie stracił mnóstwo czasu na rozmowę z Hanną, ale Marion powinna to zrozumieć.

– Witaj! Co u ciebie? Czy jesteś szczęśliwa? – odruchowo przywitał się w tradycyjny sposób.

– Nie widać?! – wypaliła wściekła.

– Przepraszam. Rzeczywiście głupio zabrzmiało... – Spróbował załagodzić sytuację.

– Idiotycznie. Jak niemal wszystko, co tu wymyślono.

Po raz kolejny dotarło do niego, jak bardzo nienawidziła Nowego Świata. Uważał taką bezkompromisowość za pewną przesadę – w końcu ich rzeczywistość miała swoje zalety. Nie chciał jednak drażnić Marion, więc tylko przytaknął.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła mu do ucha, nachylając się tak blisko, że aż poczuł jej oddech na policzku.

Cofnął się odruchowo, choć to było całkiem miłe... Od Przybycia uczono Adriana, że przyjemność wiąże się ściśle z przestrzeganiem Reguł. Coraz częściej przekonywał się, że łamanie zasad także nie musi być szczególnie przykre. Wyobraził sobie, że wyciąga dłoń i dotyka jasnej, szczupłej szyi Marion. W rzeczywistości nadal by się nie ośmielił, za to w myślach robił to coraz odważniej. Dziś też była ubrana jak kobieta. Miała na sobie jasne spodnie, skąpą bluzkę w orientalne wzory oraz wiśniowe szpilki. Podziwiał jej starannie ułożone włosy, które lśniąco, miedzianą kaskadą opadały na drobne ramiona i nagie plecy. Plecy, po których chętnie przesunąłby palcami.

– Ruszysz się czy będziemy tak stać do wieczora? – Szorstki głos wyrwał go z marzeń. – Wsiadaj! – Nawet nie próbowała być miła.

Kiedy usadowili się w małym statku powietrznym, spojrzął na mocno zaciśnięte usta dziewczyny i postanowił się obronić. Jej pretensje nie były sprawiedliwe.

– Marion, wybacz... nie mogłem się pozbyć Hanny od razu. Musiałem z nią pogadać. Ona jest bardzo bystra. Mogłaby nabrać jakichś podejrzeń, gdybym... – zaczął się tłumaczyć.

– Och, nic nie rozumiesz! – przerwała mu ostro. – Jaka Hanna?! Jakie pogawędki?! Mamy większe kłopoty niż twoja natrętna znajoma!

Zbladł. Wiedział, że nie żartuje. Jednocześnie był zły. Nawet jeśli coś idzie nie tak, czemu Marion wyżywa się na nim? Zrobił przecież wszystko, czego od niego żądali! Poczł falę gorąca – jak wtedy, kiedy Maszyna odmówiła mu dostępu do Nowej Dzielnicy. To nie była zwykła złość. W takich chwilach naprawdę się bał, że może zrobić komuś krzywdę.

– To twoja wina! – dodała, jakby czytała mu w myślach.

Znów nie nadązał za zmieniającą się jak w kalejdoskopie rzeczywistością.

– Po co łąziłeś do Nowej Dzielnicy?

– Nie wiem... – Zawahał się. – Chciałem ją zobaczyć. I tyle. – Co niby mógł zepsuć zwykłym spacerem?

– Trzeba było zapytać, zanim cię tam zaniósł!

– Marion... przecież nic się nie stało. Nawet mnie nie wpuścili... – Czł się coraz bardziej zdezorientowany.

– I twoje szczęście! Gdyby cię wpuścili, stracilibyśmy cię na zawsze, a razem z tobą moglibyśmy pożegnać nasz plan.

– Nie rozumiem...

– Nie rozumiem... nie rozumiem... – przedrzeźniała go. – Nowa Dzielnica to pułapka, kolejne miejsce testów Celestis! Jak Pensjonat pod Gwiazdami. Pamiętasz, co ci mówiliśmy o Pensjonacie?

– Tak... oczywiście. W Pensjonacie sprawdzają, czy nie jesteśmy chorzy. Pamiętam. Ale już tam nie chodzę.

– I bardzo dobrze. Szkoda tylko, że tak wolno kojarzysz fakty.

– Jakie fakty?

– Skąd wiedziałeś o Nowej Dzielnicy?

– Słyszałem w kościele.

– Kapłan o tym mówił? Reklamy?

– Nie... – Pokręcił głową z namysłem. Zaczynało do niego docierać. – Ludzie o tym rozmawiali.

– Nie zauważyłeś jeszcze, że jeśli coś nie jest oficjalnie promowane, to zawsze powinno wzbudzić podejrzenia? Zawsze!

Milczał. Wydawało mu się, że sporo już wie, ale kolejny raz poczuł się przy Marion, jakby dopiero wczoraj przybył na Planety.

– Celestis bezustannie sprawdza, czy jesteśmy zdrowi. Jedyńm, z czym nie poradziła sobie Korporacja, jest nuda. Totalna nuda. Taka, że nawet nie chce ci się

wstać, żeby sięgnąć po te wszystkie wspaniałości, które masz w zasięgu ręki. Rozumiesz?

To akurat rozumiał. Aż za dobrze.

– Jeśli ktoś choruje, to znaczy, że nie pomógł mu Światowy Program Generacji Pragnień – kontynuowała. – Wiesz dlaczego? Bo ten ktoś nie był wrażliwy na Reklamy. A normalny, zdrowy człowiek powinien być. Nadążasz?

Potwierdził skinieniem głowy, lecz Marion na niego nie patrzyła, tylko uważnie obserwowała krajobraz za oknem.

– I powinien mieć pragnienia. Takie, jakie są mu podsuwane.

– Ale przecież od dawna nie stwierdzono przypadku prawdziwej Choroby – zaprotestował.

– Adrianie... rusz głową... Czy znów trzeba ci tłumaczyć jak dziecku?

Zauważył, że od jakiegoś czasu coraz częściej używała słów z Dawnego Języka. Nie wszystkie rozumiał, ale to akurat było mu doskonale znane. Przypomniał sobie małe zawiniątko, a w nim dziecko o imieniu Ella. Co się z nią teraz dzieje? Czy jest bezpieczna? Nie było dnia, żeby o tym nie myślał.

– Z chorymi sprawa jest prosta – ciągnęła Marion. – Terminacja skutecznie rozwiązuje największe problemy Nowego Świata. Istnieją jednak tacy jak ja czy ty, jeszcze nie chorzy, ale nieodporni na Chorobę.

– Reklamy na nas nie działają... – domyślił się. Potwierdziła skinieniem głowy. – Jak to możliwe? Przecież pasowaliśmy do Szablonu...

– To właśnie błąd Systemu, o którym mówił Ian. FS to nic. Z tym pozwolono by nam żyć. Gorzej, że z jakiegoś powodu nie ulegamy manipulacji. Celestis doskonale wie, co to oznacza. I ten cały szeptany marketing ma pomóc nas wyłapać.

– Manipulacji? – Nigdy nie słyszał tego słowa.

– Naginanie faktów w celu wpływania na innych. Jasne?

Wcale nie było dla niego jasne. Przynajmniej nie do końca. Marion ciężko westchnęła i podjęła kolejną próbę:

– Jak z Reklamami. Mówią ci, czego pragniesz, ale to wcale nie są twoje pragnienia. Och... doczytaj sobie w słowniku. – Zniecierpliwiona machnęła ręką.

Z każdym dniem widział coraz więcej, jak gdyby ktoś mu przystawił do oczu lupę. Jednak, sądząc po wściekłości Marion – wciąż za mało ostro.

– Tylko ludzi obarczonych błędem przyciągnie tajemnica. – Mimo konsternacji Adriana nie przerywała. – Dlatego stworzono Nową Dzielnicę. Celestis chce, żebyśmy sami się tam zgłaszali i poddawali testowi.

– Ankieta... – uświadomił sobie. – Myślałem, że Maszyna przesłuchuje mnie w celach bezpieczeństwa.

– Jakiego znowu bezpieczeństwa?! – zachnęła się. – Czy tak bardzo mylą ci się nasze światy? – Znowu podniosła głos, co niezbyt mu się podobało. Milczał, nie chcąc doprowadzić dziewczyny do prawdziwej furii, na której krawędzi niebezpiecznie od jakiegoś czasu balansowała. – Raj Celestis nie potrzebuje murów i bram. Szklana tafla Reguł, instrukcji, zasad i tak nie pozwala ludziom odejść. Eden Wolfa to więzienie idealne. Na Planetach sami wyciągamy ręce, błagając o kajdany. Indoktrynacja to najpotężniejsze narzędzie władzy.

– Indoktrynacja? – Tego słowa również nie znał.

– Nie mam czasu cię uczyć. Mógłbyś więcej czytać, zamiast łązić po jakichś Nowych Dzielnicach.

Uważała go za niezbyt mądrego. I kto wie, czy nie miała w tym trochę racji.

– Dobrze, że choć zżerała cię ciekawość, zachowałeś tyle rozumu, żeby poprawnie odpowiadać.

– A gdybym źle odpowiedział?

– Zaspokoiłbyś ciekawość. – Wyduła usta z ironią. – Zobaczyłbyś tę swoją Nową Dzielnicę!

– Wiesz, co tam jest, prawda?

– Nowa Dzielnica to miejsce masowej terminacji. Nikt stamtąd nie wraca. Adrianie... ty chyba naprawdę nie rozumiesz, jak bardzo jesteś ważny dla naszego projektu. Musisz być bardziej odpowiedzialny... – dokończyła nieco łagodniej.

– Nie miałem pojęcia, że robię coś złego...

– Myślałam, że cię wyedukowaliśmy, a ty wciąż czasem zachowujesz się jak typowy produkt Korporacji.

Była przemądrzała, wywyższała się, czym zaczynała go denerwować. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed chwilą marzył, by złamać z nią Reguły Dobrego Wychowania. Teraz nie miał najmniejszej ochoty dotykać spiętego, bladego ciała Marion.

– Na szczęście Hamza uruchomił już odpowiedni program, żeby stale cię pilnować. W terenie zaopiekuje się tobą Philippe. Jeśli sobie z czymś nie poradzisz, pomoże, ale lepiej, żeby go z tobą nie widywano – dodała lekko, jakby chodziło o rodzaj kanapki, którą zjedzą na kolację.

– Będziecie mnie obserwować? Dzień i noc?

– W każdej sekundzie – potwierdziła.

– Nie zgadzam się!

- Nie masz nic do gadania. Jesteś zbyt cenny.
- A jeśli już do was nie wrócę?
- Sprowadzimy cię siłą.
- Więc jestem waszym więźniem?
- W pewnym sensie... jeśli tak chcesz to nazywać. Widzę, że jednak trochę studiowałaś słownik. Czyżbym źle cię oceniła? – drwiła sobie z niego w najlepsze.
- Nie mam wyboru? – upewnił się, z góry znając odpowiedź.
- Nie. Chociaż... – zawahała się – właściwie masz. Możesz pod naszą dyskretną obserwacją cieszyć się swobodą albo... – Zawiesiła głos.
- Albo?
- Zamkniemy cię w laboratorium. – Jej twarz była nieruchoma, a oczy wpatrywały się w niego złowrogo. Zrozumiał, że Marion nie żartuje. – Nie mamy wyjścia. Okoliczności się zmieniły.
- Przez Nową Dzielnicę?
- Nie. To akurat udało się w porę wychwycić. Underhill z Hamzą pozbyli się z Systemu niewygodnych danych. Nie ma śladu po twojej ankiecie, a nawet po tym, że tam byłeś. Usunęli też opinię, którą zamieściłeś w Bibliotece i wszelkie skany. Soto musiał zniszczyć Maszynę, która cię przesłuchiwała. Zapewne miała pamięć wewnętrzną. Upozorował wypadek. Zdarza się. – Wzruszyła chudymi ramionami.
- Dziękuję.
- Nie robimy tego dla ciebie. – Jej ton znów stał się lodowaty. Nie nadążał za błyskawicznymi zmianami nastroju tej kobiety. – Trafiłbyś do katalogu ludzi pod nadzorem. Wtedy nie mógłbyś kiwnąć palcem bez wiedzy Celestis, a więc także pracować dla nas.
- Oni nie widzą tych zmian w Systemie?
- Chyba nas nie doceniasz. Hamza jest najlepszy. – Uśmiechnęła się, po raz pierwszy tak szeroko i szczerze.

Krajobraz w dole zmienił się z chaotycznego, złożonego z drobnych fragmentów, na bardziej jednolite, rozległe kwadraty podmiejskich łąk i pól golfowych. Pomyślał, że świat wygląda z góry jak pokrojony na kawałki tort, jak słodka nagroda. Nagroda za nic. Naprawdę? Za nic? – zastanowił się. Teraz lecieli nad szczytami gór. Pod nimi rozciągały się śnieżnobiałe połacie skrzącego się śniegu oraz bladobłękitne, lśniące w słońcu tafle lodu. Nic nie burzyło spokoju nieskazitelnej przestrzeni. Niesamowite baśniowe pejzaże wyciszyły Adriana i na chwilę oddaliły wszelkie niepokoje. Może właśnie po to Carlos wracał w góry? Zerknął na Marion. Ukryta pod makijażem, ale widocznie poszarzała ze zmęczenia, drobna twarz nie pasowała

do magicznego krajobrazu. Była jego przeciwieństwem. W kącikach wąskich ust czaiło się napięcie. A może strach? Dziewczyna przeglądała jakieś dane na wmontowanym w pulpit sterowniczy monitorze. Nerwowo burzyła obraz, by za chwilę wywołać nowy. Jakby szukała czegoś, co skryło się przed jej wzrokiem za dziesiątkami tabelki i wykresów.

– Mówiłaś, że coś się zmieniło... – zaczął ostrożnie, nie wiedząc, czy milczenie Marion oznacza pokój, czy jedynie chwilowe zawieszenie broni.

– Musimy przyspieszyć. Sądziliśmy, że mamy czas. Ale nie. Już nie mamy.

– Dlaczego?

– O tym opowie ci Ian. Niestety, z tego samego powodu nie będziemy mogli się spotykać w Parku. To miejsce jest spalone.

– Spalone?

– No... nie jest pewne. Nie wolno nam z niego korzystać. Musimy zaostrzyć środki bezpieczeństwa. Teraz będę decydować, skąd cię zabiorę, tuż przed spotkaniem. Nikt do ostatniej chwili nie będzie wiedział.

– Nawet ja?

– Zwłaszcza ty. – Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie ufacie mi? Po tym co dla was robię?

– Nikomu nie ufamy – odpowiedziała twardo. – I nie będziesz już się widywał z June ani z żadnym z nas poza siedzibą. To zbyt niebezpieczne.

Bardzo liczył na spotkanie z June – jako jedyna traktowała go po ludzku. Przeklęta Nowa Dzielnica! Co też go podkusiło? Kto wie, kiedy teraz usłyszy odpowiedzi na nurtujące go pytania? I czy kiedyś w ogóle? Dla Marion, dla Memorystów stanowił jedynie środek wiodący do celu, lukę w Systemie. Zajęci swoim planem, traktowali go jako narzędzie. Nie był dla nich partnerem. Nigdy nie będzie. Opanował złość; dobrze wiedział, że dalsze dociekanie nic nie da.

Spoglądał na niewiarygodnie piękną Planetę i właściwie przestało go to obchodzić. Przestało go też obchodzić, czy sam przyczynił się do całego zamieszania. I tak go nie wyrzucą z programu. Odczuł głęboką satysfakcję. Może i stał się więźniem Memorystów, ale bez niego są niczym, zwykłą bandą przebierańców.

Marion zaprowadziła go prosto do gabinetu szefa, gdzie już czekali: Ian, Hamza, Underhill i ktoś, kogo Adrian widział po raz pierwszy. Wysoka, mocno zbudowana blondynka w sportowym stroju przyglądała mu się dość życzliwie, ale badawczo.

– Cilla – przedstawił ją White.

Jasnowłosa kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła w jego kierunku dużą, kanciastą dłoń. Stał niezdecydowany. Na szczęście jego konsternację wychwycił Underhill i przyszedł mu z pomocą.

– Cillo, Adrian wciąż się uczy. Wybacz mu.

Kobieta cofnęła rękę i skinęła głową.

– Cilla jest naszą specjalistką od Starej Planety – wyjaśnił Ian. – Zbiera wszystkie dane, jakich nam dostarczałeś ty oraz inni pamiętający. Składa to w całość. Dzięki niej mamy te piękne wizualizacje. – Wskazał dłonią na znane Adrianowi fotografie. – Dzisiaj się tobą zaopiekuje. Powie ci, jakich danych nam brakuje, a ty postarasz się je zdobyć. W porządku?

– Spróbuję.

– Będzie jeszcze jedna nowość. Ale o tym później. Marion omówiła z tobą kwestię niepotrzebnej wizyty w Nowej Dzielnicy...

– Nie wiedziałem...

– Oczywiście, że tak... – przerwał mu Memorysta. – To nasza wina. Powinniśmy cię ostrzec. W nawale pracy nie o wszystkim pomyśleliśmy. Niestety, jak pewnie już wiesz, musimy przyspieszyć działania.

– Co się stało? – Liczył, że tym razem ktoś wreszcie udzieli mu odpowiedzi.

– Najkrócej mówiąc, Celestis zaczęło nas namierzać. Jeszcze nie wiedzą, kim jesteśmy, gdzie się ukrywamy ani co planujemy – uspokoił go – jednak podejrzewają, że coś się dzieje. Szukają po omacku, ale to się wkrótce zmieni. Znajdą nas. Kwestia czasu.

– Skąd wiedzą?

– Dobre pytanie. Sprawdziliśmy wszelkie opcje. Nasze włamania do Systemu, ściąganie sprzętu, spotkania na pewno nie zostały wykryte. Nie popełniliśmy żadnego błędu.

– Więc?

– Zostaje jedna możliwość.

– Ktoś z nas pracuje dla Celestis?

– Na to wygląda. Nie wiemy kto. Jedno jest pewne: nikt z tu obecnych. June i Philippe'a też można wykluczyć.

– Skąd ta pewność?

– Szpieg nie wie zbyt wiele. Gdyby to było któreś z nas, Korporacja już dawno by nas dopadła. Niestety to jedyna dobra wiadomość. Nasz plan wisi na włosku. Dlatego zwiększymy liczbę sesji. Dzisiejsze testy powinny dostarczyć istotnych danych. O ile się powiodą...

Pobladła twarz Memorysty zdradzała niepokój. Nigdy dotąd nie widział Iana tak zmartwionego. Sytuacja musiała być naprawdę poważna.

– Co mam zrobić?

White niespodziewanie podszedł i chwycił jego dłoń. Adrian gwałtownie wyrwał rękę, ale zdążył poczuć przyjemne ciepło i szorstkość skóry Memorysty.

– Wybacz. Będziesz musiał zmienić zwyczaje. – Białowłosa mężczyzna uśmiechnął się, widząc jego zakłopotanie. – Na Starej Planecie tak okazywano sobie przyjaźń.

– Dotykano się?

– Tak. Na przykład ściskano sobie dłonie. Dotyk nie był niczym złym.

– Okazywano przyjaźń... seksem?

Wszyscy obecni wybuchnęli gromkim śmiechem, co wywołało w Adrianie nieprzyjemne emocje. Miał ochotę stamtąd uciec.

– Widzę, że Marion nie traciła czasu! – wykrzyknął rozbawiony Underhill.

– Nie czas na żarty. – Ian uspokoił towarzystwo. – Nie tylko w tym celu się dotykano. Chociaż też. Na Starej Planecie istniało mnóstwo sposobów dotykania. Sami jeszcze nie wiemy ile i jakich. Niektóre z tych gestów służyły uprawianiu seksu, inne zaś nie miały z nim nic wspólnego. Były wyłącznie wyrazem życzliwości. Choć nie zawsze. Czasem oznaczały wrogość. Jedno jest pewne: zasady tego nie zabraniały. Staramy się tutaj wskrzeszać stare zwyczaje. Przepraszam, być może nie jesteś jeszcze gotowy.

Adrian znów poczuł, jakby dopiero wczoraj pojawił się na świecie. Nie odezwał się; nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć. Skóra Marion była podobnie ciepła, ale nie tak szorstka jak u Iana. Miał dziwne przeczucie, że przed jej dłonią tak by się nie bronił. Wiele rodzajów dotyku... Jak rozpoznać, który jest dobry, który zły, który odpowiedni, a który niewłaściwy i – najważniejsze – skąd właściwie wiadomo, który do czego służy? Życie na Planetach wydawało się zdecydowanie mniej skomplikowane. Nie był do końca przekonany, czy chaos starych obyczajów, tak urzekający Memorystów, i jemu odpowiada. Czy nie prościej było po prostu przestać się dotykać? Wtedy, w Parku, kiedy siłą zmuszono go do wymiotów – to także był dotyk. Za nic nie chciałby go powtarzać. Zaraz jednak przypomniał sobie ramię Marion, jej nagie plecy... Może dla takich chwil warto opanować cały ten zagmatwany system?

– Chodźmy! Musimy brać się do roboty. – Cilla gwałtownie przerwała jego rozmyślenia.

W laboratorium czekała na nich June. Ucieszył go jej widok.

– Adrianie... – odezwała się Cilla, kiedy już leżał, cały oplątany czujnikami. – Dziś zrobimy inaczej. Badania wykazały, że być może będziesz umiał pokierować swoją podróżą. Nie mamy pewności, ale obliczenia mówią, że to możliwe. Chciałabym, żebyś, zanim włączymy program, intensywnie myślał o osobach ze swoich snów.

– O Amy i Elli?

– Tak. To powinno zaprowadzić cię w miejsce, w którym je spotkasz.

– Zobacze je?! – wykrzyknął podekscytowany.

– Nie wiem, Adrianie. Może... Spróbujemy?

– Oczywiście! – Nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko! Że w ogóle będzie możliwe.

– A teraz postaraj się uspokoić, bo nigdzie nie polecisz. – June nachyliła się nad nim z aparatem do iniekcji.

– Zaczynamy – wydała dyspozycję Cilla. – Myśl o Amy i Elli. O miejscach, do których prowadzi twoja pamięć. Najsilniej jak potrafisz. Szukaj najdrobniejszych szczegółów.

Kiwnął głową na znak, że rozumie.

– I jeszcze jedno: pod żadnym pozorem nie wolno ci ingerować w przebieg wydarzeń na Starej Planecie – ostrzegła. – Każda taka sytuacja tworzy tysiące nowych danych. Nie mamy czasu na poprawki. To bardzo ważne. – Czekwała na jego potwierdzenie.

– W porządku – odparł i chwilę później poczuł, jak jego umysł zaczyna wpadać w nieprzyjemne wirowanie. Tym razem się nie bał. Wiedział, że za moment karuzela się uspokoi, on sam zaś popłynie miękko ciemnym Tunelem w kierunku światła.

9

Nie udało się – pomyślał, przerażonym wzrokiem obserwując puste, gdzieniegdzie usłane zwałami gruzu połacie ziemi. Świat zawirował mu przed oczami. Nie zobaczy dziś Amy ani Elli... być może nigdy... – opadał na samo dno rozpacz. Ostatkiem sił podniósł się z kolan. Gdzieś, głęboko w sercu, wciąż tliła się nadzieja. Nie może się poddać. Jeszcze nie. Ogarnął spojrzeniem surowy krajobraz. Nic wokół nie wydawało się znajome. Przed podróżą, jak kazała Cilla, intensywnie myślał o złotowłosej dziewczynce i jej matce. Próbował dokładnie sobie przypomnieć dom, ogród, kolory ścian, kwiaty w doniczkach, solidny, kuchenny stół i stojący na nim biały imbryk. Zobaczył nawet kremowe, ozdobione roślinnymi motywami filizanki. Skupił się – nie, to nie kwiaty, tylko błękitne, górskie widoki. Serce zabiło mocniej. Precyzyjnie, krok po kroku, odtwarzał w pamięci każdy szczegół. Wydawało mu się... był pewny, że zmierza we właściwym kierunku.

A teraz ze ściśniętym gardłem tkwił pośrodku pustkowia i starał się pokonać obezwładniający strach, że już nigdy nie odnajdzie swojej małej Elli. Nie wiedział, co się stało: czy Cilla się myliła, czy to jego zawiodła pamięć. Otoczenie ani trochę nie przypominało ulicy z jego snów. Miał tu jednak spędzić zaledwie godzinę; musiał natychmiast wyruszyć, by zdobyć jak najwięcej informacji. Zmrużył oczy i raz jeszcze się rozejrzał – w oddali majaczyły jakieś zabudowania.

To była siódma podróż na Starą Planetę. Wcześniej ani razu nie natknął się na ślad Amy czy Elli. Poza brodaczem z motelu spotkał tylko dwie osoby. Pozostali mężczyźni wyglądali niemal identycznie jak pierwszy: zarośnięci, brudni, odrażający. Na drugiego natknął się podczas trzeciej podróży. Znalazł go w prowizorycznym szałasie, wzniesionym wśród rachitycznych resztek czegoś, co pewnie kiedyś było lasem, lecz teraz niewiele różniło się od pustyni. Mężczyzna spał. Wokół niego wały się podarte gazety, którymi nieporadnie próbował się chronić przed przeraźliwym zimnem. Tamta podróż, jak poprzednie, okazała się daremna. Adrian niczego nowego się nie dowiedział. Podobnie zresztą jak podczas kolejnych. Poza tym, że gdzieniegdzie leżał śnieg lub było więcej piasku, wszystkie miejsca nadal stanowiły pustkowia. W trakcie przedostatniej podróży natrafił na rozległy, położony pośród kamiennych budynków plac. Miał nadzieję, że spotka tam ludzi, lecz

miasteczko okazało się opuszczone. Jedynymi żywymi istotami były dwa wychudzone wilki – wcale nie tak piękne jak na fotografiach u Memorystów – i kolejny niedomyty brodacz, urzędujący w pomieszczeniach nieczynnego baru.

Jeśli tak wyglądała Stara Planeta, skąd wzięły się ich wspomnienia? Memoryści opowiadali o ogromnych, zatłoczonych miastach, wysokich budynkach, wspaniałych mostach. O wsiach pełnych krów, ptaków oraz innych stworzeń. O zielonych łąkach, szerokich autostradach i śmigających nad tym wszystkim powietrznych statkach. Nic podobnego dotychczas tutaj nie spotkał. Zamiast tego widział niekończące się, odludne bezdroża i kilku, niemal identycznych, śmierzących brodaczy. Czy możliwe, żeby Memoryści aż tak się pomylili? Nie chciał wierzyć i nie miał zamiaru się poddawać. Będzie wracał tyle razy, ile trzeba, aż w końcu odnajdzie prawdziwą Starą Planetę, choćby miał przypłacić to życiem.

Przeszedł już kawał drogi. Krajobraz się zmienił. Przystanął i przyjrzał się zabudowaniom. To była ulica. Kiedyś. Teraz – martwe, piętrowe domy straszyły czarnymi dziurami po wybitych szybach, a wiatr tarosił resztkami zdobiących je niegdyś firanek. Wszędzie witała go ta sama ruina, która jednak mgliście z czymś mu się kojarzyła, coś przypominała. Na rogu, głośno skrzypiąc, kołysał się szyld z wypisaną ozdobną, różową czcionką nazwą „Fairy Cakes”. Nagle zyskał pewność – znał to miejsce! Obejrzał się za siebie. Na drugim końcu ulicy powinien stać niewielki kiosk z gazetami i kawą. Została po nim tylko zniszczona, brązowa budka z odrapanym, brudnozielonym napisem „FRESH COFFEE. ONLY THE FINEST SERVED HERE”. Wstrząśnięty obserwował bezmiar zniszczenia. Jego ciało przeszył dojmujący ból, ale Adrian nawet się nie poruszył. Stał jak zamrożony. Wszystko poznawał. Ten upiorny, na pół zburzony dom należał do ich przyjaciół – Joan i Eda Rathkinsów. Tamta masywna willa – do okropnej, starej baby, która kiedyś nakrzyczała na Ellę. Jak jej było? Pani Vidley czy jakoś tak... Po drugiej stronie ulicy znajdowała się, niegdyś okazała, teraz doszczętnie zdewastowana rezydencja hałaśliwego muzyka, którego piosenek nie słuchali, ale zdaje się, że był dość popularny. Zdobiąca podjazd kiczowata kopia Wenus z Milo nadal tam tkwiła, jak gdyby nic się nie zmieniło. Znał tu każdy kąt i każdy kamień, mieszkali przy Shadow Way od dziesięciu lat – nie mógł się mylić. Stał przed własnym domem. Miał wrażenie, że więcej nie zniesie, że cierpienie go zabije. Znowu zerwał się wiatr. Ostre porywy zaczęły go spychać w stronę budynków. Wszędzie fruwały strzępy gazet, fragmenty dachówek i połamane gałęzie. Nakrył głowę rękami, by choć trochę ją ochronić. Nogi się pod nim ugięły, a piersią targnął gwałtowny szloch. Usiadł na spękanej powierzchni asfaltu. Bronił się z całych sił przed straszliwą prawdą, która

atakowała go z każdego zakamarka umysłu. Objął ramionami kolana i skulił się w sobie.

– Zabierzcie mnie stąd – wyjęczał. – Zabierzcie...

– Adrianie! Adrianie! – Usłyszał dobiegający spośród zawieruchy kobiecy głos.

– Amy? Amy, to ty?!

Chciał wstać, lecz wichura docisnęła go do zimnej, szorstkiej powierzchni. Jedyne, co mógł dostrzec, to wirujące ze śmieciami kłęby pyłu. Tuż przed nim upadł fragment gazety. „PROCES POKOJOWY” – zdążył przeczytać, zanim wzmagający się huragan porwał papier. Obok leżała srebrna patera. Wciąż chroniąc głowę przed nadlatującymi ze wszystkich stron przedmiotami, kątem oka obserwował zniszczoną, metalową powierzchnię. A więc tyle zostało? Kawalek złomu i unoszone wiatrem strzępy?

– Adrianie! – Znow usłyszał wołanie, tym razem dużo bliżej.

Do wichury dołączyła gwałtowna ulewa. Po spękanej nawierzchni spływały bulgoczące, spienione strugi. Woda zalewała mu oczy i usta. Nie miał sił na walkę z żywiołem. Tonął. Skulony na mokrym asfalcie wyszeptał:

– Amy...

Wiatr porwał jego głos. Brudna nawałnica zmyła resztki nadziei. Był gotów odejść. Na zawsze.

– Adrianie! To ja! Wracaj! – Ktoś krzyknął mu prosto do ucha, jednocześnie szarpiąc go za ramię.

Nieprzytomnym wzrokiem omiótł świecące w ciemności ekrany. Gdzie się podział wiatr? Gdzie ulewa? A Amy? Gdzie jest Amy? Zatrokana twarz June przybrała od monitorów błękitnawy odcień. Zerwał się w panice, jednak lekarka zdecydowanym ruchem go powstrzymała.

– June... ja... – zaczął i zaraz umilkł. Sam nie wiedział, co chce jej przekazać. – To było... – Po policzkach spływały mu łzy. Ciepłe i słone. Płakał. Drugi raz w tym życiu. Każdy kolejny szloch łagodził ból, wyciszał rozpacz. – Tam... – próbował opowiedzieć, co zastał na Starej Planecie, lecz kolejne spazmy szarpnęły jego ciałem, a słowa uwięzły w gardle.

Kilka godzin później, kiedy opatulony kocem siedział w fotelu, nadal nie mógł pozbyć się sprzed oczu koszmaru, którego był świadkiem.

– Cóż, Adrianie, najwyraźniej się pomyliliśmy – powiedział Ian ze smutkiem. – Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Poważny błąd. Ostatnie zarejestrowane przez nas

wspomnienia pochodziły z końca ubiegłego roku... Kto mógł przypuszczać, że sytuacja na Starej Planecie tak szybko się zmieni?

Zgarbiony przy staromodnym biurku Memorysta wyglądał, jakby nagle się skurczył, zapadł w siebie. Nic nie pozostało z jego władczej sylwetki i dumnego spojrzenia. Pobladła twarz zlewała się z białymi włosami, a podkrążone oczy świadczyły o wielu nieprzespanych godzinach. Przypominał kogoś, kto wszystko przegrał.

– Mogę? – Adrian wskazał na stojący przed nim talerz z makaronem i kieliszek złotawego płynu. Pamiętał o znacznikach, przed którymi go przestrzegano.

– Jesteś na lunalu. Nie możemy cię przecież zagłodzić. – Ian słabo się uśmiechnął.

Adrian odsunął na bok talerz z jedzeniem i sięgnął po kieliszek. Pociągnął spory łyk. Obrzydliwy smak wykrzywił mu twarz; w życiu nie próbował niczego gorszego.

– Nie folgujemy sobie. Na Starej Planecie mało kto pił wykwintne alkohole. Większość była jak ten tutaj.

Nie rozumiał Memorystów, ich bezkrytycznej fascynacji Starym Światem. Teraz jednak miał poważniejsze sprawy na głowie, więc nie skomentował.

– Co dalej? – zapytał, czując, jak zbawienne ciepło alkoholu powoli uspokaja zmysły. Przy trzecim łyku smak nie wydawał się już tak ohydny.

– Dobrze pytanie... – White odsunął się od biurka i skrzyżował ręce na piersi.

– To, co tam widziałem... Czy... – Bał się wypowiedzieć swoją myśl. Bał się też usłyszeć odpowiedź. – Czy... tak jest wszędzie?

– Jeszcze nie wiemy, ale to bardzo prawdopodobne.

– Może tylko część Starej Planety jest zniszczona? – spróbował dodać sobie oraz Ianowi otuchy.

– Siedem twoich wizyt... Ani razu nie trafiłeś do miejsca, które wyglądałoby tak, jak je pamiętamy.

– Może mamy pecha?

– Nie sądzę. Tam, gdzie byłeś ostatnio, przecież istniało wielkie, piękne miasto. Sam widziałeś, co z niego zostało.

– Stara Planeta jest duża...

– Niestety, mamy też inne dowody. – Memorysta nalał sobie koniaku i wrócił za zabytkowe biurko. – W twoich relacjach pojawiły się gazety. Poskładaliśmy fragmenty. Adrianie, tam stało się coś bardzo złego...

– Wiemy dokładnie co?

– Wybuchła wojna. To na pewno. Trudno dokładnie powiedzieć, jaka jest skala zniszczeń.

Wojna... Znał to pojęcie ze słownika. Ale i z ulotek Celestis. Oznaczało coś wyjątkowo przerażającego.

– Przecież możliwe, że zniszczono jedynie część Starej Planety. Że cokolwiek ocalało. – Czepiał się resztek nadziei.

– Przykro mi... Mamy nowe dane. Wspomnienia pozyskane kilka dni temu niestety potwierdzają twoje obserwacje. W ostatnich miesiącach odnotowaliśmy też wzmożony ruch w Tunelu.

– Czy to oznacza... – Spojrzał na Iana z przerażeniem.

– Tak. Ludzie na Starej Planecie masowo umierają. Już od jakiegoś czasu. Choć Przybyć jest coraz mniej. Sytuacja się stabilizuje.

– To chyba dobrze?

– Dobrze? Szczęście mieli ci, którzy umarli, Adrianie. Widziałeś, jak teraz wygląda życie na Starej Planecie. Gdyby tylko wiedzieli o Systemie... o Planetach... nikt nie chciałby tam zostać. Ale nie wiedzą. I kurczowo trzymają się swojej ponurej egzystencji, wierząc, że im się udało. Zrobią wszystko, żeby zostać na tamtym świecie jak najdłużej. Serce mi pęka, kiedy patrzę na ten bezmiar cierpienia.

Adrianowi tak jak innym mieszkańcom Planet nieśmiertelność wydawała się oczywista. W Starym Świecie ludzie mogli jedynie wierzyć, że śmierć nie jest końcem. Ile musieli mieć w sobie siły, żeby odnaleźć w tym wszystkim sens? Pomyślał o Amy i o Elli... jego malutkiej Elli. Jak niewyobrażalny koszmar je otaczał. A on nie mógł nic poradzić. Nie mógł ich ochronić. Kiedyś sądził, że najgorszym z uczuć jest przeraźliwa, dojmująca tęsknota, teraz wiedział, że nie było nic gorszego od bezsilności.

– Co wy właściwie chcecie zrobić? – Zaryzykował najwięcej ze wszystkich, należała mu się cała prawda o tym ich wspaniałym planie.

– Chcieliśmy zrobić – poprawił go Ian. – Teraz to już nieaktualne. Cóż... plan, choć niełatwy do wykonania, nie był skomplikowany: złamać System Celestis i Tunelem wrócić na Starą Planetę.

– Tylko nie ma dokąd wracać?

– Prawdopodobnie...

– Więc?

– Nie wiem, Adrianie... Jeszcze nie wiem. – Memorysta pokręcił głową. – Ale nie dopuszczę, by tyle wysiłku poszło na marne. Znajdę rozwiązanie. Jest pewien pomysł... technicznie możliwy, choć dość ryzykowny.

– Powiesz coś więcej? – Spodziewał się, co usłyszy.

– Za wcześniej – zgodnie z przewidywaniami odparł White.

Rozległ się sygnał powiadomienia. Memorysta spojrział na ekran, po czym podniósł się zza biurka.

– Przepraszam, muszę iść do Hamzy.

Nie minęło pięć minut, kiedy drzwi znów się rozsunęły i pojawiła się w nich Cilla. Wyglądała inaczej niż dotychczas. Jej jasne włosy zostały jeszcze krócej przycięte, miała na sobie elegancki strój, uwagę przykuwały zwłaszcza niebotyczne, przezroczyste obcasy. Usiadła na biurku i z gracją założyła nogę na nogę.

– Żeby nie było nudno – skwitowała, wyłapując wbity w jej buty wzrok Adriana.

Nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki ani tym bardziej na żarty. Nie wiedział, co myśleć o tej hardej kobiecie. W niczym nie przypominała wiecznie potarganej, niechlujnej Marion.

– Coś nie mamy humoru? – Puściła do niego oczko.

Milczał. Widziała to, co on widział. Nie pojmował, jak może być w tak doskonałym nastroju.

– Za kilka dni będę miała dla ciebie nowe zadanie – oznajmiła.

– Nie wiem, czy dam radę... – Przypomniał sobie zniszczoną ulicę i huragan. Mocniej otulił się kocem. Chciał odszukać Amy i Ellę, niczego bardziej nie pragnął, ale naprawdę poważnie wątpił, czy znajdzie siłę, by wrócić do tego koszmaru.

– Dasz, dasz. – Uspokoiła go. – Nie masz wyboru. – Twarde spojrzenie jej bladych, zimnych jak lód oczu przyprawiało go o dreszcze.

– Co mam zrobić? – zapytał chłodno.

– Gazety są dla nas cennym źródłem informacji. Dlatego zależy mi, żebyś przeczytał każdy skrawek, jaki tylko znajdziesz.

– W porządku – zgodził się. – Ale mam warunek... prośbę... – poprawił się, widząc, jak Cilli tężeją rysy, a uśmiech opuszcza jej usta.

– Prośbę? – Rozluźniła się. – Czego chcesz? – Nie bawiła się w kurtuazję.

– Chciałbym wrócić w to samo miejsce. Na swoją ulicę.

– Nie ma mowy. Zbyt niebezpieczne. Tam twoje wspomnienia co prawda pracują najlepiej i to akurat dobrze, ale nie widziałeś swoich parametrów życiowych podczas ostatniej sesji! Przez chwilę się baliśmy, że cię stracimy. To byłaby katastrofa.

Znów poczuł się niczym bezwolne narzędzie w rękach Memorystów. Był dla nich cenny, dopóki spełniał swoją rolę. Czy oddaliby go na złom jak Maszynę, gdyby stracił moc? Teraz, patrząc w piękne, zimne oczy Cilli, nie miał cienia wątpliwości – za dużo wiedział, by pozwolili mu odejść.

– Cillo, zrozum... ja muszę tam wrócić. Po Amy i Ellę – spróbował ją przekonać.

– Nie zgadzam się. To za duże ryzyko. Nadzieja na spotkanie z bliskimi budzi w tobie zbyt silne emocje. Nasz program nie jest doskonały. Ciągłe go testujemy. Nie wiemy do końca, na jakie warunki jest wrażliwy, a co da radę przetrwać. Musimy zebrać jak najwięcej informacji, zanim... – Urwała.

Patrzył na nią bez słowa. Oboje wiedzieli, co miała na myśli.

– Och! – zachnęła się. – Nie przybyłeś na Planety wczoraj, sam dobrze rozumiesz, co ci grozi.

– Wy tłumacz mi coś... – Od dawna dręczyło go pewne pytanie. – White mówił, że inni mogą trafić na Starą Planetę moim śladem. To prawda? – Tak, potrafimy wysłać każdego. Ale tylko ty możesz tam bezpiecznie przebywać. – Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. – Pozostałych System namierzy w kilka sekund.

Teraz zyskał pewność, że stanowi dla nich jedyne rozwiązanie. Nie potrafił zdecydować, czy to szczęście, czy przekleństwo.

– Jest jeszcze coś – mówiła dalej monotonnym, pozbawionym emocji głosem. – Kiedy wyłączymy Szablon, ludzie zgubią drogę. Bez ciebie nie trafią do Tunelu. Musisz być ich drogowskazem. Tylko ty będziesz wiedział, gdzie otworzyło się przejście. W dniu, w którym wszystko się zacznie, spełnisz jeszcze jedną ważną rolę. Ale o tym później. – Przerwała. Wyglądało, jakby się zorientowała, że powiedziała za dużo.

W międzyczasie do gabinetu wrócił Ian. Teraz stał zaczytany w jakimś raporcie, lecz Adrian nie zwracał na niego uwagi.

– Czyli być może nigdy się nie dowiem, co z Amy i Ellą... – To było dla niego znacznie istotniejsze niż ten cały ich plan, jakkolwiek by nie był.

– One nie są ważne. Ważny jest plan – odpowiedziała, jakby czytała mu w myślach.

– Cillo... – odezwał się White. – Nie możesz takich decyzji podejmować sama.

– Dbam o bezpieczeństwo projektu. – Nie wyglądała na skruszoną.

– Nie jesteśmy Maszynami, tylko ludźmi. Chyba o tym zapominasz – skarcił ją ostro.

– Mam wrażenie, że to ty o czymś zapominasz. Byłam pierwsza. I beze mnie niczego nie zdziałacie. – Otwarcie okazała wrogość.

– Adrianie, doskonale rozumiem twoje pragnienie odszukania bliskich. – White zignorował uwagę Memorystki. – Zawrzyjmy układ. Poświęć kilka sesji na zgromadzenie materiału do badań, zgodnie z tym co zleci Cilla. Kiedy już zbierzemy potrzebne informacje, sam zdecydujesz jaka będzie kolejna podróż.

Rozwiązanie wydawało się Adrianowi dość rozsądne. Ale czy mógł im zaufać?

– W porządku. Zgadzam się – powiedział w końcu.

Na przypieczętowanie umowy uściskał Ianowi dłoń. Memorysta odwzajemnił uścisk bez słowa, za to Cilla patrzyła na ten gest szeroko otwartymi oczami. Po raz pierwszy widział, żeby coś ją zaskoczyło.

– Odrobiłem lekcje. – Rzucił jej pełne satysfakcji spojrzenie. – Schnitzer Hans Georg, „Poradnik współczesnego savoir-vivre’u”. Bardzo pouczająca lektura. Z waszego księgozbioru.

– Nie wiem, czemu tak mu ulegasz... Narażasz plan. – Wyraźnie nie była zachwycona decyzją White’a.

– Bo z niewolnika nie ma pożytku, moja droga. Gdyby Wolf pamiętał o tej zasadzie, nie popełniłby wielu błędów, o czym sama wiesz najlepiej. A teraz was przeproszę, muszę wracać do roboty. – Zasiadł przy biurku.

Na twarzy Cilli nie pozostał nawet ślad po emocjach sprzed chwili. Obrzuciła Adriana beznamiętnym spojrzeniem i wyszła. Odetchnął z ulgą, nie czuł się swobodnie w obecności tej oschłej kobiety. Zerknął na zatopionego w raportach White’a i nagle coś go zaciekawiło.

– Ianie... masz tam kogoś? No wiesz... w tym piekle?

– Nie wiem – odparł Memorysta. – Nie pamiętam.

– Tylko mnie przypomniła się rodzina? Ta prawdziwa?

White podniósł głowę znad dokumentów i przyjrzał mu się z uwagą.

– Nie. Ale lepiej nie pytaj o to innych. Nic nie powiedzą. Aż tak ci nie ufają.

Późno w nocy, obserwując znajomy taniec pięciu księżyców, Adrian zastanawiał się, czy Ian wyznał mu prawdę. A jeśli po prostu go zbył? Może i on mu nie ufał?

10

Dzisiaj miał wrócić Carlos. Lamai znów planowała przyjęcie, na które Adrian nie miał ani sił, ani najmniejszej ochoty. Szczęśliwie tego samego dnia wypadały Zachętki, czyli święto Reklam. W ostatni piątek czerwca na każdym członku Oświeconego Kościoła Celestis spoczywał obowiązek promocji. Bez konieczności tłumaczenia się Lamai, zamiast na przyjęcie, mógł pojechać do Miasta, by tam spokojnie wtopić się w tłum. Zachętki były najważniejszym świętem Oświeconych – zwyczajowo spędzali cały dzień w centrum, bawiąc się z Reklamami i szerząc ideę Wielkiej Iluminacji.

Zgodnie z oczekiwaniami Adriana, Lamai nawet nie próbowała go zatrzymać.
– Och, nie przejmuj się. To naturalne, że w tak ważnym dniu chcesz być z ludźmi ze Zgromadzenia. Zupełnie zrozumiałe – zaczęła, wybierając biżuterię na wieczór. – Może wrócisz wcześniej i uda ci się jeszcze spotkać z przyjaciółmi. Ostatnie przyjęcie było fantastyczne... Trudno będzie je przebić – dodała, nawet na niego nie spoglądając.

Kiedy zszedł ze wzgórza, minął dom Neumannów – dziś landrynkowo różowy – i znalazł się wreszcie nieopodal taśmy transportowej, odetchnął. Na szczęście, w ostatnim czasie nic nie budziło podejrzeń Lamai. Udawało mu się ukrywać wizyty u Memorystów, bezsenność, a nawet wycieńczenie organizmu. Tradycyjnie zajął wygodne miejsce przy wejściu, by móc swobodnie obserwować współpasażerów. Nawyki związane z bezpieczeństwem weszły mu już w krew – instynktownie wybierał najlepsze rozwiązanie. Mijali właśnie wirujące dyski Katedry, jak większość budynków świątecznie przystrojone w tradycyjne kolory Reklam. Także ludzie nosili dziś czerwono-złote stroje, by jak najlepiej uczcić wielkie święto. W Zachętki wszystkie Planety oddawały cześć Działowi Promocji i Marketingu.

Poczuł się zmęczony nadmiarem intensywnych barw. Oderwał wzrok od mijanych widoków i zapatrzył się w swoje dłonie, udając, że medytuje. Ostatnie sesje spędził na poszukiwaniu informacji. Zgodnie z instrukcją Cilli czytał wszystko, co mu wpadło w ręce – znalezione w opuszczonych kioskach tygodniki, strzępy gazet, ale też ulotki, etykiety, napisy na murach, poplamione bilety do kina, a nawet pisane odręcznie listy zakupów. Przez kolejne sesje nie udało mu się trafić w żadne miejsce,

odbiegające wyglądem od tych, które widział za pierwszym czy drugim razem. Zmieniały się elementy krajobrazu, jednak całość była stale przygnębiająca. Gdziekolwiek nawet rosły drzewa, panował łagodniejszy klimat, a zalewający resztki dawnego świata deszcz nie był tak lodowaty. Tam spotykał ludzi: obdartych, brudnych, wychudzonych, ale szczęśliwych, że udało im się dotrzeć w bardziej przyjazne miejsce, gdzie mieli choć mizerną szansę przetrwać. Gdyby tylko wiedzieli... Nie mógł bez bólu patrzeć na ich starania, tak bezsensowne. Niewiele im było trzeba. Ciągłe coś przynosili, uprzęтали, z ocalałych szczątków kłecili koślawe szopy, żeby schronić się przed strugami wody. Obserwował ich żalosne, uginające się pod ciężarem trosk sylwetki i nie wierzył, że potrafią się jeszcze cieszyć. Ale potrafili. Bawiące się na gruzowiskach dzieci raz po raz wybuchały radosnym śmiechem. Niewiarygodna była siła, która pchała ludzi ku przyszłości. Inni nie mieli nawet tyle szczęścia. Widział, jak zamarzają na lodowych pustkowiach, jak giną z wycieńczenia, błagalnie przyciskając czoła do wyschniętej na wiór ziemi. Starą Planetą niepodzielnie władała śmierć. Jednak każdy z ocalałych walczył. I każdy dawał z siebie w tej walce wszystko.

Kiedy Cilla przeanalizowała materiał, który udało mu się zgromadzić, stało się jasne – potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Na początku tego roku wybuchła globalna wojna. Użyto broni, najstraszniejszej, jaką człowiek kiedykolwiek wymyślił. Nie minął miesiąc, a po wsiach i miastach została spalona ziemia. Wtedy Starym Światem zawładnęły kataklizmy. Ci, którzy przeżyli wojnę, umierali z zimna, z pragnienia, ginęli w pożarach, powodziach i podczas trzęsień ziemi. A kogo oszczędziła rozgniewana planeta, dopadły: głód i choroby.

Pierwszy raz do Starego Świata trafił siedem miesięcy po wojnie. Natura właśnie zaczęła się powoli uspokajać. Cilli nie udało się ustalić, ilu przetrwało, ale z tego, co widział, nie było ich wielu. Tracił nadzieję, że znajdzie wśród nich Amy i Ellę.

Ocaleni gromadzili się na nielicznych terenach, gdzie panowały zdatne do życia warunki. Ze wszystkich stron Starej Planety wciąż nadciągali nowi. Cały świat był w trakcie wielkiej wędrówki. Brakowało wszystkiego: żywności, leków, a nawet pitnej wody. Ludzie potrafili się zabijać za puszkę kukurydzy czy buty z odpadającą podeszwą. Patrzył na tę udrękę i nic nie mógł zrobić. Parę razy próbował. Jak wtedy, kiedy zobaczył tonącego chłopca i ruszył mu na ratunek. Cilla przerwała sesję, zanim zdążył dobiec do rzeki. Nie mógł mieć do niej pretensji. Pilnowała planu – to było słuszne. Wiedziony współczuciem może uchroniłby jedno istnienie, a ile by skazał na nieopisane męki, może i na zagładę?

Koszmar, którego był niemy świadkiem, odcisnął na nim piętno tak silne, że bał się zasnąć. W nocy nachodziły go wychudzone, grzebiące w wielkim wysypisku, bose postacie. W ich, lśniących głodowym blaskiem, oczach nie było już nawet cierpienia. Jedynie pustka. Bezgłośnie wyciągali do niego ręce, po czym obracali się w proch. Nie chciał myśleć, z czym muszą się mierzyć jego bliscy. O ile w ogóle żyją... Bolała go świadomość, że każdy dzień może być dla Amy i Elli ostatnim, dręczył paniczny lęk, że nie zdoła ich uratować. Poprosił o codzienne sesje; ani trochę się nie oszczędzał. Chciał jak najszybciej zaspokoić oczekiwania Memorystów, by pozwolili mu wrócić na znajomą ulicę.

Słabł – przez intensywne eksperymenty, a zwłaszcza przez lunal, który musiał teraz stale przyjmować, choć bardzo źle go znosił. June sugerowała odpoczynek, bała się, że jego organizm nie wytrzyma zbyt silnych emocji. Wreszcie musiał przyznać jej rację, niechętnie zgodził się na dwudniową przerwę. Potrzebował sił. Nie mógł zawieść Elli i Amy. Był wyczerpany, ale też podekscytowany – już za dwa dni dostanie szansę zobaczenia swojej żony i córki! Żona – po wizytach na Starej Planecie łatwo zrozumiał to słowo. Przeczytał kilka książek o zwyczajach Starego Świata. Dowiedział się, że tworzenie rodzin nie było zwykłym kaprysem, a ważną potrzebą. Pośród zagrożeń w ten sposób łatwiej było chronić siebie nawzajem. Na Planetach bliscy stanowili jedynie kolejny element przebiegłego systemu kontroli. Ostatnia myśl wydała się Adrianowi szczególnie przygnębiająca. Ich raj przypominał mydlaną bańkę – choć mienił się wszelkimi kolorami tęczy, w środku był pusty. Czy okaże się równie nietrwały?

Podczas podróży mijali ludzi, którzy na ruinach Starego Świata razem świętowali i wspólnie się smucili, uroczystie żegnali zmarłych oraz witali nowo narodzonych. Widział starca, który skrobiąc patykiem po twardej ziemi, uczył wychudzone, obszarpane dzieci alfabetu. I chłopca, który z kawałka zardzewiałego drutu brudnymi palcami majstrował pierścionek dla ukochanej. Nad zamuloną rzeką spotykał chichoczące dziewczęta w uplecionych z suchych gałązek wiankach, a na drodze – koślawe, obwieszane dziurawymi szmatami i złomem, sklecone z byle czego, wózki handlarzy. Świat się rozpadł, jednak ludzie uparcie spajali jego roztrzaskane fragmenty kawałkami zapamiętanej normalności. Odgrywając tradycyjne role, pielęgnując dawne zwyczaje, opowiadali sobie historie o świecie, który minął bezpowrotnie. W ten sposób przywracali chaosowi porządek. Jedynie pamięć łączyła ich okrutną, tragiczną egzystencję z dawnym, lepszym życiem, tylko ona dawała nadzieję. Dlatego, choć nie było już nic, przetrwały rodziny. Nadal na zgłiszczach Starego Świata ludzie przyrzekali wierność i uczciwość. Jak dawniej, po złożonej

przysiedze, patrzyli sobie w oczy, szczęśliwi, że od teraz są mężem i żoną. Taka właśnie była powojenna rzeczywistość: rozdwojona, pełna cierpienia i miłości. Nie miał pojęcia, skąd te biedne, umęczone istoty brały siłę, by tak kurczowo trzymać się resztek człowieczeństwa.

Minął okazały, marmurowy, lśniący w słońcu gmach – siedzibę Korporacji. W śnieżnobiałych ścianach złotymi prostokątami odcinały się okiennice, wysadzone szafirami oraz akwamarynami, kamieniami w barwach Celestis. Na błyszczącym dachu powiewała jedwabna, błękitna flaga ze złotą, wymyślną literą C, wpisaną w utworzony ze znaków nieskończoności pierścień – symbol wieczności i ciągłego odradzania. Obserwując trzepoczące na wietrze logo, przypomniał sobie historię, jaką kiedyś opowiedział mu Ian – o stworzeniu, które połykało własny ogon. Uroboros. Adrian jednak nadal głęboko wierzył, że krąg Korporacji uda się rozerwać. Dziś budynek dodatkowo udekorowano złotą i czerwoną, przezrystą tkaniną, przez co przypominał ogromny prezent. Prezent... – skrzywił się na to porównanie. Po prawej stronie siedziby Celestis dostrzegł złowieszczo połyskujące szyby Generalnej Kliniki.

Wysiadł na stacji Niebiańskie Ogrody. Mimo dręczących go myśli zmusił się do odpoczynku. Poza Parkiem i Biblioteką Ogrody były jednym z jego ulubionych miejsc, przynajmniej odkąd dowiedział się o prawdziwym przeznaczeniu Pensjonatu pod Gwiazdami. Ruszył między pachnącymi rabatkami w kierunku niewielkiego jeziora. Nad wodą umieszczono most, niezbyt szeroki i niezbyt wyszukany, co bardzo Adrianowi odpowiadało. Na środku drewnianej konstrukcji stała ławka. Rzadko się zdarzało, by ktoś ją zajął, spacerowicze woleli liczne polanki z wygodnymi leżakami lub szerokie kanapy przy głównej alei. Most stanowił jego azyl, często tam przychodził z wypożyczonymi z Biblioteki książkami. Miejsce miało jeszcze dodatkową zaletę – było jedyną w Ogrodach strefą wolną od Reklam. Tutaj nie musiał unikać kusicielskich szeptów i hipnotyzujących spojrzeń. Właśnie tego dziś potrzebował: odrobiny spokoju od wszystkiego. Miał sporo do przemyślenia, ale najpierw chciał się po prostu zapatrzyć w szmaragdową wodę, wyrzucić z głowy wszystkie lęki oraz niepokoje. Choć na chwilę.

Z radością, jakiej nie odczuwał od tygodni, wspiał się na mostek. Opadł na proste, wygodne poduszki i wciągnął głęboko do płuc świeże powietrze. Niebo nad Ogrodami od czasu do czasu przecinały jedynie staroświeckie statki wycieczkowe, nie było tam korytarzy szybkiej komunikacji. Zielonkawa toń jeziora odbijała wędrowną pierzastych, śnieżnobiałych obłoków. Poczuł, jak schodzi z niego napięcie ostatnich dni. Zupełnie, jakby miękkie poduszki miały magiczną moc uwalniania od trosk. Na wprost, po drugiej stronie jeziora, widział jedną z zatłoczonych, wypoczynkowych

polanek. Szczęśliwie, była na tyle daleko, że do jego uszu nie dobiegały żadne odgłosy. Z tej odległości ludzie wydawali się maleńcy jak zabawki. Marionetki. Czy Szablon przepuściłby Amy? Adrian nie miał pewności. Za to jedno już wiedział – na Planety nie sprowadzano dzieci. Były nieukształtowane i zbyt nieprzewidywalne, by algorytm sobie z nimi poradził. June mówiła, że od jakiegoś czasu, na polecenie samego Wolfa, Dział IT intensywnie nad tym pracował, na razie – bez powodzenia. Ella... Coś ścisnęło go za gardło. Nie wiedział, jaki los czeka jego córkę, ale tutaj na pewno nie dotrze.

Poddanie się rozpaczy było ostatnią rzeczą, na którą mógł sobie teraz pozwolić – nie powinien w ogóle o tym myśleć. Wbrew rozsądkowi jednak, mimo woli, na ścianie jego umysłu wyświetlały się wciąż nowe wątpliwości. Tyle pytań. I tak mało odpowiedzi. Czy kiedyś uda mu się zaznać spokoju? Nie na godzinę, dzień, lecz na zawsze? Zawsze... dziwne słowo – pomyślał. Co innego oznacza dla Lamai, co innego dla White'a, a jeszcze co innego dla Amy czy Elli. Jakim cudem ludzie dali radę tyle zbudować, skoro nie potrafią się nawet dobrze porozumieć? Może właśnie dlatego niemal wszystko, cokolwiek udało im się stworzyć, sami niszczyli?

Wpatrywał się w połyskującą, szmaragdową taflę, ale woda nie znała odpowiedzi. Zapomnieć o pytaniach i zebrać siły – to jego dzisiejsze zadanie i na nim powinien się skupić. Słuchał łagodnego szumu drzew, przyglądał się hipnotycznie wędrującym po powierzchni jeziora, drobnym falom, aż wreszcie poczuł, że powieki mu ciążyą. Muszę odpocząć... dla Amy, dla Elli... – pomyślał jeszcze, zanim się osunął na miękkie poduszki.

Nie wiedział, co go zbudziło. Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą dwóch mężczyzn w sportowych strojach. Nie wyglądali podejrzanie, raczej jakby się wybrali na jogging, więc uśmiechnął się przyjaźnie. Dopiero wtedy na rękawach błękitnych bluz dostrzegł dyskretne logo Celestis. Odruchowo spał mięśnie. Nie chciał jednak łamać Reguł Dobrego Wychowania – gestem zaprosił biegaczy do zajęcia miejsca na ławce, z czego skwapliwie skorzystali. Wiedział, że gdzieś tam, z oddali, czuwa nad nim Phil Soto. To go uspokoiło i pozwoliło się nieco rozluźnić.

– Trening, bracia moi? – zagaił. – I jak tam, drodzy? Domniemywać mogę, iż udany? Biegnąc tak przez oszałamiające Ogrody, Prezesowi Założycielowi Thomasowi Wolfowi niechże będą dzięki, jesteście zapewne niebywale, absolutnie szczęśliwi?

– O tak, bardzo, bardzo! Dziękuję – odparł wyższy z mężczyzn, drugi zaś z entuzjazmem potwierdził ruchem głowy. – Mamy tu swoją stałą trasę. Sport daje nam mnóstwo przyjemności. Nigdy nie czujemy się tak szczęśliwi jak po przebiegnięciu kilkunastu kilometrów.

– Zapewne! – zgodnie ze zwyczajem uprzejmie skomentował. – Nie ma albowiem nic bardziej budującego niżli zmierzenie się z wyzwaniem! Jakaż przyjemność z tego płynie... jakież szczęście nieopisane! Winszuję wam, o bracia, tak wspaniałego hobby! – Dawno nie rozmawiał z obcymi, trochę wyszedł z wprawy. Wciąż musiał pilnować, by jego słowa brzmiały odpowiednio patetycznie i kwieciste.

– Naszym pragnieniem jest udział w Wielkim Maratonie – wtrącił się do rozmowy niższy. – Prawdziwą ósemką w dziesięciostopniowej skali.

– Och, jakże cudownie! Jakże wprost fenomenalnie! Mieć takie pragnienie, taką ósemkę, to wielkie, wielkie szczęście, doprawdy!

– Faktycznie, daje nam dużo szczęścia – potwierdził wyższy. – A ty, bracie? Cóż porabiasz? Odpoczynek? Medytacja? Udała się? Jesteś szczęśliwy? – zaczął podpytywać, wnioskując z kolorowych szat Adriana.

– Niezmiernie, wprost nieprawdopodobnie szczęśliwym! Jak mniemam, przeogromne szczęście moje przyniosła właśnie owa medytacja, którą zaledwie od miesiąca praktykuję, ale już niezwykle efekty obserwować mogę. Zapewne woda wzmacnia moją zdolność koncentracji... A może dojrzałość oświecenia mego ją daje? Któż wie?! Któż to wie? – Pobożnie skierował oczy w stronę siedziby Celestis.

– Jakże wspaniale! Jakże cudownie! – wykrzyknął jego rozmówca. Drugi milczał i jak się zdawało Adrianowi, uważnie go obserwował. – Skoro medytacja udana, to czego teraz pragniesz, bracie?

– Och, tak wiele pragnień umysł mój wypełnia, że aż nie wiem, od czego zacząć, drodzy!

– Może od podróży? – niespodziewanie odezwał się niższy. – Bardzo, bardzo dalekich – dodał po krótkiej chwili.

Adriana oblał zimny pot. Przetarł czoło szerokim rękawem, wziął głęboki oddech i opanował nerwy.

– Och nie, nie! Nie marzę o podróżach. Mam zupełnie inne pragnienia. To znaczy... – Zawahał się, przypomniał sobie, co zeznał w ankiecie przeprowadzonej przez Maszynę z Nowej Dzielnicy. A jeśli Hamza nie usunął wszelkich danych? Jeśli ci dwaj tutaj znali poprzednie odpowiedzi? – Otóż... podróże same w sobie nie są moim pragnieniem, lecz jedna podróż. Na szczyt góry na Piątej Planecie. – Szybko zdecydował, że lepiej trzymać się dawnej wersji.

- O! Najwyższy szczyt?! – Mężczyzna z aprobatą pokiwał głową.
- Tak, tak, dokładnie taki na mej myśli. Ale chciałbym w miejsce to niezwykle, legendą owiane, wybrać się z naszymi wspaniałymi siostrami Reklamami, a może i zabrać Maszyny... Albowiem nie ma dla mnie, Oświeconego, większego szczęścia na naszych cudownych Planetach, niżli innych uszczęśliwić. Zaprawdę!
- Jesteś dobrym Oświeconym – pochwalił go niższy z mężczyzn.
- Nie wiem, jak wam dziękować za te słowa, bracia! Jakże dla mnie cenne!
- No, musimy biec dalej. Kolejne dziesięć kilometrów – rzucił wyższy i poderwał się z ławki.
- A zatem bądźcie szczęśliwi, drodzy moi! – Adrian pożegnał się w zwyczajowy sposób, starannie dbając, by na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad ulgi.
- I ty bądź szczęśliwy! – odparł niższy, nadal badawczo się przyglądając. Już mieli odejść, kiedy ten sam ponownie się odezwał:
- Pamiętaj, bracie, zbyt wiele oświecenia nie służy ludziom. Trzeba zachować umiar. Wiedza nie zawsze jest dobra – powiedział, po czym potruchtał za swoim towarzyszem.

Adrian włóczył się po Mieście bez celu. Raczej, żeby sprawdzić, czy go nie śledzą niż dla przyjemności. Nie chciał też zbyt wczesnie wracać do domu. Spodziewał się, że rozbawieni goście Lamai nie pozwolą mu tak po prostu zniknąć w sypialni, a nie miał najmniejszej ochoty na rozmowy z kimkolwiek. Zastanawiał się, czy udzielona mu przestroga dotyczyła jego związków z Kościołem czy może... Obawiał się, że to drugie. Głęboko wierzył, że nawet jeśli jest śledzony, White oraz jego towarzysze znajdą sposób na dokończenie misji. Byli zdeterminowani i nic nie mogło ich zatrzymać. Najchętniej od razu skontaktowałby się z Ianem, ale w tej chwili wydawało mu się to zbyt niebezpieczne. Jeśli go śledzą, pewnie także podsłuchują. Musiał uzbroić się w cierpliwość i czekać na znak ze strony Marion.

Dotarł do ulicy Lawendowej. Swoją nazwę zawdzięczała przewodze tej barwy na elewacjach urokliwych, małych domków, które w większości stanowiły rozmaite kafejki, cukiernie oraz przytulne, małe restauracje. O ile wiedział, nikt tam nie mieszkał, z wyjątkiem Maszyn Obsługujących. Uliczka była spokojna i bardzo cicha. Z rustykalnych, malowniczych ogródków dochodził zapach kwiatów oraz świeżo skoszonej trawy. Nad głowami spacerowiczów unosiły się miękkie fotele, które jednocześnie służyły za środek transportu. Adrianowi przypominały pierzaste obłoki, podobne do tych, jakie niedawno obserwował w tafli jeziora. Wydało mu się to dość

zabawne – tak płynąć na chmurze między kremowymi, seledynowymi i lawendowymi parkanami. Cała ulica była niewiarygodnie baśniowa, co jednak uważał za sporą przesadę.

Zajął miejsce w kafejce o nazwie Lśniący Zakątek. Rzeczywiście – wszystko tu lśniło. Ozdobione szlachetnymi kamieniami oparcia krzesel, posypana brokatem podłoga i srebrzysta zastawa migotały w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Nawet szyby udekorowano kwiatkami z cekinów. Słodycz wnętrza dodatkowo podkreślały blad różowe ściany i pistacjowe okiennice. W popołudniowych promieniach mieniła się także herbata, którą zamówił. Do kryształowego stolika dostarczyła ją mała wróżka. Nie widział jeszcze podobnej Maszyny Obsługującej. Misterny design powodował, że wróżka o zachwycającym, fiołkowym spojrzeniu, malinowych usteczkach oraz delikatnie oprószonych srebrnym pyłem jasnych loczkach, sama w sobie tworzyła widowisko. Przy każdym jej ruchu rozlegał się uroczy, subtelny dźwięk dzwoneczków, a skrzydełka rozbłyskiwały niczym gwiazdy. Niewątpliwie Lśniący Zakątek stanowił niezwykle miejsce, ale Adrian tutaj nie pasował. Chociaż... Przypomniawszy sobie o barwnej szacie Oświeconego i pomyślał, że może właśnie tu bardziej niż gdziekolwiek. Wyglądem doskonale wpisywał się w finezyjny, lukrowany, pełen przepychu krajobraz, nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że trafił do któregoś ze swoich dziwacznych snów. Uczucie to potęgował ciężki, przesłodzony zapach wanilii, czekolady i karmelu.

Przy stoliku obok siedziała dziewczyna – dość nijaka, co w takim miejscu wyjątkowo przykuwało uwagę. Ubrana w prostą, kraciastą spódnicę, ciemny sweter oraz zwyczajne, płaskie buty, wyróżniała się na tle magicznego świata ulicy Lawendowej. Upiła łyk kremowo-liliowego koktajlu, zdjęła z ręki pospolity, niezbyt efektowny holofon i ponad stolikiem uruchomiła niewielki ekran. Kątem oka zerknął na wyświetlany film. W ciemnej komnacie, wokół wielkiego, drewnianego stołu zasiadali rycerze. Jeden z nich wstał i przemówił do pozostałych. Adrian nie słyszał słów, lecz obrazek wydał mu się znajomy. W końcu sobie przypomniał – czytał tę książkę w Bibliotece, w staroświeckiej, papierowej wersji: Chrétien de Troyes „O królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, czyli Opowieść o Graalu”. Urzekły go wtedy niezwykle przygody legendarnego króla oraz jego dzielnej drużyny. Dziwne, że dziewczyna wybrała ten właśnie film – nie wyglądała na miłośniczkę rycerskich opowieści. Miał ochotę ją zaczepić w nadziei, że ciekawa rozmowa pozwoli mu zabić nieznośnie dłuzące się minuty. W porę jednak dostrzegł, że to uproszczona, animowana wersja historii, najwyraźniej okrojona do wątków obyczajowych. Już miał odwrócić wzrok, kiedy zauważył coś niezwykłego: obok rycerza pojawiła się piękna

księżniczka, chwilę rozmawiali, a potem... Nie mógł uwierzyć w to, co widzi! Rycerz objął księżniczkę i przycisnął swoje usta do jej ust, następnie zaczął rozwiązywać troczki ozdobnej sukni. Jakie to było niestosowne! Oczom Adriana ukazały się nagie piersi. Rycerz gwałtownym ruchem zadarł księżniczkę suknię, zbliżył biodra do jasnych ud. Kobieta zaczęła pojękiwać – z początku cichutko, z czasem coraz głośniej, aż wreszcie jej krzyk dało się pewnie słyszeć na ulicy. Rozejrzył się w popłochu – szczęśliwie, byli w kawiarni sami. Maszyny Obsługujące pracownicy czyściły szkło. Odetchnął z ulgą. Nie miał pojęcia, co to było, ale na pewno coś bardzo zdroźnego. Mimowolnie się zaczerwienił, zawstydzony samą sceną, a jeszcze bardziej zachowaniem dziewczyny w kraciastej spódnicy. Jakby nigdy nic, z wypiekami na twarzy wpatrywała się w holograficzny ekran. Nie wyglądała ani na zażenowaną, ani zaszokowaną. Nawet nie próbowała ukryć zainteresowania! Co za tupet! Jaki brak manier! I to w publicznym miejscu... Czytał tę książkę kilka razy, z pewnością nie było w niej podobnie gorszącej sceny. Niespodziewanie dziewczyna odwróciła się w jego kierunku i bez zwyczajowego powitania po prostu zapytała:

– Chcesz popatrzeć?

– Nie... dziękuję ogromnie, albowiem... nie jestem zaciekawiony... twoim ekranem oraz... oraz... książką na nim wyświetlaną, gdyż albowiem... znam ją doskonale... a nawet świetnie – wyjąkał.

Popatrzyła na niego z politowaniem. Albo tak mu się wydawało.

– Nie krępuj się. To nic strasznego – powiedziała bezbarwnym głosem.

– Nie. Dziękuję ci, o moja droga siostrze, dziękuję wprost przeogromnie za twą propozycję tak szlachetną, jednakże bynajmniej nie mogę skorzystać – powtórzył już nieco składniej.

– Czemu wy, Oświeceni, tak dziwnie mówicie? – spytała bez ogródek.

– Ależ, droga... moja droga, szanuję twe zdanie, albowiem każda istota ludzka i nieludzka jest moim bratem, jest moją siostrą, ale nie rozumiem, choć ubolewam, że nie jest inaczej, jednakowoż nie pojmuję, co raczysz mieć na myśli.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – To jak? Oglądasz czy nie? Bo jak nie, to lecę. Chyba że chcesz popatrzeć... mogę jeszcze zostać – zaproponowała i zniecierpliwionym ruchem odgarnęła z czoła kasztanowe włosy.

– Znam tę książkę. Czytywałem. Oto ponieważ i dlatego właśnie pozwoliłem sobie tak niegrzecznie przyglądać się twemu ekranowi, albowiem...

– Jasne, rozumiem – przerwała mu obcesowo, co również było niezgodne z Regułami Dobrego Wychowania, jednak dziewczyna nic sobie z tego nie robiła. –

Nawet wiem, co cię tak zdziwiło. – Wykrzywiła usta z ironią, przyglądając mu się bezczelnie. – Ach wy! Tacy niby oświeceni! – Prychnęła.

– Albowiem w istocie i samej rzeczy istoty owej, czytawszy opowieści, nie miałem okazji natknąć się na podobnie gorszące, sprzeczne z dobrymi obyczajami sceny. – Nie mogąc uwolnić się od kpin dziewczyny, postawił na szczerość.

– Pewnie, że nie. Bo aczkolwiek azaliż bynajmniej czytawszy, natknąć się nie mogłeś – zaczęła go przedrzeźniać, po raz kolejny bez mrugnięcia okiem łamiąc Reguły Dobrego Wychowania. – Bo to, mój arcyoświecony bracie, sceny zakazane, wycięte, usunięte.

– Co takiego?

– Ech! – zirytowała się.

– Tak. Chyba wiem, o czym mówisz – przyznał. – Skąd to masz? – Z wrażenia zapomniał o doborze słów i odpowiedniej dla Oświeconego składni.

– Ha! – Dziewczyna podniosła ramiona w geście triumfu. – A więc umiesz mówić jak normalny człowiek! Drugi obieg, kochanieńki, drugi obieg.

– Jaki drugi obieg?

– Cenzura nie zamknie nam oczu. Ani ust.

– Cenzura?

– Och, nie mam czasu z tobą gadać. Muszę iść! – Ponownie okazała nieuprzejme zniecierpliwienie. – To, co widziałeś... to była miłość. Ale co wy, Oświeceni, wiecie o miłości?! – Żachnęła się i ze złością porwała holofon ze stolika. – Nie chcesz oglądać, to nie. Nie wiesz, co tracisz! – Wzruszyła ramionami, po czym oddaliła się energicznym krokiem.

Patrzył na niknący w oddali, bujający się w prawo i w lewo kucyk. Dziwna, bardzo dziwna – pomyślał. Był wstrząśnięty brakiem kultury dziewczyny, a jednocześnie zaintrygowany brawurą. Zaczepiła członka Oświeconego Kościoła Celestis! Czy naprawdę niczego się nie bała?! Mało brakowało, a sprowadziłaby na nich nieszczęście!

Przypomniawszy sobie jej słowa. Sądził, że po podróży, lekturach, rozmowach z Memorystami coś już wie o miłości. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, by akurat to hasło sprawdzić w słowniku. Teraz niczego nie był pewien. Te dziwaczne zachowania miałyby go łączyć z Amy? Komiczne miny, żenujące odgłosy, ośmieszające poważnego człowieka ruchy – to była miłość? Inaczej ją sobie wyobrażał. Nawet scena z Pensjonatu, choć też zawstydzająca, nie miała nic wspólnego z tą nieprzyzwoitą farsą!

Po powrocie do domu odczekał, aż wyjdą wszyscy goście Lamai, po czym wygrzebał ze skrytki słownik. „Miłość – głębokie uczucie do drugiej osoby, któremu zwykle towarzyszy pożądanie”. Szybko przerzucił kartki i odszukał kolejne hasło: „Pożądanie – silny pociąg fizyczny, wielka chęć posiadania czegoś”.

Definicje niczego nie wyjaśniły, a tylko bardziej zmałyły obraz. Stało się dla niego jasne, czemu nie zniszczono słowników. Bez wiedzy uzyskanej od Memorystów, zdobytej na Starej Planecie, były niemal bezużyteczne. Przypomnił sobie jeszcze jedno słowo, które wypowiedziała dziewczyna w kraciastej spódnicy. „Cenzura – urzędowa kontrola publikacji, widowisk teatralnych, audycji radiowych itp., oceniająca je pod względem politycznym lub obyczajowym”. W przeciwieństwie do miłości, czym jest cenzura, rozumiał doskonale.

– No to mamy problem. – Ian pokręcił z niezadowoleniem głową. – Biegacze i dziewczyna to nie przypadek. Celestis zaczęło ci się uważnie przyglądać. Spodziewaliśmy się tego, choć nie tak szybko. Cóż... znów będziemy musieli zmienić plany. Przyspieszyć.

– Coś mi grozi?

– Nie sądzę, by chcieli twojej terminacji. Paradoksalnie jesteś dla nich równie cenny jak dla nas. Potrzebują informacji. Potem, kiedy nas już wyłapią, staniesz się dla nich materiałem do badań. Dzięki tobie zamkną lukę w Systemie. Tymczasem obserwują, czekając na nasz błąd... Dwóch facetów miało cię trochę nastraszyć. A dziewczyna...

– Wyglądała niegroźnie. Raczej jak jedna z was.

– W tym rzecz. To typowa prowokatorka. Nielegalny film, wygląd, bezczelne zachowanie... Wszystko, żebyś jej zaufał.

– Nic nie powiedziałem.

– Nawet gdybyś chciał, nie pozwolilibyśmy na to. Ale zachowałeś się naprawdę bez zarzutu – pochwalił go. Adrian ze zdumieniem zauważył, że uznanie Iana mile go polectało, bardziej, niż mógł podejrzewać. – Jednak to nie poprawia naszej sytuacji – kontynuował Memorysta. – Mamy coraz mniej czasu. Wiedzą o nas. I to, jak widać, sporo. Na szczęście, nie wszystko...

– Skąd tyle wiedzą?

– Połączyli fakty. Jest wśród nas ktoś, kto nie życzy nam dobrze. Część informacji mają od niego. Drugą część dośpiewała im Lamai.

– Moja siostra?

– Przecież nadal chce ci pomóc. Uważa, że jesteś chory.

– Nie uwierzyła w moją przemianę?

– Nie przekonałeś jej. Złożyła doniesienie do Celestis i pewnie systematycznie im raportuje. Tyle wystarczyło, żeby wysłali za tobą agentów.

– Czemu nie zabrali mnie do Kliniki?

– Bo w tej chwili nie chcą ciebie. Znaczą, nie tylko ciebie. Chcą wszystkich. I sądzą, że ich do nas doprowadzisz.

– Może już tak się stało?

– Nie. Znają pomniejsze kryjówki, ale tutaj jeszcze nie trafili. Nasze procedury bezpieczeństwa zadziałały. Jednak nie możemy dłużej czekać. Każdy dzień zwłoki to ogromne ryzyko.

– Czy kogoś z naszych zatrzymano? – Zaniepokoił się.
Ian zaprzeczył ruchem głowy.

– Na razie kilku obserwują. Pewnie biorą ich za jakąś wywrotową grupę, która chce obyczajowej rewolucji. W tym nasza przewaga. Nie mają pojęcia, jaką broń mamy w rękach. I co zamierzamy z nią zrobić.

– Nadal nikt mi nie wyjaśnił, co planujecie. Nie sądzisz, że najwyższy czas?

– Tak, pora, żebyś się dowiedział, co się stanie. Być może już pojutrze.

– Pojutrze? – Adrian był wstrząśnięty. Obiecali mu przecież jeszcze jedną sesję, powrót do domu, a teraz mówią, że to koniec?

– Mam nadzieję. Zależy od tego, czy Hamza z Underhillem będą gotowi.

– Gotowi? Z czym?

– Z wirusem.

– Mówiłeś, że nie ma po co wracać na Starą Planetę...

– To prawda. Nie wrócimy tam. Sprowadzimy naszych bliskich tutaj. A Zarząd Celestis odesłamy do Starego Świata. Nie możemy zostawić Wolfa i jego ludzi na Planetach. To zbyt ryzykowne. Musimy się ich pozbyć. Zresztą, zasłużyli na to.

– Zrobicie to za pomocą wirusa?

– Wirus załatwi wszystko za jednym zamachem. Hamza nazwał go Apokalipsą. Apokalipsa... wiesz, co to znaczy?

Potwierdził skinieniem głowy. Przypomniawszy sobie Biblię. Przez chwilę miał ochotę o nią zapytać, ale zrezygnował. Wolał nie rozpraszać Iana, skoro ten wreszcie postanowił mu zdradzić szczegóły planu.

– Kto by pomyślał, że taki z Hamzy żartowniś... – Uśmiechnął się White.

Adriana jakoś to wcale nie bawiło. Współpracowali z Hamzą, lecz nigdy się nie polubili. Apokalipsa doskonale pasowała do tego mężczyzny o ponurej twarzy i czarnych jak węgiel oczach.

– Jeśli się uda, spróbujemy też sprowadzić zwierzęta. Żeby dokładnie odtworzyć obraz Starej Planety sprzed globalnej wojny.

– Jeśli się uda?

– Adrianie... nie będę cię oszukiwał. Apokalipsa jest gotowa. Ale zabrakło czasu na testy. Ryzykujemy. Nie mamy wyboru.

– To szaleństwo! – Jak miał ich powstrzymać?

– Nie mamy wyboru – powtórzył twardo White.

Adrian znał ten ton.

– Chcecie zabić wszystkich na Starej Planecie? I w ten sposób sprowadzić ich tutaj? – upewnił się.

– To jedyna metoda. Udało nam się dostać do Systemu Celestis i rozpracować Szablon. Nie będzie żadnego algorytmu, żadnych ograniczeń. Wszyscy, którzy umrą na Starej Planecie, trafią tutaj. Musisz ich tylko przyprowadzić.

– Jesteśmy przygotowani na ich przyjęcie? Procedura Zero jest skomplikowana, potrzebni są fachowcy. To będzie masa ludzi...

– Tym zajęła się June. W ostatnim czasie zwerbowała mnóstwo ochotników do naszej misji. Nie masz pojęcia, ilu lekarzy miało wątpliwości co do naszego idealnego świata. Jednak to rodzi kolejne niebezpieczeństwo... – Widząc, że Adrian chce coś powiedzieć, gestem nakazał mu milczenie. – Coraz więcej osób o nas wie.

– Coś może pójść nie tak, prawda? – W końcu udało mu się zadać dręczące go pytanie.

– Oczywiście. Zawsze coś może zawieść. Wszystkiego nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

– A jeśli się nie uda? Co wtedy? – Znał odpowiedź. Jeśli się nie uda, zniszczą wszystko. Nie będzie już ani Nowego, ani Starego Świata. Zostanie po nich tylko kurz.

– Nie myśl o tym, Adrianie...

– Jak mam o tym nie myśleć?! To dotyczy także Elli i Amy! Nawet nie wiem, czy żyją. Mówiłeś, że będę mógł je odnaleźć!

– Będziesz mógł. Jeszcze dziś. Ale najpierw obiecaj, że po powrocie coś dla mnie zrobisz.

– Chyba wystarczająco dużo zrobiłem! – Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Miał dość ich warunków, wiecznych żądań. Gdyby nie Amy, gdyby nie Ella, wyszedłby stąd natychmiast i nigdy nie wrócił.

– Jesteś nam potrzebny. Jesteś potrzebny swoim bliskim... – Ian spojrział prosto w rozgorączkowane oczy Adriana. – Wszystko zniszczyć może każde z nas. To akurat

nie jest trudne. Jednak tylko ty potrafisz nas ocalić. Otworzysz Tunel i wskażesz innym drogę, a po wszystkim zamkniesz go na zawsze.

– Wiem, Cilla mi mówiła.

– Zatem wiesz także, że bez Szablону ludzie tu nie trafią. Musisz im służyć za przewodnika. Adrianie... bez ciebie nie odbudujemy Starego Świata. Dogadajmy się, a dziś jeszcze będziesz mógł odnaleźć żonę i córkę. Albo nigdy nie wrócisz na Starą Planetę. Wybieraj.

– Tak dotrzymujecie słowa?!

– Są sprawy ważniejsze niż dane słowo. A nawet ważniejsze niż ty, Marion czy ja...
Ważniejsze niż my wszyscy.

Wszystko się w nim buntowało. Jeśli chciał uratować Amy i Ellę, nie miał wyboru – musiał ulec szantażowi Memorystów.

– Co mam zrobić? – zapytał ponuro po chwili milczenia.

– Wrócisz na Starą Planetę. W określone przez nas miejsce. Znajdziesz tam walizkę. Podamy ci kod. W walizce będzie przycisk. Wystarczy, że go użyjesz.

– Co się stanie, kiedy to zrobię?

– Stara Planeta jest wciąż uzbrojona. W czasie globalnej wojny nie wykorzystano nawet jednej dziesiątej zasobów broni. Uruchomisz system, który odpali to, co zostało, ukryte głęboko pod ziemią. – Ian zerknął na pejzaż z jednym księżycem.

Adrian podążył za jego wzrokiem.

– Odpalisz bomby, w tym czasie Underhill wyłączy Szablon, a Hamza wpuści wirusa. Uruchomimy Apokalipsę. June będzie gotowa na przyjęcie nowo przybyłych. Ty wskażesz im drogę. Dlatego jest tak ważne, żebyś do nas wrócił.

– Chcecie doszczętnie zniszczyć Starą Planetę... Ja ją zniszczę... – Do Adriana zaczęła docierać przerażająca prawda.

– Stara Planeta przetrwa, ale będzie martwa. Wolfowi, Zarządowi oraz sprzymierzeńcom Korporacji nie będzie łatwo się tam zadomowić.

– Czemu ich po prostu nie zlikwidujecie? Nie poddacie terminacji?

Ian milcząco wpatrywał się w wiszące na ścianach fotografie.

– Widzę, że choć raz dogadałbyś się z Hamzą – odezwał się wreszcie. – Ja nie podzielam jego zdania. Nie jesteśmy zbrodniarzami, Adrianie... Nie chcemy być podobni do Wolfa. Damy im szansę, daleko stąd, tam, gdzie nikomu więcej nie będą mogli zaszkodzić.

– Skażecie ich na niewyobrażalne cierpienia... – To było okrucieństwo większe od śmierci. Sam wiedział najlepiej, że już teraz życie na Starej Planecie jest pełne bólu, a

po Apokalipsie... Nawet nie próbował sobie tego wyobrazić. – Lepiej, żeby przestali istnieć... – wyszeptał.

– Lepiej dla nich – zgodził się Ian. – Ale czy o to nam właśnie chodzi? Czy to będzie słuszne? Adrianie... – Westchnął ciężko. – Może masz rację, jednak jest jeszcze coś, co nazywamy sprawiedliwością. Śmierć byłaby dla tych ludzi zbyt łagodną karą. Chcemy, żeby cierpieli. Za to, co zrobili, powinni cierpieć. To będzie sprawiedliwe. Nie odbieramy im życia. Nie pozbawiamy szansy. Człowiek jest silnym stworzeniem. Poradzą sobie. Może nie wszyscy, ale niektórzy z pewnością. To chyba w porządku?

– Nie wiem... – odpowiedział szczerze. Miał mętlik w głowie. Uczestniczenie w tym niedoskonałym, nieprzygotowanym planie zakrawało na szaleństwo. Ujrzał przed oczami dwie jasnowłose kobiety. Istnieje przecież jakaś szansa, że je uratuje. Nawet jeśli niewielka... bardzo chciał spróbować. – Sam już nie wiem, co jest słuszne, a co nie... – dokończył.

– Być może tu nie ma jednej racji, nie ma idealnego rozwiązania. W prawdziwym świecie czasem trzeba dokonać trudnego wyboru. My wybraliśmy. Czy ty też?

Adrian milczał.

– Powinieneś teraz odpocząć. Wypij. – Memorysta podał mu niewielką fiolkę z bezbarwnym płynem.

– Co to?

– Coś, co pomoże ci zasnąć. Wiem, że masz z tym kłopoty, a potrzebujemy cię w pełni sił. Bez obaw. – Uspokoił go. – Przecież nie możemy cię zabić. Jesteś dla nas zbyt cenny. – Roześmiał się swobodnie, jakby właśnie zakończyli pogawędkę o planach na najbliższy weekend.

Cilla bez słowa podała mu tabletkę, po czym podeszła do pulpitu i uruchomiła program. A więc to już. Zobaczy Ellę i Amy. O ile żyją... O ile są tam, gdzie sądził, że być powinny... O ile... Tyle wątpliwości, tyle słabych punktów, a mimo to nie tracił nadziei. Co innego mu pozostało? Wziął głęboki oddech, by zahamować mdłości, i opuścił Planety.

Lodowaty asfalt ziębił policzek. Podniósł głowę ze spękanej, szorstkiej powierzchni. Nie miał siły wstać. Jego umysł nadal zachowywał się jak zamknięty w wirówce. Skupił się, by powstrzymać karuzelę i wychwycić jakikolwiek szczegół, który potwierdzi, że trafił we właściwie miejsce. Jedyńm, co dostrzegł, był zaczepiony o latarnię strzęp kwiecistego materiału. Tkanina niczym flaga dumnie powiewała na

wietrze. Zamknął oczy i zaczął wyrównywać oddech. Cały proces miał już dobrze opanowany. Spokojnie, to jest w mojej głowie, zaraz minie – powtarzał sobie. Wcześniej też miewał kłopoty z aklimatyzacją, ale nigdy tak duże jak dziś. Rwący ból w lewym ramieniu i trudne do stłumienia mdłości nie pozwalały się rozejrzeć po okolicy. Spróbował się odwrócić na plecy. Jęknął, jego ramię ponownie przeszył ostry ból. Coś poszło nie tak... Wcześniej nigdy nie odniósł żadnych obrażeń. Rozszalały krajobraz zaczął się uspokajać. Jednym okiem Adrian dostrzegł ruiny domu, którego nie poznawał. Ogarnęła go panika. Trafił w złe miejsce? Nie mógł się pomylić! Nie teraz! To była ostatnia szansa. Zacisnął zęby i uniósł ciało. Choć Shadow Way wyglądało zupełnie inaczej niż ostatnio, w oddali dostrzegł zarys żałośnie dyndającej brązowej deski z ciemnozielonym napisem. Od razu rozpoznał wymyślny kształt liter. Wyostrzył wzrok i zdołał odczytać: „FRESH COFFEE. ONLY THE FINEST SERVED HERE”. Napis częściowo zamazano czerwoną farbą. Podniósł się z asfaltu, roztarł obolałe ramię i z trudem łapiąc równowagę, ruszył w kierunku dawnego kiosku. Im bardziej się zbliżał, tym wyraźniej widział, że na desce namalowano jakiś znak, niechlujnie i w pośpiechu, mocnymi, nerwowymi pociągnięciami szerokiego pędzla. Wpisana w okrąg pięcioramienna gwiazda. Nie miał pojęcia, co oznacza, ale jaskrawa czerwień farby przypawiła go o dreszcz. Jednocześnie to była dobra wróżba – ktoś tu przetrwał. Znów się rozejrzył: domy, w większości splądrowane i zdemolowane, powoli zapadały się w błotnistą breję. W oknach nie pozostała ani jedna cała szyba, a pourywane dachówki walały się wzdłuż ulicy. Niegdyś trawniki, teraz klepiska zasłane były cuchnącymi górami śmieci. W głębokich kałużach gnity kawałki drewna oraz szmat. Na podjeździe domu muzyka, przed Wenus z Milo, leżała wydłużona, płaska czaszka, z której wystawały dwa kły. Pierwszy raz widział coś podobnego. Oparł się o ocalały fragment parkanu i stał tak dłuższą chwilę, próbując opanować emocje. W końcu ruszył dalej. Dotarł do miejsca, gdzie powinna znajdować się cukiernia. W miejscu budynku ziała czernią wielka dziura, ogromny lej jak po wybuchu bomby. Po lewej stronie leja dostrzegł ognisko czy raczej ślad po nim. Podszedł bliżej. Popiół był jeszcze ciepły, a wokół panował potworny bałagan. Na czarnej, zdeptanej ziemi jaskrawą bielą lśniły drobne kości. Odwrócił wzrok od miejsca niedawnej uczyty i puścił się biegiem w dół ulicy. Mijał inne, wymalowane tą samą, krwistą czerwoną farbą znaki. Choć nie rozumiał ich znaczenia, budziły przerażenie. Wreszcie dotarł do swojego domu. Poczul ulgę – budynek był nienaruszony. Z wyjątkiem powybijanych szyb wyglądał tak, jak go zapamiętał z ostatniej wizyty. Stał na ganku i wtedy dopiero to zauważył – wielkie, szkarłatne litery pod nogami układały się w napis: ZŁO. Na mgnienie oka się

zawahał. Nie był to lęk o siebie – dla mieszkańców Starej Planety pozostawał niewidzialny – bał się tego, co zastanie w środku.

Zebrał siły i zdecydowanym krokiem przekroczył próg. Stał w pustym, zniszczonym hallu, którego sufit zachlapano jakąś rdzawą substancją. Nie było ani wielkiego lustro – ślubnego prezentu od jego matki, ani szafy i wygodnego fotela, stojącego przy – też skradzionej – półce na buty. Na brudnych ścianach jaśniejszymi prostokątami odcinały się miejsca po fotografiach. Wokół rozchodził się niewyobrażalny smród. Pchnął kolejne drzwi. Znalazł się w kompletnej ciemności. Fetor był trudny do zniesienia. Sporej wielkości kuchenne okno oraz przeszklone wyjście do ogrodu zostały szczelnie zabite deskami. Ktoś chronił się przed zimnem. Albo przed tymi, którzy pozostawili po sobie pobojuwisko i czerwone napisy. Może napastnicy wciąż tu byli?

Nie słyszał żadnego dźwięku. Kiedy przyzwyczał wzrok do ciemności, podszedł do okna i zerwał z niego dwie z sześciu krzywo przybitych desek. Rozpoznał w nich resztki pięknej, staroświeckiej szafy. Kupił ją na jakiejś aukcji. Amy nie była zadowolona. Chciała czegoś bardziej praktycznego, nowoczesnego. Chyba się o to pokłócili, nie miał pewności. Czasem drzwi pamięci otwierały się na oścież i widział wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj. Innym razem męczyło go tylko niejasne przeczucie – nie było gotowych obrazów, a jedynie ulotne wrażenia, które z oddali próbowały opowiedzieć jakąś historię, nawet nie wiadomo, czy prawdziwą. Przypominał sobie negatywne emocje związane ze staromodną szafą, lecz nie pamiętał konkretnych wydarzeń. Zdecydowanym ruchem wyszarpnął trzecią z desek. To, co ujrzał w niewielkiej smudze szarawego światła, przywiodło go na skraj rozpacz. Niegdyś jasna, dębowa podłoga zasłana była zardzewiałymi puszkami, gruzem i cuchnącą mazią. Wszędzie dookoła jaśniały bielą ludzkie kości. Na myśl o tym, co mogło się tutaj wydarzyć, poczuł, jak znów w jego głowie rozpęda się karuzela. Musiał się opanować. Za wszelką cenę. Inaczej ściągną go z powrotem i nigdy już nie odnajdzie Amy. Wyszedł z kuchni, przeciął podobnie zrujnowany salon, po czym tylnym wyjściem dostał się do ogrodu. A raczej tego, co kiedyś było ogrodem. Odtworzył w pamięci jeden ze swoich pierwszych snów. Czy nie tutaj Amy bawiła się z Ellą? Błotnista połać ziemi w niczym nie przypominała tamtego obrazu. Zniknęły drzewa, zielona trawa, okazałe róże i słodko pachnąca magnolia – duma jego żony. Zniknęły leżaki, piaskownica, kolorowa zjeżdżalnia. Wypełniony do połowy brunatną breją basen dopełniał obrazu nędzy. Adrian nawet nie próbował się domyślać, co w nim pływa. Wszędzie unosił się obrzydliwy smród gnijących liści, resztek oraz ekskrementów. Usiadł na ocalałych schodach i z przerażeniem patrzył na

otaczający go krajobraz. Czy ktoś mógł przetrwać? Czy mogła to przetrwać słaba kobieta z małym dzieckiem? W obawie, że odczyty nie spodobają się Cilli, kolejny raz opanował zalewające go straszliwe uczucia. Ukrywanie emocji przychodziło mu coraz łatwiej.

Podniósł się gwałtownie i wrócił do cuchnącego domu. Zaczął go przeszukiwać – krok po kroku, centymetr po centymetrze. Musiał zyskać pewność. Wszędzie znajdował to samo: spustoszenie, pobojuwisko, śmieci. Ani śladu Amy i Elli. Stał bezradnie na środku zdewastowanego salonu. Czuł, że jeszcze chwila, a rozpacz wybuchnie z całą mocą. Wtedy Cilla przerwie sesję. Nie wiedział, co robić. Sprawdzać ruiny innych domów? Nie miał aż tyle czasu. Omijał wzrokiem kolejne kości, starając się nie dopuścić do siebie myśli o najgorszym. Gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania.

Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk. Wyskoczył przed dom i rzucił się pędem przez ulicę. Nieludzki wrzask dobiegał z posiadłości Rathkinsów. Za częściowo zniszczonym ogrodzeniem zobaczył mrozącą krew w żyłach scenę. Grupa obdartych, brudnych ludzi w szaleńczym zapamiętaniu dopingowała mężczyznę, który szarpał się z leżącą na ziemi kobietą. Jej długie, jasne, teraz uwalane błotem oraz krwią włosy oprawca owinął sobie wokół dłoni. Ciągnął kobietę przez kałuże oraz hałdy śmieci niczym zdobycz. Walczyła, ale z dużo większym przeciwnikiem nie miała szans. Adrian usłyszał kolejny przeraźliwy krzyk, po czym zapadła cisza. Upiorna. Ofiara się poddała. Najpewniej straciła przytomność. Zwyródniałcy stali wokół i w milczeniu przyglądali się swojemu dziełu. Nagle inny z mężczyzn – drobniejszy, niższy od poprzedniego – podszedł do bezwładnego, wychudzonego ciała i zaczął je z wściekłością kopać, rzucając przy tym straszliwe przekleństwa, które Adrian znał tylko ze słowników. Amy! Poczuł, jak serce zamiera mu z trwogi. Czy tak to ma się skończyć? Żona umiera w męczarniach na jego oczach, a on nie może jej uratować? Miałaby stracić życie tuż przed otworzeniem Tunelu, tuż przed zniesieniem selekcji? Była zbyt uparta, zbyt krnąbrna, żeby zmieścić się w Szablonie. Dobrze pamiętał jej wojowniczą naturę. Nie, Amy nie nadawała się do rajy Thomasa Wolfa! Jeśli umrze w tej chwili, nigdy nie trafi na Planety. Z przerażeniem obserwował, jak kolejny obszarpaniec – tym razem kobieta – wyciąga długi nóż. Nic nie mógł zrobić. Nawet gdyby spróbował, Cilla natychmiast go ściągnie z powrotem. To koniec. Jeśli dopadli Amy, dopadną i Ellę.

Podjął nagłą decyzję – ocali swoją żonę, nie pozwoli jej umrzeć! Rozejrzał się i chwycił z ziemi grubą gałąź. Kobieta z nożem przyglądała się leżącej w błocie,

bezwładnej sylwetce. Ruszył naprzód jak taran, a z jego gardła wydobył się ogłuszający ryk:

– Łapy precz od mojej Amy!

Jeśli trzeba, powybija ich gołymi rękami!

Był o krok od kobiety z nożem, kiedy runął jak kłoda. Próbował się podnieść, lecz za każdym razem znów lądował w śmieciach. Wiedział, że to robota Cilli – nie przerwała sesji, ale go zablokowała. Jak mógł uwierzyć, że pozwolą mu działać?

– Cilla, błagam... – wyszeptał, wiedząc, że to na nic. – Błagam, tylko ten jeden raz... Cilla! Nie możesz mi tego zrobić! – Jego krzyk zagłuszył uderzenia noża.

Leżał w śmierdzącej mazi i nie czuł nic. Kompletnie nic. Jakby sam umarł. Nagle wszystko straciło sens – całe ryzyko, które podejmował, całe poświęcenie. Już nie potrzebował Memorystów. Nie pozwolą mu się wycofać, ale nie zmuszą go do współpracy. Nie mają takiej mocy. Niech go poddadzą terminacji. Teraz, kiedy bezsilny musiał patrzeć na okrutne męczarnie swojej żony, nic go nie obchodziło. Równie dobrze mógł przestać istnieć, po prostu zniknąć. Nie bał się ani Memorystów, ani śmierci. Nie bał się Korporacji ani jej agentów. Nie bał się prawie niczego. Jedynym, co budziło w nim przerażenie, był obraz rozszarpywanej Amy. Jego Amy. Oszołomiony czołgał się po zachlapanej krwią ziemi. Nikt już nie krzyczał. Rozlegało się jedynie głośnie mlaskanie, od czasu do czasu zagłuszane wyciem wiatru. Uczta została rozpoczęta. Szlochał całym sobą, nie potrafił tego zatrzymać. Kolejne spazmy nadchodziły jeden po drugim, bez udziału jego woli. Nie pomoże Memorystom. Nie pozwoli sprowadzić na Planety takiego zła. Było mu obojętne, co z nim zrobią. Jedno wiedział na pewno: bez Szablону te bestie przejdą przez Tunel jak wszyscy. Jak dobrzy, uczciwi ludzie. Miałyby chodzić po jednym świecie z mordercami żony? Miałyby ich sam przyprowadzić? Korporacja się nie myliła – musi istnieć Szablon. Może nie taki jak jest, może bardziej doskonały, ale bez selekcji stworzą na Planetach piekło. Tak jak stworzyli je na Ziemi.

Banda zakończyła ucztowanie, zapakowała niedojedzone resztki do tobołków i oddaliła się w stronę centrum. Obszarpańcy ciągnęli za sobą wielki, żeliwny kocioł. Ten sam, którego kiedyś używano podczas pikników w szkole Elli. Kolejny raz zrobiło mu się niedobrze. Ella... Nawet, jeśli ją odnajdzie, w jaki sposób zdoła swoją córkę uratować? Znów poczuł straszliwą bezsilność. Patrzył, jak jeden z oprawców na odchodne maluje w pośpiechu na murze czerwoną farbą. Koślawe litery ułożyły się w słowo ANTYCHRYST. Łachmaniarz z dumą obejrzał swoje dzieło i puścił się pędem za krwiożerczą kompanią. Po chwili słyhać było jedynie dobiegające z oddali przekleństwa oraz odgłos przesuwającego się po asfalcie ciężkiego kotła.

Wiatr ustał. Zapadła kompletna cisza. W głowie i sercu miał pustkę. Wreszcie, jak przez mgłę, do jego świadomości zaczęło docierać, że z sesją jest coś nie tak. Czemu Cilla jej nie przerwała? Parametry jego funkcji życiowych musiały szaleć jak opętane. Zostawili go? Leżał w błocie bez sił. Gdyby był mieszkańcem Starego Świata, mógłby przynajmniej mieć nadzieję na śmierć. A tak... nie wiedział nawet, czy nie przyjdzie mu tu zostać na wieki. W tej chwili jednak było mu obojętne. To, co kochał, zostało zniszczone. Ella... jeśli jeszcze żyła... i tak nie pozwoli mu jej obronić. Nie miał już nic do zrobienia.

Nagle dobiegł go jakiś dźwięk, jakby cichutki szloch. Nie był pewny, czy faktycznie ktoś płakał, czy igra z nim wyobraźnia. Wsłuchał się w dojmującą ciszę. Nic. Dźwięk się nie powtórzył. Znow zaczął siąpić lodowaty deszcz. Już stracił nadzieję, kiedy ponownie usłyszał pochlipywanie, tym razem bardzo wyraźne, a potem słowa:

– Ciii... ciii... Bądź cicho. Oni odeszli, ale musimy być cicho.

Zerwał się i spojrzał w kierunku, z którego dochodziły. Znajdował się tam taras, a raczej jego pozostałości. Razem z Edem Rathkinsem sklecili go z modrzewiowych bali i świerkowego drewna. Podszedł bliżej, zajrzał pod deski, które kiedyś, w innym życiu, sam przybijał. Panująca tam ciemność nie pozwoliła mu dostrzec nic poza gruzem i śmieciami.

– Duszno mi... Chcę wyjść... – Spośród odpadków dobiegł go cieniutki, miękko brzmiący głos.

– Nie, kochanie. Jeszcze nie. Musimy tu zostać. Oni mogą wrócić – szeptem, ale stanowczo odparła kobieta.

Wiedział, kim jest. Rozpoznałby to charakterystyczne „r” nawet na końcu świata. Walczyła z wadą wymowy, aż wreszcie dała spokój. Przekonywał ją, że to słodkie „r”, składa się na jej zniewalający urok. Śmiała się, a on przysiągł w żartach, że odejdzie, jeśli złapie ją na wizytach u logopedy.

Poczuł ulgę. Tak intensywną, że aż zaparło mu dech. Tamta kobieta to nie była Amy!

– Mamo, jestem głodna. – Usłyszał skargę.

Ella? Nie poznał głosu córki. Brzmiał poważniej niż w jego snach.

– Wiem, kochanie, wiem... coś znajdziemy... Nie płacz.

Spod tarasu wciąż dochodziło cichutkie szlochanie. Nagle śmieci się poruszyły – spośród nich wychynęły dwie głowy z jasnymi, posklejanymi włosami.

– Oddychaj głęboko. Jeszcze chwilę tu zostaniemy, w porządku? Potem poszukamy jedzenia. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Wierzysz mi, prawda? – Amy starała się uspokoić małą.

– Tak, mamusiu. Wierzę. Tylko brzusek mnie boli. Chyba z głodu – skarżyła się Ella.

– Wszystko będzie dobrze, będzie dobrze... – Matka tuliła wychudzone ciało córki, a po ich brudnych twarzach płynęły łzy.

Żyj! W jednej chwili poczuł bezgraniczną miłość i nienawiść, ulgę i strach, nadzieję i bezradność. Teraz się udało, ale następnym razem mogą nie mieć tyle szczęścia.

– Pozwól im dotrwać, pozwól im przeżyć – wyszeptał, choć nie wiedział, do kogo kieruje te słowa.

Było jednak jasne, że sam nie podoła, że musi poprosić o wsparcie dla tych biednych, wycieńczonych istot. I dla siebie. Spróbował wsunąć się pod taras, by w ten ułomny sposób być przy bliskich – z nadzieją, że jego obecność doda im chociaż trochę otuchy. Wtedy w jego głowie zaczęła wirować znajoma karuzela. Belki tarasu, zdeptana ziemia, plamy krwi – wszystko zataczało coraz szybsze kręgi. Nie... proszę... jeszcze nie... Cillo... Pozwól mi z nimi trochę pobyc... Pozwól... – błagał.

Na próżno. Tunel się właśnie dla niego otwierał.

Nalał sobie koniaku. Był wykończony. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Tak bardzo bał się o Amy, o Ellę... I tak bardzo się cieszył, że żyją. Pociągnął łyk, po czym lekko się skrzywił. Oni naprawdę nienawidzą tego świata – pomyślał. Te ich całe pokazówki! Brudne, zniszczone ubrania, niedbałe fryzury, tandetne przedmioty, ohydne jedzenie... Zupełnie jakby porządne buty czy łyk przyzwoitego koniaku mogły ich zabić. Ich albo ideę. Na tle jednolitej masy burych kurtek i powyciąganych swetrów wyróżniała się jedynie Cilla. Po ostatnich wydarzeniach była osobą, której obawiał się najbardziej. Jej bezwzględność go przerażała. Zachowywała się jak Maszyna. Nie zakończyła sesji, zanim odnalazł żonę i córkę, mimo że jego funkcje życiowe podobno znajdowały się na granicy bezpieczeństwa. Nie miał jednak złudzeń – nie zaryzykowała dla niego. Skądś wiedziała, że maltretowana kobieta to nie Amy. Skąd? Nie było sensu pytać, i tak nie uzyska odpowiedzi. Choć był pewny swoich podejrzeń, niczego im nie udowodni. Jak zawsze wykręcą się jakimś kłamstwem. Już dawno się przekonał, że mówią mu tylko tyle, ile chcą. Nie ufał Memorystom, ale nie miał wyjścia, musiał grać w tę grę według ich zasad. Cilla przewidziała, że jeśli uwierzy w śmierć bliskich, nikt niczym nie skłoni go do współpracy. Mieli wspólny cel, lecz różne motywacje, a jego była najważniejsza. Nie mogli mu odebrać sensu. Do pewnego stopnia rozumiał racje Cilli i nie o to czuł największy żal. Wciąż nie

mógł wybaczyć, że skazała na potworną śmierć tę biedną kobietę. Że pozwoliła mu cierpieć, wiedząc, że jasne włosy ofiary skutecznie go zmyliły. Plan ponad wszystko! Cóż dla nich znaczyło jedno istnienie? Ale to on musiał patrzeć na pożeranego żywcem człowieka i wic się z bezsilności. Dla Cilli zamordowana stanowiła tylko kolejny punkt w tabeli, kropkę na wykresie. Dopóki bilans zysków i strat był po stronie Memorystów, nikogo ta kropka nie obchodziła. A on przez wieczność będzie nosił w uszach nieludzki skowyt rozrywanej na strzępy kobiety. Tego dnia dla Adriana kropka na wykresie już na zawsze zyskała twarz – skąpaną we krwi i wykrzywioną grymasem niewyobrażalnego bólu.

Nie mógł rozgryźć roli Cilli. Wiedział, że nadzoruje jego sesje, zbiera informacje, jednak tak bardzo nie pasowała do reszty, że aż wydawało się to podejrzane. Z jakichś nieznanych mu przyczyn nikt nie komentował jej ekskluzywnych ubrań, eleganckich perfum, stylu bycia. Nawet Marion. Ta sama Marion, która z kpiną w głosie krytykowała każdego, kto śmiał wyglądać odrobinę lepiej, wyzywając go od pieprzonych materialistów. Ta sama, która nie zostawiła suchej nitki nawet na Ianie, kiedy ten sprawił sobie nowy kapelusz. Niewyparzony język Marion! Wprost uwielbiała rzucać ludziom w twarz nieprzyzwoite słowa. Nie takie, jakie słyszał na Starej Planecie, jednak wystarczająco niestosowne, by obrazić. Wypowiadała je głośno i zdecydowanie, bez cienia wstydu, po czym czekała na reakcję, patrząc swojej ofierze prosto w oczy. Nie dawał się sprowokować, by nie wysłuchiwać potem niekończących się wywodów o ograniczeniu wolności, o tępieniu umysłowym obywateli Planet czy obrzydliwym, niegodnym człowieka przywiązaniu do przedmiotów i płytkich przyjemności. Skoro sama nieokiełznana Marion nie ważyła się skrytykować Cilli, ta musiała być w siatce Memorystów kimś naprawdę ważnym. Czasem odnosił wrażenie, że kobieta o lodowatych oczach zajmuje w podziemnych strukturach równie wysoką pozycję, co Ian. A może nawet wyższą.

Ciężko opadł na fotel, który zaskrzypiał pod jego ciężarem. Z całych sił próbował oddalić od siebie wspomnienia ostatniej podróży, lecz te bezustannie go atakowały. Musiał nad tym zapanować, choć na chwilę – żeby nie zwariować oraz, co ważniejsze, żeby Cilla jeszcze dziś dopuściła do kolejnej sesji. Alkohol pomógł rozluźnić napięte mięśnie. Poczul przyjemne ciepło. Jego umysł na moment się wyłączył. Wyciągnął przed siebie nogi i ułożył się w półleżącej pozycji. Po kilkunastu sekundach wspomnienia wróciły. Mimo starań nie potrafił się odprężyć. Targał nim lęk o najbliższych, prześladowały go straszliwe obrazy. Kiedy tylko zamykał oczy, pojawiała się skulona postać młodej kobiety, a w uszach dźwięczał mu przeraźliwy krzyk.

Ian analizował ostatnie nagrania, raz po raz z zadumą pocierając podbródek. Wreszcie odsunął się od biurka. Milczał.

– I co teraz? – Adrian postanowił przerwać ciężącą mu ciszę.

– W jakim sensie? – odpowiedział pytaniem na pytanie Memorysta.

– Co zrobimy?

– A co niby mamy zrobić?

Bawił się z nim czy rzeczywiście nie widział problemu?

– No... z planem. Co teraz będzie?

– Jutro go wdrażamy. I koniec. Mam nadzieję, że nie dosłowny... – dodał.

– Wdrażamy? Tak po prostu? Nie widzieliście nagrań z ostatniej sesji?!

Był zaskoczony spokojem Iana. Nie mieściło mu się w głowie, by po tym, co im pokazał, nadal chcieli sprowadzić tu wszystkich ze Starej Planety. Bez jakiegokolwiek Szablonu.

– Wiem, że dużo cię kosztował ten przekaz. Doceniamy twoje poświęcenie. Tym bardziej trzeba się śpieszyć.

– Chyba nie rozumiesz... – zaczął ostrożnie Adrian, wietrząc podstęp. Nie do wiary, że tak doświadczony strateg jak White przeoczył oczywiste fakty. – Nie możemy tego zrobić. Nie tak, jak planowaliśmy.

– Czemu? – Memorysta przyjrzał mu się z uwagą.

– Przecież widziałeś te potwory, tak samo jak ja je widziałem!

White potwierdził skinieniem głowy, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet cień wątpliwości.

– Bez Szablonu sprowadzimy też takich – kontynuował Adrian, coraz bardziej zdenerwowany. – Nie wolno nam! To krwiożercze bestie. Wcielone zło!

– Być może. Ale, Adrianie, z całym szacunkiem... chyba raczej ty wciąż nie rozumiesz... – Ian mówił cichym, pozbawionym emocji głosem.

Co tu jest do rozumienia?! – pomyślał ze złością, jednak się nie odezwał.

– Pamiętaj, jaka jest nasza idea. Wszystko albo nic. Nie możemy ingerować w ludzki los, wybierając godnych albo niegodnych ocalenia. Czym wtedy różnilibyśmy się od Wolfa i jego Korporacji? – Zawiesił głos, jakby oczekując odpowiedzi, lecz Adrian nadal milczał. – Nie możemy stworzyć kolejnego Szablonu. To nie byłoby uczciwe. I nie byłoby sprawiedliwe. Zupełnie niezgodne z tym, w co wierzymy. Adrianie... wiem, że to, co zobaczyłeś, mocno tobą wstrząsnęło. Zapewniam cię, że nami też. Nie jesteśmy pozbawieni uczuć. Ale nie wolno nam stosować ustępstw, dobierać elementów świata, jak nam wygodnie. Nie mamy prawa oceniać, kto jest dobry, a kto zły, kto tutaj pasuje, a kto nie. Nie mamy wystarczającej wiedzy,

możliwości, żeby nie popełnić pomyłki. Pamiętaj, zdecydowaliśmy się oddać ludziom wolną wolę. Jak moglibyśmy teraz bawić się w Wolfa i dokonywać selekcji? Chcemy odzyskać człowieczeństwo, a to pociąga za sobą pewne koszty. Od początku o nich wiedzieliśmy. Jeśli pragniemy znów poczuć miłość, musimy poznać i nienawiść. Jeśli pragniemy dostąpić rozkoszy, musimy zaznać bólu. Tak działa prawdziwy świat. Nic na to nie poradzisz.

– Sprowadzając tutaj te wściekłe hordy, skazecie innych na niewyobrażalne cierpienia. – Lawson zaciekle bronił swojego zdania.

– Może tak, może nie. Tego nie wiemy. Ty także tego nie wiesz.

– Wiem, co widziałem! – wykrzyknął oburzony. – Ianie, to nie są bajki o dobrym i złym. Stałem kilka metrów od pożeranej żywcem kobiety! To fakt. Chcesz czegoś takiego tutaj? Tu, gdzie będą żyły rodziny, wychowywały się nasze dzieci?! To są bestie. Na pewno jest ich dużo, dużo więcej! Zniszczą Planety, jak zniszczyli Stary Świat. Dokąd wtedy uciekniecie?

– Jeśli to konieczne, przyjmujemy i strach, i okrucieństwo. Nie ma innej drogi.

Adrian opuścił głowę zrezygnowany. Dążąc do wolności, Ian stał się niewolnikiem własnej idei. Liczył się tylko cel i jego realizacja. Za wszelką cenę. Memoryści byli niebezpieczni, wcale nie mniej niż Korporacja – od dawna to podejrzewał, teraz miał potwierdzenie, widział wszystko jak na dłoni. Powinien natychmiast wstać i odejść. Może nawet złożyć na nich donos w Celestis? Powinien ochronić ludzkość przed tymi szaleńcami. Ale jak wtedy uratuje rodzinę?

– To bez sensu... – Nie wierzył już, że cokolwiek przekona White'a.

– Nie obraż się, ale bezsensowne jest właśnie twoje myślenie. – Głos Iana obniżył się i stwardniał. – Zakładasz, że w tych ludziach, bestiach, jak ich nazywasz, istnieje coś takiego jak gen zła. A to nieprawda.

– Nieprawda? Są dobrzy, tylko zdarzyło im się przypadkiem pożreć żywcem innego człowieka?! – Był wstrząśnięty.

– W pewnym sensie... tak. – Memorysta nie dał się wyprowadzić z równowagi. Jego twarz nie wyrażała nic poza niezłomnym przekonaniem o własnej racji. – Nie mamy pojęcia, czy istnieje coś takiego jak gen zła. Nie ma na to dowodów. Więc nie możemy przyjąć podobnej tezy – zaczął mówić jak naukowiec. – A skoro tak, musimy przyjąć inną, naszym zdaniem, bardziej wiarygodną.

– Mianowicie? – Był pewny, że znów usłyszy jeden z tych napuszonych wywodów, tak chętnie wygłaszanych przez Memorystów.

– Otóż nasza idea zakłada istnienie pierwiastka dobra w ludziach. Zanim przerwiesz, powiem ci, że na to akurat mamy dowody. Sami jesteśmy jednym z

dowodów. Poświęcamy wiele, by uczynić życie lepszym. Zakładamy także, że człowiek nie przychodzi na świat obciążony złem. Zło się w nim rodzi przez okoliczności.

– Doprawdy?

– Na przykład taki głód – kontynuował Ian, ignorując złośliwość. – Właśnie on zmusił tych ludzi do okrucieństwa.

– I to ich usprawiedliwia?

– Adrianie... trochę pokory. Nikt z nas nie wie, jak by się zachował na ich miejscu, w tych samych warunkach.

– Czy ty słyszysz własne słowa? – Adrian pokręcił głową z niedowierzaniem. – Na Starej Planecie wszyscy głodują, a nie każdy robi to, co te potwory.

– Widzisz... nie wiemy, czego doświadczyli inni, a czego oni. Po wojnie ludzie znaleźli się w różnych sytuacjach. Nie każdy miał styczność z takim samym rozmiarem cierpienia. Zbyt łatwo ferujesz wyroki. Nie jesteś ani nie byłeś na ich miejscu.

– Naprawdę uważasz, że nie ponoszą winy za swoje zbrodnie?

– Zaslugują na drugą szansę. Być może tu, pozbawieni balastu przeżyć ze Starej Planety, okażą się szlachetnymi ludźmi.

Adrian wybuchnął gorzkim śmiechem. White oszalał! Mordercy, którzy wczoraj z rozkoszą rozszarpywali ciała niewinnych sióstr i braci, tutaj, wśród uroczych pagórków oraz słodkich obłoków Planet, w baśniowym świetle pięciu księżyców, nagle będą nieść pokój i miłość? Nie mógł wprost uwierzyć w taką naiwność.

– A jeśli nie staną się szlachetni? Jeśli zachowają swoje barbarzyńskie zwyczaje?

– Dostaną drugą szansę. To, jak ją wykorzystają, będzie zależało wyłącznie od nich. Tak samo jak w przypadku tysięcy innych, sprowadzonych na Planety istot. Wszyscy bez wyjątku będą mogli zdecydować o kształcie swojego życia na nowo.

– Ale oni już raz zdecydowali. Wiemy jak.

– Pytanie, czy mieli jakiś wybór... – Ian spojrzał na niego uważnie.

– Czemu więc nie dasz drugiej szansy Wolfowi?

– Miał swoją drugą szansę, tu na Planetach. I ją zmarnował.

Adrian jednym haustem wypił resztę podłego koniaku i nie odpowiedział. Nie było po co. Każdy miał wybór. Bestie też. Jak wielu głodnych, cierpiących, mogły pozostać ludźmi.

Memorysta położył głowę na oparciu fotela i cmoknął ze zniecierpliwieniem, jakby nie miał ochoty niczego więcej tłumaczyć. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Jego długie, białe włosy zwisały smętnymi kosmykami na zapadniętej piersi. Teraz

dopiero było widać, jak bardzo schudł. Trudne dni ze wszystkich wyciągały ostatnie siły. Chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Ian zebrał się w sobie, wziął głęboki oddech i mówił dalej:

– Będę z tobą szczery. Nawet jeśli masz rację, jeśli to my się mylimy, i tak byłoby za późno na opracowanie nowego Szablonu. – Wstał i ciężkim krokiem człowieka, który dźwiga na barkach zbyt wiele trosk, poszedł do stolika. – Możemy uruchomić plan jutro z samego rana albo się wycofać. Wtedy Celestis prędzej czy później wszystkich nas wyłapie, a z ciebie zrobią preparaty do badań. Drugiej szansy nie będzie. – Przerwał na chwilę, by dolać sobie alkoholu. – Czy tego właśnie chcesz? – zapytał, nie patrząc na Adriana. – Świadomie skazesz swoją rodzinę? Amy, przy odrobinie szczęścia, może trafi na Planety, ale Ella? Jest dzieckiem... Przecież wiesz, że Szablon jej nie przepuści. Korporacja nigdy nie sprowadzi tu dzieci. Zapytaj Hamzę, porzucili projekt.

To wszystko zmieniało. Nie miał pojęcia, czy Ian mówi prawdę, jednak nie mógł takiej możliwości odrzucić.

– A jeśli znajdę inny sposób, by uratować swoją rodzinę? – Spojrzał mu twardo w oczy. Chciał, żeby to zabrzmiało jak groźba. Wiedział, że White go nie skrzywdzi, nawzajem byli swoimi zakładnikami.

– Widzę, że szybko się uczysz... – Memorysta uśmiechnął się smutno. – Cóż... Nawet jeśli jakimś cudem przetrwasz, czy będziesz potrafił żyć wiecznie w swoim idealnym świecie, codziennie się zastanawiając, gdzie jest twoja córka? A może opracujesz nowy plan? I sam go zrealizujesz? Tylko musisz się pośpieszyć, bo małej nie zostało wiele czasu. Chyba nie sądzisz, że Wolf wyłączy Szablon specjalnie dla Elli? Nie, aż tak głupi przecież nie jesteś. Prędzej wyśle cię w podróż bez powrotnego biletu. Zatem śmiało! Zniszcz to, nad czym latami pracowaliśmy. I odbierz szansę swoim bliskim. – Wrócił na miejsce. Nie czekał na odpowiedź. Triumfował.

Adrian pochylił głowę. Przez krótką chwilę naprawdę uwierzył, że ma wybór, że istnieje inne rozwiązanie. I to White'owi zarzucał naiwność! Niedopracowany wirus, uwolnione zło Starej Planety – czy ktoś w ogóle to przetrwa? Usłyszał w głowie dziecięcy szczebiot i zobaczył umorusaną, zalaną łzami twarzyczkę. Amy oddałaby życie za ich córkę, poświęciłaby wszystkich na świecie, byle ją uratować, a on miał zgrywać wybawcę ludzkości? Nie był dość silny, żeby zostać bohaterem.

Oby tylko nigdy nie musiał patrzeć na pożeranych żywcem ludzi, wiedząc, że mógł ich ocalić.

Nad Pałacem Szeptów pojawiły się gwiazdy. Przez pół godziny, zanim na dobre wzejdą księżycy, na Planecie będzie panowała ciemność. Krępy, ciemnowłosy mężczyzna maszerował żwirową alejką prowadzącą do bocznego wejścia. Wszedł do przedsionka. W półmroku dostrzegł jasną głowę. Chwilę potem kobieta była w jego ramionach. Poczł zapach jej włosów. Na zewnątrz rozległ się odgłos czyichś kroków. Przyciągnął mocniej do siebie przyjemnie ciepłe ciało.

– Ciii... cicho... – wyszeptał i pogładził krótkie kosmyki. Zrobiłby dla niej wszystko.

– Mam przesyłkę – powiedziała półgłosem, kiedy kroki oddaliły się na bezpieczną odległość.

A więc to już... Znów ją przytulił. Czujnik włączył małą lampkę. W bladawym świetle jasnoblękitne tęczówki kobiety wydawały się niemal białe, ale jej wzrok płonął. Jakby lód stopić z ogniem – pomyślał.

– Adrian jest gotowy – powiedziała krótko, wysuwając się z jego objęć.

– Wie o mnie?

– Nie ma potrzeby.

– Słusznie – zgodził się i pytającym wzrokiem obrzucił spoczywający na jej dłoni mały, czarny sześcian.

Skinęła głową.

– Chciałbym, żeby było po wszystkim. Chciałbym, żebyś była moja. – Dotknął jej gładkiego policzka.

– Musimy się skupić. – Powstrzymała jego dłoń.

– Tak wiele niszczymy, żeby być razem... Przetrywamy, prawda? – Ufał jej bezgranicznie, a jednak chciał to jeszcze raz usłyszeć. Być może ostatni.

Uśmiechnęła się.

– Och, Carlos... – Pogładziła go po ramieniu. – Mój Carlos... Oczywiście, że przetrwamy.

Jeszcze raz mocno ją przytulił na pożegnanie i nie oglądając się za siebie, wybiegł z przedsionka. W spoczonej z emocji dłoni ścisnął kanciasty przedmiot. Cała Apokalipsa zamknięta w małej kostce... – przemknęło mu przez myśl. Wiedział, co chciałby zrobić. Wiedział też, co zrobić powinien. Underhill już na niego czekał. Dla bezpieczeństwa umówili się w Klinice, gdzie od dawna mieli wielu sprzymierzeńców.

Znów się zawahał. Przecież wszystko może zostać po staremu. Nie muszą aż tak ryzykować. Mogą być szczęśliwi tutaj – gdzieś w cichym zakątku Siódmej Planety, w dolinie, do której nikt nie zagląda... Pokusa była wielka, ale czy Cilla mu

kiedykolwiek wybaczy? Plan był dla niej ważny. Czasem miał wrażenie, że ważniejszy od niego.

Przed nim ciągnęła się okazała Droga Chwały i Postępu. Po prawej stronie szerokiej, mocno oświetlonej alei lśniły szklane budynki Kliniki. Po lewej zaś malował się majestatyczny gmach Korporacji. Zatrzymał się. Plan był niedopracowany. Nikt nie miał pewności, czy ktokolwiek przeżyje Apokalipsę. A jeśli nawet, to jak będzie wyglądał świat po niej? Cilla poświęciła wiele dla sprawy, to prawda. Być może tylko on wiedział, ile zaryzykowała. Ale jest mądra. Bardzo mądra. Zrozumie, że zrobił to dla niej. Dla nich obojga. Przecież rzeczywistość mogą zmienić w inny sposób... Opracują nowe Reguły, nowy Szablon. Nauczą ludzi kochać. Pokażą im, że można żyć inaczej. Kiedy ruszą za nimi tłumy, nawet Wolf nie będzie miał nic do gadania.

Mrzonki! Piękne marzenie, nic więcej. Zbyt dobrze znał mechanizmy Planet. Nikt nie ucieknie ze szklanej klatki, nie zerwie złotych sznurków w tym teatrze lalek. Jednych Wolf wyłapie, zanim zdążą wyjść na ulice, drugich zatrzyma wygodne życie i Reklamy. Korporacja musi zniknąć. Nie ma innej drogi.

Czas naglił. Ponownie spojrzał na zabudowania Kliniki, a potem na powiewającą nad siedzibą Celestis flagę. Mocniej ścisnął czarną kostkę. Wiedział, w którą stronę ruszyć.

Adrian nie czuł lęku, jedynie dziwny, niezrozumiały smutek. Jutro świat, który znał, zniknie na zawsze. Kiedy poinformowano go, że nie wróci do domu na Wzgórzu, niespodziewanie poczuł żal, że nie pożegnał się z Carlosem i z Lamai. Czy kiedykolwiek podziękują mu za to, co zamierza zrobić? A może przeciwnie, znieawidzą za zło, które wpuści na Planety jednym naciśnięciem guzika? Odgonił czarne myśli, nie pora na wątpliwości. Już nie. Pomyślał o Elli i Amy. Nie dostał zgody na nadprogramową podróż, Cilla uznała, że to zbyt ryzykowne. Musiał zdążyć. Po prostu musiał. Zanim dopadnie je śmierć głodowa albo jeszcze potworniejsza – z rąk grasujących band.

Sen wciąż nie nadchodził. Powtarzał kolejne punkty planu, choć znał je na pamięć. Skupić się, by trafić w odpowiednie miejsce. Odnaleźć sejf. Na wszystko godzina. Mało, bardzo mało, zwłaszcza że nie znał terenu, w którym będzie prowadził poszukiwania. Wpisać kod. Nie pomylić się. Miał tylko jedną próbę. Otworzyć sejf. Wyjąć walizkę. Znów wpisać kod – szesnaście cyfr, jak przedtem, i tylko jedna próba. Nacisnąć przycisk, uruchomić zegar. Jak najszybciej uciec, bo w pancernym,

podziemnym bunkrze Tunel nie zadziała. A potem wskazać ludziom drogę. Musiał zmieścić się w czasie. W chwili, kiedy go wyślą na Starą Planetę, Hamza z Underhillem wypuszczą wirusa. Zacznie się rozprzestrzeniać w Systemie. Zajmie to dokładnie tyle minut, ile miał na wykonanie zadania. Najważniejsza była koordynacja. Nikt nie mógł się spóźnić nawet o sekundę. System od pierwszej chwili zacznie szukać usterki, a w Korporacji ogłoszą alarm. Wszystkie siły zostaną rzucone do walki ze złośliwym oprogramowaniem. Dział IT Celestis nie od razu namierzy problem, Hamza już o to zadbał. Wreszcie jednak ich dopadną. Według obliczeń Underhilla, zanim to nastąpi, wirus zdąży na dobre zaatakować. Jeśli Adrian nie zdoła odpalić bomb, wszystko na nic. Drugiej szansy nie będzie.

Znów powtórzył plan. Chyba setny raz tej nocy. W końcu, zmęczony walką z bezesennością, wstał i ruszył do kuchni. Nieoczekiwanie zastał tam Marion. Sądził, że jest w centrum dowodzenia z Ianem. Siedziała na wysokim stołku, ze spuszczoną głową, uparcie wpatrując się w biały blat. Obok niej stała szklanka z grubego, ciemnego szkła wypełniona, jak mu się zdawało, wodą. Dopiero, kiedy podszedł bliżej, poczuł ostry zapach alkoholu. Pewnie wielu ludzi na Planetach nie mogło tej nocy zasnąć...

– Jutro wielki dzień – zagaił bez sensu. Nikt o niczym innym przecież nie myślał i komu jak komu, ale Marion z pewnością nie musiał przypominać.

– Aha – odparła. Nie zabrzmiało to ani smutno, ani wesoło, tylko tak jakos pomiędzy. Jakby sama nie wiedziała, czy się cieszyć, czy płakać.

– Nie wyglądasz na szczęśliwą.

– Jestem szczęśliwa – odparła bez przekonania.

Przypomniało mu to jedną z setek grzecznościowych rozmów, jakie prowadzono na Planetach.

– Skoro tak mówisz... – Wzruszył ramionami. Środki na uspokojenie zaczynały działać. Po niedawnym stresie nie został nawet ślad. Czuł się doskonale. Jakby jutro miało przynieść wspaniałe wakacje, a nie Apokalipsę.

– A ty... nie masz wątpliwości? – zapytała znienacka, nadal nie odrywając wzroku od gładkiego, jasnego blatu.

Pytanie go zaskoczyło. Była ostatnią osobą, którą podejrzewałby o wahanie.

– Nie – odparł po namyśle. – Zresztą chyba trochę na to za późno?

– A jeśli... – Zamilkła, odwróciła wzrok od blatu, tym razem wpatrując się w równie białą i gładką ścianę. – Jeśli popełniamy błąd? – Słowo „błąd” wypowiedziała w taki sposób, jakby oznaczało koniec. – Jeśli wszystko zniszczymy? – dodała szybko.

Zbyt szybko. Bała się własnych myśli? A może tego, że jeśli ich prędko nie wypowie, nigdy już nie znajdzie w sobie dość odwagi?

– Zniszczymy – potwierdził. – Żeby zbudować.

Chciała zaprzeczyć ruchem głowy, ale w połowie tego gestu się rozmyśliła. Przygryzła wargi i znów wbiła wzrok w kuchenny blat.

– A jeśli nie? Jeśli tylko zniszczymy? – wyszeptała w kierunku jasnej powierzchni. – Przecież coś może pójść nie tak...

– Po prostu o tym nie myśl – bezwiednie powtórzył radę Iana.

– Jest czas...

– Żeby się wycofać? – upewnił się.

Podciągnęła kolana pod brodę i skryła głowę w ramionach. Milczała. Miała rację, był czas. Adrian jeszcze mógł wszystko zmienić. I zostawić swoją rodzinę bez pomocy, bez nadziei na lepsze jutro, skazaną na cierpienie, na śmierć? Nigdy. Amy i Ella zasługiwały na lepszy los. Jego obowiązkiem było o nie zadbać. Jeśli zginą, to przynajmniej wszyscy. Zdawał sobie sprawę, jak to brzmi, ale już zdecydował.

– Jesteśmy egoistami... – powiedziała tak cicho, że nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

Przez chwilę miał ochotę zapytać Marion o jej bliskich. O tych na Starej Planecie i tych tutaj. Był ciekawy, jak żyła na co dzień, za kim tęskniła. Przypomniał sobie jednak ostrzeżenie White'a. Nie chciał jej drażnić.

– Marion... normalne, że się denerwujesz – pocieszył ją łagodnym, zapożyczonym od June tonem. – Jak widzisz, ja też mam bezsenność. Ale jestem dobrej myśli. Wszystko pójdzie jak trzeba, zobaczysz.

Samolubnie chciał, by odzyskała wiarę. Teraz jak nigdy potrzebna mu była jej energia, jej nieprzejednanie. I choć za Marion nie przepadał, zrobiło mu się zwyczajnie, po ludzku żal tej skulonej w sobie, chudej, potarganej dziewczyny. Irytowały go jej przemądrzałość, jej bezkrytyczna wiara w słuszność idei Memorystów. Jednak w tej chwili była po prostu zagubiona i chyba... przerażona. Zwinięta na wysokim stołku, wyglądała tak bezradnie.

To był impuls. Chwycił jej drobne ramiona i mocno przyciągnął do siebie szczupłe, drżące ciało. Ani nie przyłgnęła do niego ufnie, ani się nie opierała. Wilgotną od łez twarz wtuliła w jego pierś. Przez dłuższą chwilę tkwili w tej pozycji, oboje skrępowani, ale też zaskoczeni niespodziewaną przyjemnością, jaką czerpali z bliskości. Pierwszy prawdziwy dotyk w ich życiu. Pomyślał o Amy. Takiej, jaką zobaczył w Pensjonacie pod Gwiazdami. Ujrzał, jak rzuca rozbawioną dziewczynę na łóżko i zrywa z niej żółty T-shirt. Pod powierzchnią mlecznej skóry rysowały się delikatne, błękitne

żyłki, a jego palce wolno sunęły po alabastrowej szyi. Niemal wyczuwał miarowe tykanie pulsu. Z każdą chwilą szybsze. Przyspieszał też oddech Amy. Zafascynowany patrzył prosto w źrenice ciemnoniebieskich, szeroko otwartych oczu, które coraz mocniej się rozszerzały, aż wreszcie kolor pochmurnego nieba rozświetlił blask, jakiego dotąd nie widział. Zrozumiał, że to właśnie miłość. I jak wpisana jest w nią tęsknota, tak jej część stanowi dziwny taniec ciał. Nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy. Ian miał rację – za tę chwilę żadna cena nie wydawała się zbyt wysoka. Adrian był gotów na największy ból, byle znów trzymać w ramionach Amy.

Domek z kart musiał kiedyś runąć, zamek z piasku się rozsypać, szklana klatka popękać. Swoim planem właściwie jedynie przyspieszali to, co i tak było nieuniknione. Sztucznie stworzona na Planetach cywilizacja, zniewolona i pozbawiona miłości, dążyła do samozagłady. Czy ich plan nie stanowił w gruncie rzeczy aktu miłosierdzia? Naprawdę chciał w to wierzyć. Skąd więc uwierające ziarnko piasku, jak wtedy, kiedy pierwszy raz zmodyfikował prawdę?

Delikatnie odsunął od siebie Marion i popatrzył w jej pełne niepokoju, szmaragdowe oczy.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył. – Obiecuję.

Uśmiechnęła się słabo.

Godzinę później leżał w ciemności i rozmyślał o tym, co go jutro czeka. A także o Marion. O jej słowach. Nie. Nie był pewny. Niczego. A już najmniej tego, że wszystko będzie dobrze.

APOKALIPSA

A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust.

Obj. 3:16

Obejrzał się. Nie widział już wejścia do budynku, jedyne światło sączyło się z rozmieszczonych przy podłodze zielonkawych lampek. Ciężko oddychał. Minał kwadrans – piętnaście cennych minut, a on nie był nawet o krok bliżej. Prawdziwy labirynt. Wiedział, że się zgubił. Jeśli jakimś cudem zdąży dotrzeć do sejfu, czy uda mu się wrócić? Kolejne rozwidlenie. W prawo? W lewo? Uruchomił mapę. Plan budynku nie był dokładny, widać Memoryści nie mieli aktualnych danych. I nikt tego nie przewidział. Nic nie szło jak trzeba. Zostało trzydzieści dziewięć minut. Jeśli nie trafi do celu, będzie po wszystkim. Ze złością wyłączył obraz. Strata czasu. Mapa była do niczego, tak jak ten ich cały plan! Będzie musiał zaufać intuicji. Poczł silny zapach stęchlizny i wilgotnych murów. Znalazł się na rozdrożu – nie wiedział, w którą stronę ruszyć. Zamknął oczy, wstrzymał oddech. Wahał się chwilę, musiał pozwolić, by zadecydował ślepy los. Przypomniał sobie Ellę, jej dziecięcą wyliczankę. Jak to szło?

– Eeny, meeny, miny, moe, catch a tiger by the toe... – powiedział na głos, po czym skręcił w prawo.

Biegł korytarzem dobre kilka minut. Zerknął na zegar. Tarcza wyświetlała liczbę trzydzieści trzy. Jeśli obrał właściwą drogę, zdąży. Przyśpieszył. Po skroniach spływał mu pot. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Pojawiały się kolejne rozwidlenia, a on nie miał pojęcia, dokąd prowadzą. Prawie stracił nadzieję, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Gwałtownie się odwrócił i zamarł w osłupieniu.

– Nie tędy! Chodź! – powiedziała. – Szybko!

– Marion...

– Chodź! – Chwyła go za rękę i pociągnęła za sobą. Skręcili w mniejszy korytarz.

– Tam! – Wskazała przed siebie. – Pośpiesz się!

– A ty?

– Nie. – Pokręciła gwałtownie głową. – Jestem tu tylko po to, żeby uratować plan. Nie mogę długo zostać. Zaraz mnie namierzają.

Nagle uświadomił sobie, że ją widzi. A ona jego.

– Tylko ludzie ze Starego Świata nas nie widzą – odpowiedziała na jego nieme pytanie. – Nie mamy takich ciał jak oni. Nasze zmysły to jedynie zręczna symulacja. Jesteśmy awatarami. Mówiłam ci już, ale mi nie wierzyłeś... Nie ma czasu! Biegnij!

Ruszył przed siebie. Mijał kolejne korytarze.

– Nie tam! – Znow usłyszał za sobą krzyk. – W prawo! Teraz w prawo! – Wyprzedziła go. – Za mną! – rozkazała.

– Marion! – Dyszał do jej pleców. – Musisz uciekać!

– Już po wszystkim. Nie zdążę!

– Co będzie? Co się z tobą stanie?! – Nie mógł złapać tchu.

Dotarli do kolejnego rozwidlenia. Zatrzymała się.

– Tam! Tam, gdzie to światło! No idź! Już! – Wskazała ręką.

– A ty?

Znow pokręciła głową.

– Nie zostawię cię tutaj.

– Musisz! System Celestis mnie wychwycił. Procedura terminacji już się zaczęła. Idź! – ponagliła go.

– Terminacji...? Nie wrócisz do domu? – Poczł bolesne ukłucie w okolicy serca. Co ona zrobiła? Co najlepszego zrobiła?!

– Nie. Tym razem polecę gdzie indziej... – Uśmiechnęła się blado, choć jej oczy były śmiertelnie poważne. – Czas, Adrianie!

Nie mógł jej pomóc ani też zatopić się w smutku. Musiał robić swoje.

– Poczekaj! – Zatrzymała go. – Trzymaj! – Wcisnęła mu w rękę kartkę. – Po wszystkim ją odzyskaj. I powiedz, że ją kocham. Że to wszystko dla niej.

Słabej jakości, zniszczone, staroświeckie zdjęcie przedstawiało dziewczynkę o rudych włosach.

– Powiedz jej... – wyszeptała i skrzywiła się z bólu. – Lepiej, żebyś tego nie oglądał... – Mimo malującego się na twarzy cierpienia usiłowała zawadiacko mrugnąć. – Powiedz... że jej mama nigdy o niej nie zapomniła. Zaopiekuj się nią! Zrób to!

Zawróciła i pobiegła przed siebie, raz po raz kuląc się pod naporem niewidzialnych ciosów. Po kilku sekundach zniknęła w ciemności. Spojrzał na zegar. Zostały dwadzieścia cztery minuty. Na końcu bardzo długiego korytarza majaczyła fioletowa poświata. Nadzieja dodała mu sił. Nie mylił się. Drzwi zostały oznakowane dokładnie takimi symbolami, jakie widział na planie. To, co z daleka wydawało się ciemnym fioletem, bliższe było barwie indygo. Najdoskonalszy z kolorów –

przypomniał sobie. Zegar właśnie przeskoczył na dwudziestkę. Adrian wziął głęboki wdech i zaczął wystukiwać cyfry na klawiaturze przestarzałego zamka. Bardzo uważnie, ostrożnie. Tylko jedna szansa. Nie mógł niczego przyśpieszyć. Ciężkie, metalowe wrota odskoczyły z głośnym szczęknięciem, a ich kolor zmienił się na czerwony. Wewnątrz nie było innych sprzętów poza prostym biurkiem, krzesłem i sejfem. Wszystko wykonano z ciemnego metalu. Podeszedł do sejfu. Zaczął wbijać kolejny, długi kod. Z napięcia cyfry tańczyły mu przed oczami. Przerwał na chwilę, ponownie wziął głęboki oddech, przetarł czoło i dokończył. Sejf stał przed nim otworem. Zostało czternaście minut. Musi jeszcze wyjść na zewnątrz, otworzyć Tunel. Musi zdążyć.

Ostrożnie umieścił walizkę na metalowym biurku i odszukał klawiaturę. Kolejny rząd cyfr. Znów tylko jedna próba. Przyciski były małe, a on czuł, jak coraz mocniej drżą mu wilgotne od potu dłonie. Co parę cyfr musiał odpoczywać. Czas płynął nieubłaganie i o wiele za szybko. W końcu wieko walizki odskoczyło i jego oczom ukazał się czerwony klawisz. Szybko odtworzył w pamięci instrukcję. Dziesięć minut. Tyle zostało na naciśnięcie guzika. Nie ma pośpiechu. Zauważył, że słowo START zostało wypisane ozdobną czcionką, podobną do tej, jakiej użyto na szyldzie kiosku z Shadow Way. Wydało mu się to absurdalne. Wstrzymał palec. Przed oczami ujrzał rozszarpywaną na strzępy kobietę, w uszach zadźwięczał mu jej przerażający krzyk. Zawahał się. A jeśli zniszczy obydwa światy? Jeśli wypuści zło, którego nikt nie przetrwa? Ani on, ani Amy, ani Ella?

Nagle usłyszał czyjeś szybkie kroki. Marion!?! Spojrzał w stronę drzwi.

– Cilla?

Nie wiedział, skąd się tu wzięła, ale poczuł ulgę. Nie będzie sam ze swoją decyzją. Cilla jest mądra, mądrzejsza od innych, zrozumie. Powstrzymają tę katastrofę – zdążył pomyśleć, zanim poczuł na szczęce mocny cios. Upadł zamroczony.

– Hamza miał rację, jesteś nikim! Nie nadajesz się do wielkich rzeczy – wypaliła wściekła. – Rób, co do ciebie należy! Przeprowadzisz nas przez Tunel. Na moje Planety.

– Cilla... co ty... czemu... – wyjąkał.

– Myślałeś, że zostawię dzieło swojego życia w rękach takiego tchórza?

– Twoje dzieło? – Trzymając się za twarz, z przerażeniem patrzył, jak kobieta zbliża się do walizki.

– Profesor Cilla Wolf – przedstawiła się, a w jej głosie pobrzmiwało szaleństwo. – Jedyna, ukochana siostra samego Prezesa, pierwszy człowiek na Planetach. I to mój plan. Tak jak mój był „Eden”.

– A Ian? – Próbował zebrać myśli; wciąż odczuwał skutki uderzenia.

– Ten pomylenieć? – Parsknęła. – Pieprzony idealista z bandą naiwnych idiotów? Beze mnie Celestis już dawno by zmiotło tę waszą śmieszoną rewolucję z powierzchni Planet. Za kogo wy się uważacie?

Złote sznurki. Marionetki. Memoryści wierzyli, że szklana klatka ich nie dotyczy. Sam w to wierzył. Nie przewidzieli, że jeszcze ktoś, poza Wolfem, reżyseruje ten spektakl.

– Ale dlaczego...

Cilla uniosła dłoń. Lodowatym wzrokiem wpatrywała się w słowo START. Musiał ją natychmiast powstrzymać. Zerwał się z podłogi i ruszył w jej kierunku. Powalił go kolejny cios, tym razem w splot słoneczny.

– Dlaczego to robię? – odpowiedziała pytaniem. Ze spokojem obserwowała, jak Adrian, zwijając się z bólu, walczy o oddech. – Mój pazerny brat też mnie nie docenił. Ukradł mi rodzinną firmę, majątek i projekt. Zmylił wszystkich, nawet naszego ojca. Ale to ja jestem naukowcem, byłam nim już w poprzednim życiu. Gdyby nie ja, ten błazen niczego by nie osiągnął. Doradzałam miernocie w każdej sprawie, firma to mój sukces. Stworzyłam też Planety, a on mi je odebrał. Jest takim samym głupcem jak ty. Uważał, że się pogodzę z rolą siostry wielkiego brata. Naprawdę w to wierzył! Cilla Wolf i ochłapy z pańskiego stołu? Od początku pracowałam nad planem. Wreszcie będzie, jak być powinno.

Adrian zobaczył wszystko jak na dłoni. Zrozumiał, czym jest Apokalipsa i jaki świat po niej zostanie. Nic się nie zmieni. Nic. Jedyne miejsce Wolfa zajmie Cilla – bardziej okrutna, bardziej bezwzględna. Nie chciał nawet myśleć, co ta kobieta może zrobić z absolutną władzą.

Spojrzał na zegar. Niecałe sześć minut. Podparł się na rękach. Nabrał powietrza. Poczł dotkliwy ból w klatce piersiowej, który na kilka sekund go zatrzymał. W uszach dźwięczał mu szum krwi. Jeśli Marion mówiła prawdę, jeśli jego cierpienie było tylko zręczną symulacją, trudno o lepsze oszustwo. Mimo woli odczuł podziw dla twórcy tego teatru. Miał wrażenie, że jego ciało albo cokolwiek innego, w czym umieszczono jaźń Adriana Lawsons, rozpada się na kawałki. Zacisnął zęby, rzucił się naprzód i powalił Cillę. Przetoczyli się po metalowej podłodze. Przygniótł ją całym ciężarem. Nie szarpała się. Patrzyła mu prosto w oczy z pełnym triumfu uśmiechem. Przytrzymał ją mocniej.

– Nie pozwolę ci – wysyczał.

Kątem oka zerknął na zegar. Cztery minuty dwadzieścia siedem sekund. Tyle brakuje, żeby Stary i Nowy Świat przetrwały. Potem, po wszystkim, wróci tutaj,

odszuka żonę i córkę. Kiedy White się dowie, czego dokonał, na pewno mu pomoże. Teraz będą działać razem. Skoro Hamza opracował Apokalipsę, znajdzie sposób, żeby wyłączyć Szablon. Na tę jedną krótką chwilę. Dla Elli i dla Amy.

Cilla wyszarpnęła gwałtownie ramię i zanim zdążył zareagować, sięgnęła gdzieś w okolice uda. Znów poczuł ostre ukłucie bólu, a zaraz potem został sparalizowany. Jak wtedy, kiedy chciał uratować tę kobietę. Jak wtedy, kiedy biegł do tonącego chłopaka. Zrzuciła z siebie jego bezwładne ciało, podniosła się, poprawiła bluzkę i spokojnie podeszła do walizki. Trzy minuty pięćdziesiąt siedem sekund.

– Sama nie otworzysz Tunelu... Zginiesz... – wydyszał.

– Skąd pomysł, że zależy mi na życiu? Od lat jestem martwa. Nie przetrwam, ale imperium Thomasa Wolfa też nie. Ja daję, ja odbieram. Za tę chwilę warto słono zapłacić. Nawet śmiercią. – Po raz pierwszy w zimnych oczach Cilli zobaczył ogień. Nie był to chorobliwy blask, a prawdziwy żar długo wyczekiwanej zemsty. – Gdybyś nie okazał się tak słaby, mogło być inaczej. Planety by przetrwały. Wprowadziłabym na nich nowy ład. Nawet bestie chodziłyby na moim sznurku – mówiła coraz szybciej. – Ale już po wszystkim. Nie liczysz się ani ty, ani ja. Nie liczy się Nowy ani Stary Świat. Wreszcie wyrównam z moim bratem rachunki za lata upokorzeń. I tylko to jest ważne. – Na pięknej twarzy znów pojawił się grymas szaleństwa.

– Wszystko zniszczysz!

– Nie. – Pokręciła głową. – Ty wszystko zniszczysz. Chyba że się dogadamy... To jak będzie? Jeszcze możesz wrócić do swoich przyjęć, akwarelek i domu na Wzgórzu. Masz trzy sekundy na decyzję. Trzy, dwa... – zaczęła odliczać.

Chciał wstać, lecz ciało nie reagowało.

– Uwolnisz straszliwe zło... Nikt nad nim nie zapanuje. – Po raz ostatni spróbował powstrzymać Cillę.

– Zło przez cały czas miało się świetnie. I tu, i na Planetach. Nikt go nie poznał lepiej ode mnie. Zresztą... to już nie twoje zmartwienie. – Wydeła usta z pogardą. – Ostatnie słowo? Mowa pożegnalna? Byle niezbyt długa. – Wymownie zerknęła na zegar. – Nie? No cóż... tak myślałam. Nawet twojej śmierci nie będzie warto pamiętać.

Adrian poczuł, że znów panuje nad ciałem. Podniósł się i ledwie utrzymując równowagę, ostatkiem sił powłókł się w kierunku walizki. Zamknąć ją... trzeba ją zamknąć... – myślał gorączkowo. Nawet jeśli Cilla zna kod, nie zdąży go ponownie wprowadzić. Zaatakowała szybciej, niż mógł się obronić. W ostatniej chwili, upadając, chwycił ją za bluzkę. Guziki odskoczyły jeden po drugim. Zanim runął na zimną podłogę, ujrzał potworne, czerwono-sine blizny.

– Tak, to są rany wojownika – odpowiedziała na jego nieme pytanie. – Noszę je z dumą. Zaryzykowałam życie dla tego eksperymentu. Każdą jego część testowałam najpierw na sobie. Pierwsza poddałam się kwantowemu mapowaniu mózgu, pierwsza przeszłam Procedurę Zero. Wszystko dla „Edenu”... – W jej oczach pojawił się ledwie dostrzegalny cień. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć? Co możesz wiedzieć o prawdziwej walce, o prawdziwym poświęceniu?

Przeszył go potworny ból, najgorszy z dotychczasowych. Krzyk odbił się echem od betonowych ścian, a ciało zwinęło na zimnym metalu.

Nie powstrzyma jej. Nie wydostanie się stąd. Nie otworzy Tunelu. To koniec.

– To koniec – powtórzyła na głos jego myśl i patrząc mu twardo w oczy, delikatnie opuściła palec na przycisk.

W przerażającej ciszy słyhać było jedynie pikanie zegara. Siedem, sześć, pięć, cztery... Adrian razem z mechanizmem odliczał czas do końca świata. Trzy, dwa, jeden, zero... Usłyszał dobiegający z oddali potężny huk. A może kilka wybuchów? Nie miał pewności – echo labiryntu oszukiwało zmysły.

Nigdy nie weźmie w ramiona Amy, nie utuli do snu Elli. Pomyślał o Marion. Kto wie? Może się gdzieś spotkają? Nieznane – oto, co go czekało. Być może inny, wspaniały świat, a może po prostu nic? Koniec wszystkiego. Zamknął oczy. Z rezygnacją czekał na to, co nastąpi. Na wielką, przerażającą ciemność, która zaraz go pochłonie. Poczul na twarzy pęd powietrza, a w nozdrzach swąd spalenizny. Rozległ się ogłuszający ryk wiatru. Z trudem dźwignął się z podłogi, osłonił twarz dłonią i uniół powieki. Ujrzał przed sobą przestrzeń wstrząsaną eksplozjami, trawioną szalejącym ogniem, niszczoną przez potężny huragan. A więc tak wygląda Apokalipsa? To także moje dzieło? – pomyślał i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Jego umysł zaczął wirować razem z huraganem.

Gdzie jesteś, Amy?

EPILOG

Ścieżka prawych – to światło poranne, wschodzi – wzrasta aż do południa; droga grzeszników jak gęsty mrok, nie wiedzą, o co się potkną.
Prz. 4:18, 19

Wysoki, odziany w łachmany mężczyzna ustawił kolejną drewnianą skrzynkę obok kilku im podobnych. Jego brązowe włosy i ciemny strój kontrastowały z bielą okolicy. Choć trzeba przyznać, że tego akurat dnia pogoda była nawet znośna. Po raz pierwszy od tygodni nie sypał śnieg, a w nieśmiałym wiosennym słońcu ogromne zasy niknęły w oczach. Tak! To doskonały dzień, by głosić ludziom prawdę! Odszedł parę kroków i z oddali przyjrzał się prowizorycznej scenie. Cmoknął z zadowoleniem. Może nie przypominała jednej z tych zbudowanych przez Władców wspaniałych aren, na których ku uciechu możnych toczyły się potem krwawe walki, jednak na razie musiała wystarczyć. Nadejdzie chwila, kiedy ludzie, zamiast oglądać barbarzyńskie, grzeszne widowiska, będą woleli słuchać głoszonego przez niego słowa.

– Kwestia czasu – mruknął pod nosem i poprawił jedną ze skrzynek. Był gotowy.

Teren powoli zaczynał się zaludniać. Za godzinę będzie tu pełno. Tubylcy wyleżą ze swoich nor niczym szczury w poszukiwaniu pożywienia lub używek, które pozwolą im jakoś przetrwać do wieczora. Nie ma w nich nadziei – pomyślał z troską. Ani krzty nadziei. Musi to zmienić. Czuł się na siłach. Wiedział, jak wielką moc ma słowo. Od lat wędrował z miasta do miasta, niosąc je ludziom. Był ich nauczycielem, przewodnikiem, pocieszycielem. Taka już jego rola. Nikt bowiem na całym świecie nie wiedział tyle co on. Zazwyczaj go przeganiano, obrzucając przekleństwami, błotem, a czasem nawet czymś znacznie gorszym. Przyzwyczał się do brudu, smrodu oraz upokorzeń. Cierpliwie oczyszczał swoje łachmany i ciągnął koślawy, wypełniony skrzyniami wózek do kolejnego miasta.

Zdążył zauważyć, że nie było tych miast na świecie aż tak wiele. Większość monotonnych równin, groźnych gór, wysuszonych na pieprz dolin lub – wręcz przeciwnie – tych tonących w błocie nie nadawała się do zamieszkania. Zatruta gleba, zatruta woda, zatrute powietrze. Ludzie chorowali i bardzo szybko umierali.

W czasie swoich podróży spotykał innych wędrowców, w samotności lub w towarzystwie poszukujących zdatnego do życia terenu. Nikt tak dobrze jak on nie znał bezdroży tego świata! Widywał stwory, o jakich innym się nawet nie śniło: ośmionogie psy, dwugłowe krowy, ważki o zębach tak silnych, że mogły zagryźć człowieka. Nie lękał się potworów, więc czemu miałby bać się ludzi?

Za przewiązany w pasie sznur wcisnął kawał brudnej szmaty, by w razie czego mieć czym obetrzeć twarz z błota i gówna. Ludzkość zbłądziła, to pewne, ale głęboko wierzył w jej nawrócenie. I on, Prorok, miał w tym pomóc. Prorokiem nazwały go dzieci z pewnej wioski na głębokim południu, gdzie od siedmiu miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Żyli tam ciężko pracujący, przyjaźni ludzie. Nauczyli się budować bardzo głębokie studnie, co uratowało im życie. Byli mądrzy i sprytni. To od nich zabrał wiele dobrych pomysłów, by nieść je innym, mniej mądrym. Mieszkańcy opowiadali swoim pociechom bajki o Prorokach. Podobno te historie przekazał im założyciel osady. Każdy, kto wchodził w dorosłość, miał obowiązek nauczyć się ich wszystkich, tak by ofiarować opowieści kolejnym pokoleniom. Zwyczaj był miły, a ludzie szlachetni. Spodobało mu się, jak dzieci z radością wołają za nim: „Przyjechał Prorok!”. I tak zostało. Teraz, kiedy w wielu miejscach znano go jako Proroka, tłum chętniej słuchał głoszonego przez niego słowa. Różnił się od innych pielgrzymów tym, że znał prawdę.

Przeciągnął się w jeszcze bladych, choć już nieco cieplejszych promieniach słońca. Spojrzał z miłością na żonę, która prawdziwym grzebieniem – pożegnalnym prezentem od ludzi z wioski – rozczesywała swoje długie, złote kosmyki. U jej stóp przekomarzały się dwie nastoletnie panny. Jedna – wierna kopia swojej mamy. Druga – ruda znajda. Odkupił biedne stworzenie na jednym z targów. Takie włosy to prawdziwe nieszczęście! Przez nie właśnie tłum wziął ją za czarownicę i próbował spalić. A przecież wiadomo, że czarownice wyglądają zupełnie inaczej, całkiem zwyczajnie. Nie są przecież głupie! Dla niego było to oczywiste, jednak nie potępiał ludzi. Skąd ciemni biedacy mieli wiedzieć, kto jest opętany nieczystą mocą? Nawet on, Prorok, czasem tego nie wiedział.

Na szczęście miał wtedy przy sobie ćwierć kilo gwoździ, kierownicę od auta, puszkę zupy i słoik smalcu. Za te rarytasy gawiedź chętnie odstąpiła od egzekucji. I tak mała trafiła do nich. Od tej pory traktowali rudowłosą jak własną córkę.

Dziewczęta głośno rozprawiały, a żona posłała mu znad ich głów czułe spojrzenie. Uśmiechnął się do niej ciepło i popatrzył wokół. Co za piękny dzień! Za taki dzień trzeba w nieskończoność dziękować! Czuł, że dziś odniesie sukces, jakiego jeszcze nie było. Uratuje wiele dusz. Zauważył, że zgromadził się całkiem spory tłum. Część

ludzi z daleka zerkała nieufnie na jego mównicę. Inni przyglądali się jej wprost i z dużym zaciekawieniem. Ze wszystkich stron, w nadziei na tanie widowisko, zaczęli się zlatywać miłośnicy sensacji. Wszędzie było ich pełno. W miastach, po wsiach, na traktach Władców i dzikich bezdrożach zawsze spotykał kogoś goniącego za płytką rozrywką. Nie ganił ludzi i za to. Skazani na codzienną walkę o byt, pozbawieni radości, cieszyli się wszystkim. Nawet tym, że mogli kogoś obrzucić łajnem.

Wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment. Podwinął łachmany i wdrapał się na swoje skrzynki. Przyjął odpowiednią pozę, dumnie prężąc ciało: jedną rękę schował za plecami, drugą zaś położył na piersi. Taki gest wydawał mu się bardzo odpowiedni do przemówień. Uważał, że dodaje mu powagi. Czekając, aż zaciekawieni tubylcy podejść bliżej, po raz ostatni zerknął na tłum i na otaczający go krajobraz. Kiedyś to musiało być piękne miejsce! Aż dziw, że zachowało się tu tyle drzew! I to jezioro! Teraz zamarznęte – lśniło w słońcu niczym najczystszy diament!

Przepełniony miłością do tej ziemi, do wszystkiego, co na niej żyje, wciągnął głęboko w płuca śmierdzące padliną, chłodne powietrze. Ponad głowami dostrzegł przybitą do jednego z drzew tablicę, zniszczoną, ale z widocznymi resztkami zielonej farby i białym, odrapanym napisem „CENTRAL PARK ZOO”. Ach! Więc tak się to miejsce nazywa? Bardzo, bardzo ładnie – pochwalił w myślach mieszkańców dzielnicy za to, że zadbali o miłą dla ucha nazwę. Nowy Jork był ogromny i on, Prorok, sporo już widział, jednak większość miejsc nie była tak zadbana jak owa okolica. A więc ludzie tu też muszą być dobrzy! – pomyślał, po czym wziął kolejny, głęboki oddech i odchrząknął, by zacząć swoją opowieść o dawnych, dobrych czasach, kiedy wszyscy żyli w zgodzie z naturą, a ona odpłacała im się swoją łaskawością.

Mówił o wielkiej wojnie, która przyniosła czasy grzechu i ciemnoty. O straszliwej Apokalipsie, która niemal doszczętnie zniszczyła Ziemię. O Ojcach Założycielach, którzy przybyli tu z Nieba, by uratować to, co pozostało z ich planety. O czasie Wielkiego Chłodu, a potem o Epoce Odbudowy, która trwała do dziś. Kiedy już widział, że swoimi strasznymi wizjami przyciągnął uwagę gawiedzi, zaczął opowiadać o Zbawieniu. I o tym, że dobre, uczciwe życie zostanie nagrodzone. „Kiedy?! Gdzie?!” – wołali. Wiedział, że będą pytać. Zawsze pytali. Miał gotową odpowiedź. „Po śmierci” – odparł głośno i wyraźnie. I też jak zawsze usłyszał pomruk niezadowolenia. Nie martwił się tym. Zaraz obudzi w nich nadzieję. Na koniec bowiem zostawiał najlepsze. Zaczął snuć opowieść o ukwieconych Planetach, na których ludzie żyją wiecznie, a każdy mieszka w ogromnym domu i niczego mu nie brakuje. Mówił długo o wyszukanym jedzeniu, o pięknych strojach, o tym, że każdy

mieszkaniec Planet ma dużo czasu i nie musi pracować. Opowiadał o świecie pozbawionym głodu, chorób i wojen, gdzie panuje miłościwy Pan. Pan, który różni się od możliwych tego świata, bo każdego obdziela sprawiedliwie. I wyłącznie dobrem. Ci, którzy sobie zasłużą, którzy za życia na tym łez padole będą postępowali słusznie, zgodnie z Regułami Pana – tu rozwinął płachtę z pięknymi, na kolorowo wypisanymi zasadami, czym wzbudził szczerą podziw tłumu – dostąpią Jego Królestwa!

Spojrzał na podniesione głowy, błyszczące nadzieją oczy, na uchylone ze zdumienia usta. Słońce oświetlało jego postać złocistym blaskiem, a oni słuchali jak zaczarowani. Ściskali w dłoniach kule ze śniegu, błota i gnoju, ale nikt nawet nie pomyślał, by w niego rzucać. Nie mylił się – to byli właściwi ludzie! Pokiwał głową z zadowoleniem. To ich szukał po całym świecie. Oto dzieci moje! Wspólnie zaczną Wielkie Dzieło Odkupienia i powrócą do Domu Ojca.

Źródła cytatów

John Milton, *Raj utracony*. Tłum. Maciej Słomczyński. PIW, Warszawa 1974 (IX, 427–429).

Biblia Tysiąclecia. Wyd. 3 popr. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1980, Ap. 21:1, Obj. 21:1; Obj. 3:16; Prz. 4:18, 19.

Hasła słownikowe pochodzą ze *Słownika języka polskiego*, PWN, wydanie internetowe.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie wsparcie najbliższych. Marysiu, Darku – dziękuję.

Podziękowania należą się także Marcinowi Dobkowskiemu, całej ekipie Genius Creations, a zwłaszcza redaktor Bożenie Kurzydłowskiej – dobremu duchowi i surowej weryfikatorce moich literackich poczynań.

Wreszcie chcę serdecznie podziękować Sławkowi Małoickiemu – za cenne uwagi oraz inspirujące rozmowy.

Szablon

Copyright © Agnieszka Sodomir

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Can Stock Photo / VadimSadovski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-205-2

epub ISBN 978-83-7995-206-9

mobi ISBN 978-83-7995-207-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Kurzydłowska

Korekta: Barbara Kaszubowska

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Vadim Sadovski

Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl